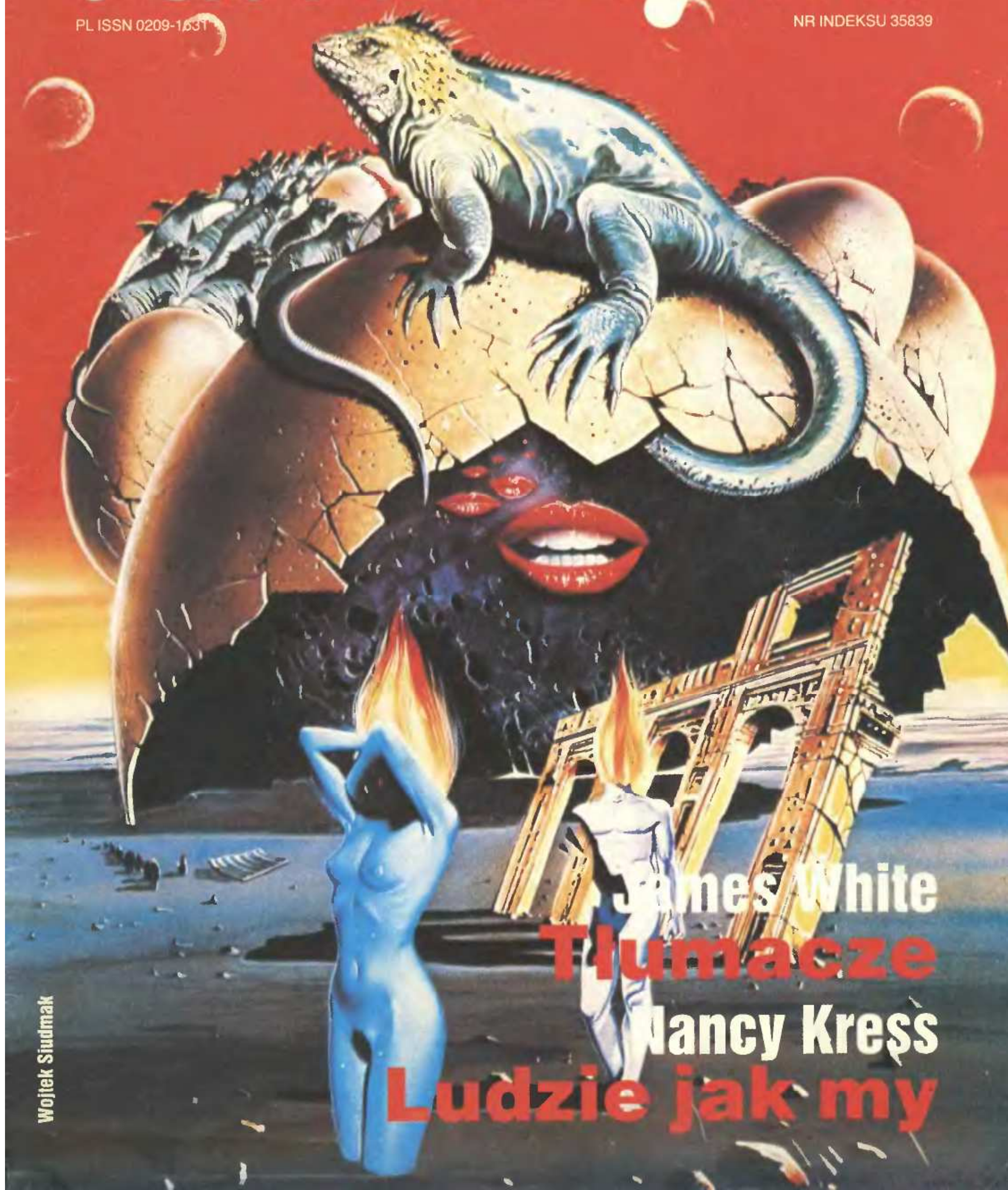
MIESIĘCZNIK
6(93) CZERWIEC 1990 CENA 3900 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



Ilustarcja: Jerzy Ozga



Janusz Monte
(1951-1990)

Janusz Monte zjawił się w redakcji „Fantastyki" wczesną wiosną 1984 roku. Od razu nam się spodobał ten energiczny, zadziorny, trochę szalony prezes Staszowskiego Klubu Miłośników Fantastyki „Gea", a i my musieliśmy mu przypaść do gustu, bo stał się później przyjacielem wielu z nas. Owocem tej przyjaźni, owocem wielkiej organizatorskiej pasji i niezmordowanego uporu Janusza stały się, współorganizowane przez nas, głośne w środowisku fantastów „Staszowy" (1984, 1985, 1987, 1988). Janusz wręcz wymuszał te imprezy na lokalnych władzach i sponsorach, tak bardzo wzbogacając kalendarz polskich imprez fantastycznych w latach osiemdziesiątych. Dzięki Niemu spotkały się w Staszowie (i w Połańcu), mogły podyskutować, poznać się i zaprzyjaźnić dziesiątki pisarzy, krytyków, plastyków, tłumaczy i najbardziej wyrobionych fanów z Polski i świata.

Wszystko to było przedmiotem wielkiej dumy Janusza. Pamiętamy dobrze jego drobną, zarośniętą postać; zjawiał się uśmiechnięty w tle szumnego otwarcia, dyskusji, spotkania, wystawy czy projekcji, ściskał dłonie, mówił parę słów i chwilę potem znikał w którymś z pokoi, wciągnięty przez kolejny organizacyjny wir. Albo pędził w steranym „maluchu" załatwić sprawę nie cierpiącą zwłoki. Po raz ostatni dał się Janusz wciągnąć w taki wir wieczorem 24 lutego 1990 roku i na drodze do Staszowa napotkał swoje przeznaczenie w postaci nie oświetlonej furmanki. To tragiczne odejście uderza także w tysiące przyjaciół, jakich Janusz zdobył w społeczności polskich fantastów.

Jesteśmy wszyscy wielkimi dłużnikami Janusza, co uświadomić sobie tym łatwiej, że nie widać na horyzoncie nikogo, kto by umiał i chciał go zastąpić. **(mp)**



58

Ważne dla przyszłych autorów!!! Przeczytajcie koniecznie szkic Artura Szrejtera! Znajdziecie tu materiały, które mogą stać się inspiracją polskiej fantasy – opartej już nie na nordyckich czy celtyckich wzorcach, ale sięgającej do oryginalnych wierzeń i mitów słowiańskich.

Jakże nie kochać tego bardzo często powtarzanego powiedzonka, jakże go nie hołubić, gdy tak doskonale pasuje do ust i serc wszelkich miernot w tym kraju. W gruncie rzeczy używa się go, by nasycić poczucie zawiści tych, którzy jak to pisał kiedyś i mówił znakomity znawca polskich zalet, ale także i przywar, Melchior Wańkowicz – będąc szewcami rzucają kalumnie na tych co zostali biskupami. „Nie ma niezastąpionych" powtarzano zwłaszcza często w czasie minionym, kiedy to jednostka nie liczyła się zbytnio, natomiast władza totalitarna (oczywiście jednostkowa przeważnie) zasłaniała się przed własnym narodem „interesem społecznym", rzekomo nadrzędnym w stosunku do każdej jednostki.

W takim społeczeństwie nadrzędnym wobec jednostek każdy z nas wydaje się wymienny, jak część w mechanizmie; w systemie totalitarnym społeczeństwo jest czymś gorszym od ula – czymś bez porównania bardziej mechanicznym. Według dobrodusznie uśmiechającego się (tylko z portretów) bat'ka Stalina nieprzypadkowo więc inżynierowie należeli do najważniejszych istot, nawet pisarzy określał on przecież jako „inżynierów dusz", rozumiejąc i chcąc nauczyć każdego takiego rozumowania, że mechanizmy – także i społeczne – mogą kształtować lub leczyć ci, co się na maszynach znają, na maszynach przede wszystkim, choćby to byli ludzie, żywi i prawdziwi w maszyny jednak pozamieniani.

Tyrani przemijają, zmieniają się ustroje, ale pewne nawyki obyczajowe pozostają nietknięte, albo prawie nietknięte. Przekonanie o nieistnieniu ludzi niezastąpionych głęboko wrosło w mieszkańców naszego kraju. Dzieje się tak tym bardziej, że po dziś dzień nasze słowniki, indeksy dzieł mniej lub bardziej naukowych, tudzież encyklopedie i „who is who" bardzo bogato są przybrane imionami i nazwiskami różnego rodzaju bossów przelotnych, polityków, twórców mianowanych itp., mniej w nich natomiast autentycznych twórców, takich, którzy naprawdę byli i są nie do zastąpienia, których ubytek mocno kosztuje cały naród. W tych dziełach miernoty pragną się utrwalić, pozostać na zawsze, albowiem same nie wierzą absolutnie powiedzonku pojawiającemu się właśnie najczęściej w ich ustach, iż „nie ma niezastąpionych".

Proszę mi tedy powiedzieć w jaki sposób dałoby się zastąpić Sokratesa, Einsteina, czy bitwę pod Grunwaldem mógłby wygrać ktoś inny niż Jagiełło, a jak wyglądałby świat nauki bez Diderota, bez Rousseau, bez Kopernika? Czy znaleźli się zastępcy naszego Kochanowskiego, Mickiewicza lub Słowackiego i Norwida, czy wymienny jest Miłosz lub Lem? Toż historię tworzą, we wszystkich jej odgałęzieniach i nurtach, jedynie ludzie niezastąpieni, wszystko co dobre i niestety także i co złe zawdzięcza się, jeśli w tym zdaniu wolno się w ogóle tak wyrazić, jednostkom jedynym w swoim rodzaju, niepowtarzalnym, unikatowym, reszta to zjadacze chleba, jak ich, jak nas, większość społeczności przytłaczającą, określił autor „Beniowskiego". Bez niezastąpionych, jestem tego pewny, po dziś dzień siedzielibyśmy na drzewach, a także zapewne nie rozumiałaby ludzkość słowa danego jej na



Nie ma niezastąpionych???

początku *(na początku było słowo)*. Nasza niejednakowość, to, że każdy jest inny, nieobliczalność reakcji i zachowań, zależna zarówno od stanu intelektu jak i uczuć, można bez najmniejszej przesady rzec i antymechaniczność – jest ewidentna. Człowiek sam wobec siebie stanowi zagadkę i choćby nie wiem jak planował, nigdy nie potrafi być pewny, co będzie robił w różnych życiowych sytuacjach. Przy tym trzeba również brać pod uwagę, iż jedni są kierunkowo utalentowani – jeden uzdolniony muzycznie, drugi – plastycznie, wspaniale maluje albo rysuje, trzeci – świetny matematyk, czwarty – niezwykle zręczny manualnie, piąty – gimnastyk, szósty wykazuje wyraźne predyspozycje literackie, od ławy szkolnej pięknie pisze wypracowania polskie. Rozpiętość ogromna: od geniuszy po ubogich duchem. I stąd szaleńcze wprost niespodzianki. Nie spotkałem właściwie nikogo, kto umiałby stworzyć scenariusz wydarzeń schyłku lat osiemdziesiątych, naszego fin de siècle'u, przewidując w przybliżeniu choćby, co się u nas i za granicą stanie, co uczyni lata 1989/90 przełomem historycznym!

Niespodzianka była totalna, zaskoczenie niesamowite, choć przecież nawet i ja odnotowałem w swoim, prowadzonym od niemal lat dziecinnych dzienniku (aż się wstydzę do tego przyznać), radość z trafiających się w naszej dawniejszej i niedawnej historii takich jednostek jak Wysocki, Kiliński, Mickiewicz, jak Jan Paweł II, Wałęsa czy Miłosz. A był to, gdy tak zapisywałem, dopiero rok pierwszej Solidarności.

Biada narodom bez elit. Kpił Aldous Huxley, twórca „Nowego wspaniałego świata", pisząc że *szczęśliwe narody nie będą miały historii*. Znaczyło to bowiem skazanie takich narodów na niewiedzę o swych korzeniach, o dotychczasowych losach, o tym, jakie właściwie są. Ich szczęście więc byłoby szczęściem stada baranów, a może obrażam tu barany, przypisując im tego rodzaju głupotę i indyferentność. Bez elit nie ma naród historii, albowiem właśnie na elity składają się jednostki nie do zastąpienia przez kogokolwiek innego niż one same.

I dlatego, między innymi, bzdurne wydają mi się twierdzenia o tym, że *byt określa świadomość* lub że bogactwo, jak twierdzą jedni, albo ubóstwo jak powiadają inni, ma zasadniczy wpływ na twórczość (szeroko tu pojętą). Od najwybitniejszych, tych których zastąpić się nie da, zależą losy grup społecznych i narodów, od nich zależy też sens narodowej kultury i cywilizacji. Jest to tak oczywiste, że w totalitaryzmie musiano głosić zdania wręcz przeciwne, aby stworzyć rozdźwięk, skłócić wybitnych z miernymi, inteligencję, zwłaszcza tę najwyższą, z resztą narodu i w ten sposób zniszczyć intelektualne i twórcze elity, jakże dla establishmentu konkurencyjne, niebezpieczne. Nie były więc przypadkiem twierdzenia o ograniczonej roli jednostek, podczas gdy właśnie jednostki z establishmentu trzymały za gardło lub rzucały na kolana całe narody.

Narody bez elit intelektualnych i twórczych skazane są nieuchronnie na marazm, na niedorozwój i w konsekwencji na samozniszczenie. W licznych zaawansowanych gospodarczo i nie tylko gospodarczo krajach świata usiłuje się poprzez odpowiednie szkoły, nagrody czy dotacje, mecenat w różnej zresztą formie stosowany, stwarzać warunki sprzyjające zarówno wyszukiwaniu, kształceniu jak i pozyskiwaniu wybitnych, uzdolnionych jednostek. Można nawet mówić o swego rodzaju hodowli elit – naukowych, pisarskich, malarskich, aktorskich, sportowych. Wybitnie utalentowanych znakomicie się od wieków zresztą opłaca. Co wcale nie oznacza wpychania każdemu utalentowanemu od razu majątku do rączki.

Naiwny populizm, równanie w dół dla zaspokojenia ambicyjek i zawiści miernot, stawianie dobrych i najlepszych w szeregu zwykłych zjadaczy chleba zagraża nie tylko stawianym, lecz nade wszystko zawsze grupom społecznym, całym narodom. Istnieje także stosowany przez totalitarne establishmenty sposób sztucznego awansowania elit – odczuwamy skutki tego rodzaju manipulacji obecnie zarówno w naszej nauce (PAN, instytuty przemysłowe), jak w literaturze. Sądzę, że obecna władza, w swej istocie najgłębszej, obca jest tamtym, przeszłym metodom, lecz niestety spadek po przeszłości utkwił w psychice naszej społeczności, choroba rozumowania „masami", choroba urawniłowki masowej zdaje się skłaniać ciągle jeszcze do traktowania elit na równi z inżynierami – słyszy się jeszcze echa osławionej inżynierii dusz. Oznacza to w praktyce, że pojmuje się mechanistycznie czy nieco zbyt mechanistycznie po równi twórców i odbiorców ich dzieł. Boże chroń nas od technokracji tego rodzaju, a także wszelkiego innego, uciekajmy od modeli populizmu, jeśli nie chcemy zbudować dziury, cezury elit, czego mimo wszystko ustrzegliśmy się przez wszystkie najgorsze lata Polski w ciągu ostatnich 150, 200 lat.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska (z-ca kier. działu zagr.), Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Hanna Sosińska-Balcer, Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń (z-ca kier. działu zagr.), Rafał A. Ziemkiewicz (kier. działu publicystyki).
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótó

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel.: 29-83-28, 28-86-41; fax: 28-61-36; telex: 814461, 814462, 814463, 814464 (redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń). Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 120 000 egz. Zam. 853/90

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 | | Oddano do składu 28 lutego 1990 r.

Lądowanie LXXVII

Nasze straszliwe spóźnienie, naszą zbyt powolną podróż w czasie, kontynuujemy ciągle w jakichś nowych warunkach. Wielu z Państwa, starszych i młodszych, z dużą dozą żalu, a nawet złości, robi nam wyrzuty zarówno z powodu spóźnienia jak i ciągle – mimo rosnącej ceny – parszywego gatunku papieru, na którym drukujemy.

Niestety, my cen nie dyktujemy, wiemy że to bolączka naszych Czytelników w trudnych warunkach życia, gdy inflacja zabiera forsę na podstawowe koszty utrzymania, nie pozwalając na uprawianie hobby, na kupowanie tego, co nie zawsze bywa konieczne do życia, ale co bardzo chciałoby się mieć. Zarówno papier, jak i druk stały się naprawdę drogie i po prostu zamknięto by nasze pismo, gdybyśmy na swoje istnienie nie zarobili. Jednakże zarabiamy za mało, żeby mocno stanąć na nogach i mieć zapas pieniędzy na kilka numerów naprzód. Chcieliśmy nawet wydać jakieś akcje dla Czytelników, nabycie których dałoby nam gotówkę na zakup choćby papieru (grube miliony kosztuje ten podły papier), albowiem z góry trzeba zań zapłacić, żeby go sprowadzono do drukarni i było na czym tłoczyć nasze pismo. Opisujecie swoje bóle i żale, więc ja Wam opisuję nasze. Może potraficie coś poradzić? Na razie nadal wychodzimy. Czekajcie na nas!

Mam do Pana ogromną prośbę. *Chciałbym, aby rozpropagował Pan na łamach „Fantastyki" ideę Niezależnego Stowarzyszenia Pomocy Polakom na Kresach i w Głębi ZSRR. Stowarzyszenie to stawia sobie za cel pomoc kulturalną Polakom zamieszkującym, jak to było powiedziane, na dawnych Kresach wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej oraz innych terenach, nieraz bardzo dalekich, dokąd jak wiadomo najczęściej trafiali nie z własnej woli. Pomoc ta ma polegać na zbiórce książek, podręczników, wszelkich wydawnictw, które mogą przybliżyć literaturę, sztukę, krajobraz – w ogóle Ojczyznę. Oczywiście wszystko w języku polskim, mile widziane byłyby także zgłoszenia osób, które zapragnęłyby nawiązać kontakt ze swymi rodakami z Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy, Białorusi itd. Twórcą idei tego stowarzyszenia jest Piotr Hlebowicz, starający się obecnie o jego zarejestrowanie. Jeździ on regularnie na Kresy przekazując przysłane mu pozycje książkowe oraz adresy swym przyjaciołom po tamtej stronie granicy, by ci z kolei rozprowadzali je wśród innych Polaków. A oto jego adres:* ***Piotr Hlebowicz, Zagórzany 1, 32-420 GDÓW.*** *I jeszcze jeden apel. Piotr prosi wszystkich chętnych do współpracy z nim o nawiązanie przynajmniej listownego kontaktu. Pragnie dobrać sobie współpracowników w całym kraju, przynajmniej jednego w każdym województwie, tak jest już przeciążony tą pracą. Myślę, że akcja ta może się przyczynić również do rozwoju wymiany książek fantastycznych i czasopism o tej tematyce, a także do nawiązywania przyjaźni między fanami po obydwu stronach granicy. Co Pan o tym myśli?*

Grzegorz Tylicki

Dyskusja o tym co zrobiła SF *dla wyjawienia istoty świata, w którym tak niedawno żyliśmy, właściwie już się zaczęła na Waszych łamach. Tylko czemu jest ona tak uczona, tak bardzo wysoko gdzieś w powietrzu umieszczona, że zwykły fan nie bardzo wie o co w niej właściwie idzie i kto może mieć rację – pan Parowski, pan Inglot czy pan Ziemkiewicz. Ludzie, zejdźcie z niebios, bądźcie normalnymi fantastami, chodzącymi po tej planecie. Powiedzielibyście lepiej czy w obecnej naszej władzy, czy wśród elity (dobrze się wyrażam?) „Solidarności", podobnie jak w jej szarych szeregach, znajdują się także zwolennicy gatunku, warto by ich zapytać czy i oni podzielają opinię tych, którzy w „Fantastyce" zaczęli dyskusję o jej politycznych zasługach czy nie zasługach. Dlaczego tak mało dyskusji w „Fantastyce" i dlaczego nie robi się już wywiadów z pisarzami, czyżby pisarzy już nie było, czyżby spełnili swoją rolę, czyżby umieli tylko pisać mniej lub bardziej ciekawe nowelki, jakie drukujecie?*

Walerian Łuskowicz *z Warszawy*

Bardzo mi się nie podobają *ilustracje w ostatnich numerach „Fantastyki", a także okładki, z wyjątkiem tej z numeru grudniowego, najdroższego, jaki musiałem kupić. Nic to wszystko z fantastyką ani z SF nie ma wspólnego. Mnie się zdaje, że ostatnio tracicie charakter, nad którym napracowaliście się w poprzednich, najlepszych okresach pisma, coraz częściej drukujecie zagranicznych autorów, ale gdzie im do Siudmaka. Po co ten Castel?*

Bogumił Fajfo *z Poznania*

Coraz mniej literatury *w naszych polskich czasopismach. Powstaje mnóstwo nowych, ale mają one przede wszystkim charakter polityczno-społeczny. Tymczasem, żeby coś dobrego poczytać, poza „Fantastyką", trudno ogromnie. W „Literaturze" preferuje się opisywanie różnych faktów z dawnych i nowych czasów, podobnie zresztą jak w większości wychodzących z drukarń książek, owszem to ważne, ale to nie wszystko, może grubo, grubo za mało. W „Twórczości" jakieś wysokie loty, może za wysokie na przeciętnego miłośnika książki, poza tym bryndza literacka, przeciętny fan ciekawej literackiej lektury niewiele ma u nas wyboru. Rzekłbym coraz mniej! Żyjemy polityką, tą wielką międzynarodową i tą naszą polską, na co dzień, a sztuka – choć nie zawsze musi ona być przez duże, największe S – a literatura, a pisarski kontakt ze światem, który warto byłoby przekazać zjadaczom chleba? Także i w radio szły ostatnio i dalej idą powieści historyczno-polityczno-historiozoficzno- jakieś tam, a współczesność (nie faktografia), gdzie ona? Ach, ten brak wcale nie umila i nie ułatwia życia!*

Doc. R.D. *z Krakowa*

W moim liście *chciałem poruszyć problem sytuacji na rynku wydawniczym literatury SF. Po kilku latach względnie dobrej koniunktury w tej dziedzinie, nadeszły lata posuchy, spowodowane prawdopodobnie obecną sytuacją kraju. Śmiercią naturalną umarła głośna niegdyś seria KAW-u „Fantastyka-Przygoda-Rozrywka", a antologie opowiadań „Spotkania w przestworzach" ukazują się w tak wolnym tempie, że praktycznie zatracił się jej pierwotny sens jako corocznego wyboru opowiadań. Znacznie obniżył się poziom utworów, a także liczba wydawanych tytułów wydawnictwa „Czytelnik" w serii „z kosmonautą". Od dłuższego czasu nie ukazało się nic z serii Wydawnictw „Alfa" (Biblioteka SF i Dawne Fantazje Naukowe). Również zapowiadana seria, powstała we współpracy Waszego miesięcznika i „Książki i Wiedzy" skończyła się na zbiorze opowiadań J. Zajdla. W miarę jeszcze trzymają się serie literatury SF Wydawnictwa Poznańskiego, „Naszej Księgarni" („Stało się jutro"), „Iskier" („Fantastyka-Przygoda") przy czym to ostatnie wydawnictwo zaprzestało z kolei druku zeszytowej serii SF.*

Jedyne pozytywne elementy, jakie dostrzegłem to efektowna szata graficzna oraz lepszy moim zdaniem dobór utworów wspomnianej wyżej serii „Fantastyka-Przygoda". Bardziej różnorodna stała się też seria „Wydawnictwa Poznańskiego" (trylogia Asimova, „Frankenstein", „Zatonięcie Japonii"), która dotychczas zdominowana była przez antologie opowiadań i powieści autorów krajów „demokracji ludowej" oraz utwory Czesława Chruszczewskiego. Powstała też nowa seria wydawnictwa „Śląsk" (zb. opow. M. Oramusa i „Zaginiony horyzont" Hiltona).

Jak widać z powyższego sytuacja na rynku wydawniczym nie jest za dobra. A może redakcja „Fantastyki" zainteresowałaby się poszczególnymi wydawcami i przedstawiła ich sytuację i plany na przyszłość w cyklu wywiadów na łamach miesięcznika, podobnie jak miało to miejsce w pierwszych numerach „Fantastyki"?

Wierny czytelnik *z Katowickiego*

W następnym „Lądowaniu" dalszy ciąg narzekań.

Redaktor

Nancy Kress

Ludzie jak my


Piotr Pucek

(People like us)

Parker podstawił samochód około siódmej: George chciał wyjechać na stację po gości zaproszonych na kolację. Sarah z niedowierzaniem powiedziała:

– Przyjeżdżają pociągiem?

– Buddy Calucci stłukł sobie nadgarstek w zeszłym tygodniu i nie może prowadzić – odpowiedział George – a jego żona ma jakąś fobię samochodową. A obcy oczywiście także nie prowadzi.

Oczywiście. Oczywiście, że nie. Nie prowadzi, nie nosi spodni i najprawdopodobniej nie je nic z tego, co Sarah poleciła kucharzowi przygotować na kolację. Za to może niszczyć firmę jej starego, biednego George'a wprowadzając swoje dziwne, nowoczesne produkty paliwowe, licho wie jakie. Sarah stała przed kominkiem i przyglądała się swojemu mężowi, który sięgał po płaszcz leżący na pokrytym skórą fotelu.

– To spotkanie miało być tak tajne, że nawet nie mogło się odbyć w mieście, dlaczego więc zdecydowali się na pociąg? Dlaczego twój pan Calucci nie zamówił samochodu z szoferem?

– Myślę, że nie przyszło mu to do głowy.

– To będzie okropne, George. Naprawdę. Już raczej wolałabym gościć Parkera i Cooka z jego szwagrem kryminalistą.

George wciągnął płaszcz, przeszedł przez pokój i oparł dłonie na ramionach Sarah.

– Wiem, kochanie; to bardzo nieprzyjemne. Ale konieczne. A jeżeli przyjeżdżają pociągiem, nie będą mogli długo zostać. Ostatni powrotny odchodzi o dwudziestej drugiej czterdzieści dwa. To jest przynajmniej coś.

– Przynajmniej – powiedziała Sarah. Ale uśmiechnęła się do George'a. Ostatecznie, to nie była jego wina, a takie marudzenie było okropnie niesympatyczne. Ci... ludzie mieli przyjść, i to wszystko. W tej samej chwili, widząc rumianą twarz George'a tylko o parę centymetrów od swojej, nagle przypomniała sobie coś, co Louise Henderson powiedziała jej nie dalej jak w tym tygodniu, w galerii. „Wiesz, kochanie. George robi się okropnie gruby. Powinien wrócić do tenisa zamiast grać w golfa. Jeżeli nie zacznie uważać, będzie wyglądał jak właściciel sklepu z narzędziami". Sarah śmiała się; Louise miała złośliwy język. Ale poczuła też ukłucie: George naprawdę wyglądał trochę jak sprzedawca w sklepie z wyrobami żelaznymi. Taki sam kształt czoła, taka sama szczęka. Przyjaciele żartowali sobie na ten temat już wcześniej.

Kiedy George pojechał na stację, Denise wniosła kanapki na tacy i świeży lód. Sarah zrobiła sobie szkocką z lodem, wypiła połowę, pogrzebała w ogniu i wreszcie usadowiła się na krześle. Pomyślała, że salon dobrze wygląda w blasku ognia. Kochała ten dom, mimo tego nawet, że było tu trochę pusto od kiedy Emily wyprowadziła się do Rosemery Hall cztery lata temu. Mosiądz i mahoń lśniły w blasku ognia; boazeria i gzymsy nabrały subtelnych zaokrągleń, orientalne kolory przydawały ciepła. Na regałach skórzane oprawy książek mieszały się z chińskimi wazami, jedne i drugie nieco zakurzone. W jednym kącie stały skrzypce Emily. Czy Emily, która spędzała weekend w domu, ćwiczyła dzisiaj? Prawdopodobnie nie; zbyt była zajęta końmi. Sarah uśmiechnęła się, kończąc swoją szkocką i zastanawiała się przez chwilę nad usunięciem sterty starych czasopism leżących na fotelu koło skrzypiec. Ale zostawiła je.

Usłyszała podjeżdżający samochód. Wstała, żeby przywitać gości.

– Proszę.

– Moja żona Sarah – przedstawił George. – Kochanie, to pan i pani Calucci, pan C'Lanth.

– Mów mi Buddy – zagrzmiał Calucci w tym samym momencie, kiedy jego żona powiedziała:

– Słowo daję, miło mi cię poznać. Jestem Mabel. – Buddy Calucci złapał rękę Sarah i zaczął nią potrząsać. Miał na sobie marynarkę z bardzo wywatowanymi ramionami i starannie zawiązany jaskrawo żółty krawat w stokrotki. Mabel Calucci nosiła okulary w kształcie serduszek i czerwoną satynową sukienkę tak krótką, że Sarah aż zaparło dech. Na obcego starała się w ogóle nie patrzeć. Jeszcze nie.

– Ładnie tu macie – huczał Calucci. – Wygląda naprawdę domowo. – Sarah widziała, że jego oczy zauważają każdy szczegół, na portrety patrzył jakby je wyceniając.

– O tak – powiedziała Mabel Calucci. Usta jej ściągnęły się trochę na widok magazynów rzuconych na fotel.

Sarah zapytała:

– Macie ochotę na drinka? – i ruszyła w stronę barku. Zatrzymały ją słowa Calucciego:

– O nie, nie. Mabel i ja nie ruszamy tego świństwa. Chrześcijańska wstrzemięźliwość. Ale wy róbcie co chcecie, nie czujcie się skrępowani.

– Nie pijecie?

– Usta, które dotkną alkoholu, nie dotkną nigdy moich – powiedziała Mabel szelmowsko. – To musi być wasz pies – pozwalacie mu wchodzić do salonu, prawda? – jej oczy zatrzymały się na miejscu przed kominkiem, gdzie Brandy zazwyczaj leżał. Wschodni dywanik cały pokryty był sierścią labradora.

– My też mamy psa – powiedział Calucci. – Dobermana. Najlepszy na świecie pies do pilnowania. Nie to, żebyśmy go teraz potrzebowali, kiedy mamy nowy system zabezpieczeń, jaki kupiliśmy do naszego wiejskiego domu. Del EverGuard. Siedem tysięcy dolarów za samo ogrodzenie.

– Bardzo ciekawe – mruknęła Sarah. George rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Nalała sobie następną szkocką z wodą, potem jedną dla George'a.

– Ja też poproszę – odezwał się obcy.

Sarah odwróciła się zdziwiona. Zakładała, że obcy nie będzie pić alkoholu. Nie dlatego, żeby tak naprawdę wiedziała dużo o obcych – nie śledziła informacji o nich. Mały, biało-czarny telewizor zepsuł się parę miesięcy temu, a ponieważ Emily bywała w domu tylko w niektóre weekendy, nie zaniosła go jeszcze do naprawy. Nie oglądała telewizji.

– Może być szkocka z wodą – powiedział obcy. Miał głęboki, nieco ochrypły głos. Sarah zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. Stojąc tyłem do ognia, balansując na obu nogach i zaokrąglonym, muskularnym ogonie, co wyglądało jednak naturalnie, nie był tak odrażający, jak się spodziewała. Obcy, których oglądała w nieczynnym teraz telewizorze, nosili dziwnie wyglądające, lśniące stroje na górnej połowie ciała, nie mając nic na dole. Ale ten był ubrany w miękką, białą koszulę bez krawata i tweedową marynarkę, tak długą, że zakrywała wszystko, poza owłosionymi nogami. Jego włosy na głowie także nie wyglądały tak dziwnie jak u obcych w telewizji, przypuszczała, że musiał obciąć je u fryzjera. Opadały z boków zakrywając tylko czubki uszu. Sarah wręczyła mu drinka.

– Nie wiedziałem, że pijecie – powiedział Calucci do obcego. Usiadł na sofie podciągając spodnie na kolanach, żeby się nie pogniotły. – Nie widziałem tego w telewizorze.

– Właśnie kupiliśmy nowy – wtrąciła Mabel Calucci. – Sony. Stucalowy ekran, zdalnie sterowany, stereo, wszystko.

– Musicie wszyscy przyjechać na nasze wielkie przyjęcie na stadionie w styczniu – powiedział Calucci. – C'Lanth, czy wy lubicie piłkę nożną?

– Nie – odpowiedział C'Lanth. Calucci czekał, ale obcy nie powiedział nic więcej, sącząc swojego drinka i lekko się uśmiechając. Sarah powstrzymała uśmiech.

– Pewnie nie jest to wasza narodowa rozrywka – ciągnął Calucci. – Można to zrozumieć. A jakie sporty wy chłopaki lubicie? Z tych, które uprawiamy tu na Ziemi. Kiedy wlazłeś między wrony, jak zawsze powtarzam.

– Lubię tenis.

– Tenis? – powiedził George, wyglądając na zdziwionego.

C'Lanth uśmiechnął się.

– Tak. Boję się, że stałem się kimś w rodzaju fanatyka. Ale także mam chyba nieuczciwą przewagę – coś ze stawami w kciukach. Pan gra?

– Nie tyle co kiedyś – odparł George ponuro.

– Pani Atkinson, a pani?

– Tak – odpowiedziała Sarah, zastanawiając się, gdzie C'Lanth nauczył się tak dobrze angielskiego. Ale przypomniała sobie, że było coś w gazetach na temat naturalnej zdolności obcych do naśladownictwa, podobnie jak umiejętności prowadzenia interesów. I na temat ich zachłanności uczenia się po prostu wszystkiego czego się da. – Gram, ale niestety nie za dobrze. Wolę żeglarstwo.

– Buddy i ja graliśmy w lidze w kręgle – powiedziała Mabel Calucci. Jej pulchna, uróżowana twarz zachmurzyła się. – To znaczy w St. Pete. Zanim przeprowadziliśmy się do Nowego Yorku. Teraz... nie wiem – nagle posmutniała.

– Czy w tym waszym miłym, prowincjonalnym miasteczku są kręgielnie, George? – zapytał Calucci.

– Obawiam się, że nie wiem.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Calucci i obcy odezwali się równocześnie:

– No cóż, bierzmy się teraz do interesów! – i...

– Spotkałem w galerii, na zebraniu zarządu w czwartek, pani znajomą, Louise Henderson.

George zwrócił się do Calucciego:

– Może o tym później, Buddy.

Sarah odezwała się do C'Lantha:

– Był pan na spotkaniu zarządu galerii?

– Oczywiście, nie jako członek. Po prostu Kyle Van Dorr chciał mi to pokazać. Byłem jako turysta – uśmiechnął się; Sarah mogłaby przysiąc, że był to nieśmiały uśmiech. – Kiedy więc weźmiemy się za interesy? – zapytał Calucci. Jego duże ciało wierciło się niespokojnie. Kiedy pochylał głowę w taki sposób jak teraz, pomyślała Sarah, przypominała ona ogrodniczy rydel. – Jeżeli mamy tutaj osiągnąć jakieś porozumienie, George, musimy działać szybko. Zanim twoi kumple – tu skinął na C'Lantha – zrobią swoje małe spotkanko na temat przejęcia firmy.

– My wierzymy w konkurencję – powiedział łagodnie C'Lanth. Skończył swojego drinka i wyciągnął rękę ze szklanką z wymownym:

– Czy można?

George przygotował mu kolejną szkocką z wodą. Brandy przed kominkiem przeciągnął się, obrócił w kółko i puścił bąka. Mabel Calucci odwróciła się subtelnie, ściągając usta. C'Lanth uśmiechnął się. Sarah stwierdziła, że odpowiada mu uśmiechem. Jakim trzeba być tumanem, żeby mieć pretensję do psa. W drzwiach pojawiła się Denise anonsując kolację.

Sarah jadła niewiele. Przyglądała się. C'Lanth też zjadł niedużo, ale spróbował wszystkiego. Mabel Calucci na widok jedzenia zrobiła się gadatliwa; każde kolejne danie pobudzało ją werbalnie, słowa wylewały się równie szybko jak kalorie znikały w środku. Opowiadała o swoim wnuczku (Słodki jak cukiereczek, a sprytny jak muszka! Już potrafi odróżnić Cadillaca od Buicka) i o przemalowaniu kuchni na kolor kwitnącej jabłoni; o kobiecie, która w grze telewizyjnej wygrała sto tysięcy dolarów i dostała ataku serca, musiała więc wydać wygrane pieniądze na leczenie; o ulicy w St. Pete, gdzie mieszkali z Buddym po ślubie, ludzie byli tam tak zaprzyjaźnieni, że nawet nie pukali, kiedy chcieli odwiedzić kogoś z sąsiedztwa. Nie tak jak tutaj, gdzie z ulicy nawet nie widać domów. Oczywiście nie jest tak również w Nowym Jorku, gdzie mają mieszkanie na dachu wysokościowca, z najwspanialszym tarasem na świecie, na dwunastym piętrze i pełnym świeżych kwiatów. Buddy Calucci pozwalał żonie mówić szacując oczami meble, obrazy, tapetę, srebra.

Nancy KRESS

Należy do młodszego pokolenia autorek amerykańskich. Pisze fantastykę psychologiczną – coś, co kiedyś uważano za sprzeczność z założenia – przepojoną sympatią i zrozumieniem dla ludzi samotnych, chodzących własnymi drogami. Dwa opowiadania Nancy Kress drukowaliśmy w numerze 3 z roku 1987.

L.J.

George, będąc jak zwykle dobrym gospodarzem, słuchał Mabel Calucci, potakując i uśmiechając się.

W momencie, kiedy wrócili do salonu, weszła Emily ze swoim chłopcem, synem Walkerów, oboje w jeansach i swetrach, roześmiani. Ciemne włosy Emily wysunęły się spod beretu, okalając jej twarz, gęste i lśniące. Jej jedyną reakcją na widok obcego w salonie rodziców był przyjacielski uśmiech. Sarah poczuła się z niej taka dumna. Jej córka była piękna, bystra i dobrze wychowana. Miała wielkie szczęście, że Emily była właśnie taka. Córki niektórych jej przyjaciół zrobiły się zupełnie niemożliwe, ale Emily była wspaniała. George dokonał prezentacji.

– Jak ci się podoba w Princeton, Taylor?

– Jest strasznie. Szczególnie całki i różniczki – Taylor Walker błysnął zębami w miłym uśmiechu. – Obawiam się, że nie mam głowy do cyfr. Profesor Boyden jest wprost niemożliwy.

– Hughes Boyden? – zapytał C'Lanth.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Taylor. – Zna go pan?

– Trochę. Spędziłem sporo czasu w Princeton, kiedy byłem tu pierwszy raz. Niektórzy z profesorów byli bardzo pomocni. Prawdę mówiąc, w tym roku wybieram się do Princeton na bal semestralny.

Taylor i Emily uśmiechnęli się do siebie: jakiś ich prywatny żart. Emily powiedziała:

– Ubawiłam się na ostatnim jak nigdy. Poszłam do łóżka o siódmej rano.

Mabel Calucci spojrzała na nią. Jej głos był teraz nieco ostrzejszy.

– Zawsze byłam zadowolona, że moja córka Tammy miała możliwość studiować na Bob Jones University. Poziom moralności jest tam bardzo wysoki.

W Sarah nabrzmiewała furia. Po prostu drobnomieszczańska głupota... Emily, która jest na liście dziekańskiej i w komitecie honorowym... ta koszmarnie głupia kobieta...

Ale powiedziała tylko:

– Czy ktoś ma ochotę na drinka? Taylor? Emily?

– Nie, dziękuję, wychodzimy – powiedział Taylor. – Będziemy w klubie, pani Atkinson. Miło było pana poznać, panie C'Lanth.

– Miło, niewątpliwie – powiedziała zimno Mabel Calucci. Taylor i Emily wyszli.

– Podobali mi się ci młodzi ludzie, którym Hughes Boyden przedstawił mnie w Princeton – powiedział C'Lanth jakby rozbawiony. – Było w nich coś, nie wiem... pogodny luz.

Calucci powiedział obcesowo:

– To nie jest miejsce na relaks, prawda? Szkoła Tammy nie jest taka. Prawdopodobnie dzięki wysokim wymaganiom na wstępie. No, George, myślę, że teraz naprawdę powinniśmy się wziąć za interesy. Jestem pewien, że panie nam wybaczą.

Sarah nie spojrzała na Mabel Calucci. Mimo to wiedziała, że ta kobieta wpatruje się w Brandy'ego, teraz zwiniętego na szczycie pism leżących na fotelu, z których połowa spadła na podłogę. Wiedziała, że Mabel Calucci ukradkiem poprawia dekolt czerwonej satynowej sukienki, który zsunął się, jeżeli to możliwe, jeszcze niżej. Wiedziała nawet, że za chwilę z jej odętych usteczek padnie coś połubownego, bystrego i słodkiego, i radosnego.

– Pójdę z wami i posłucham – powiedziała Sarah.

George odprężył się. Calucci wyglądał na niezadowolonego. C'Lanth uśmiechnął się.

– Miło będzie mieć panią w naszym towarzystwie – powiedział obcy.

Kiedy George wrócił po krótkiej jeździe na stację, Sarah była już w łóżku. Siedziała oparta o poduszki i patrzyła jak George się rozbiera. Nie odzywał się, dopóki nie rzu-

☞

Jak się podoba

Nowy Siudmak

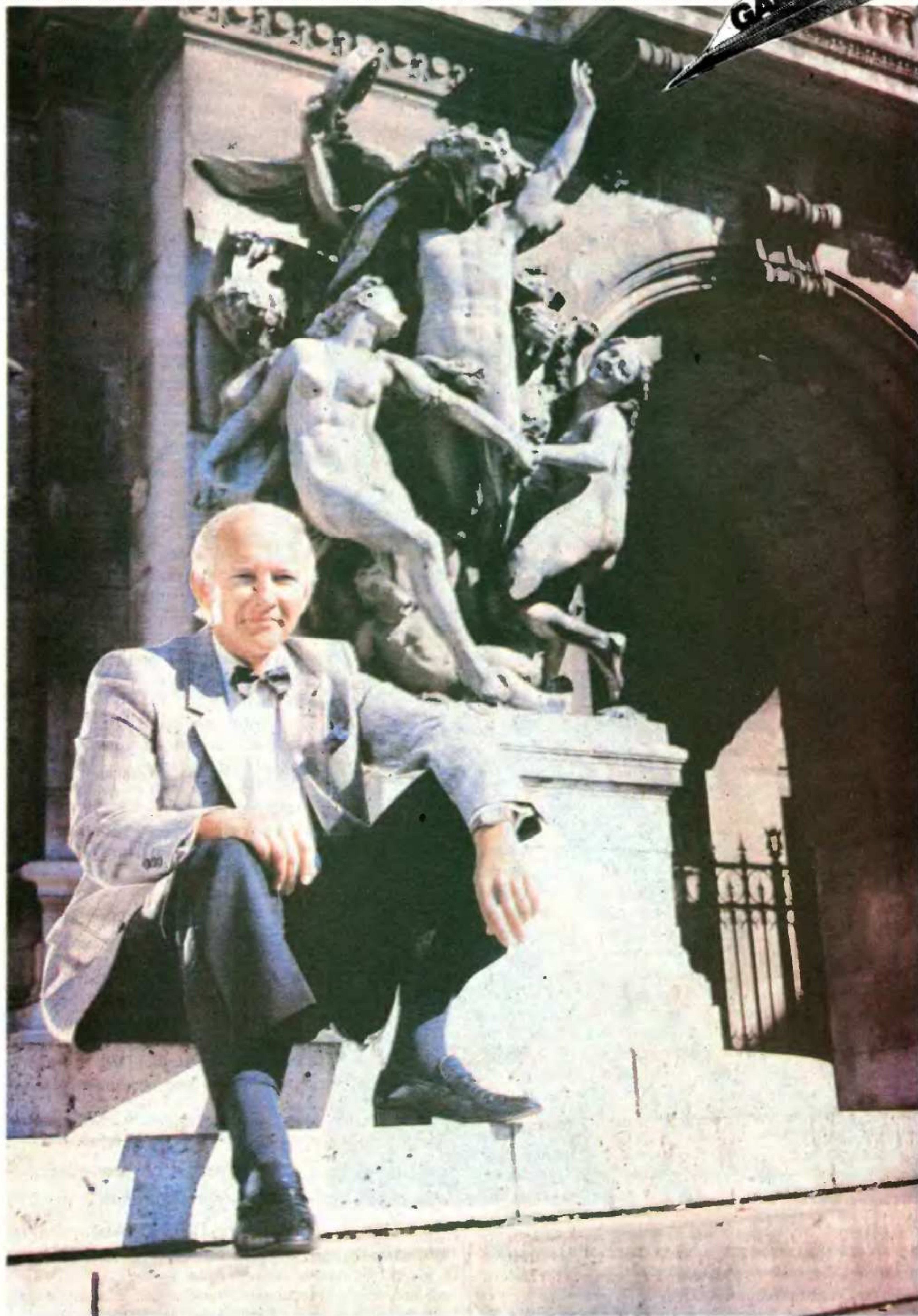
Przedstawiamy dziś Państwu nową galerię Siudmaka, najbardziej lubianego i najwyżej cenionego przez naszą publiczność autora ilustracji fantastycznych. Na wystawie, którą miał niedawno w Palais de Tokyo w Paryżu okazało się, że polska publiczność prezentuje identyczną opinię, jak światowa. Już sama ekspozycja, jej lokalizacja w tak eksponowanym pałacu jak ten, świadczy o wysokiej renomie naszego Rodaka, o tym jak się ocenia Jego dzieło.

Dotychczas jednak o żadnym chyba ze znakomitych kolegów zagranicznych Siudmaka takich jak Vallejo czy Achilleos, choć i oni zdobyli światową sławę, nikt nie wyraził tak niezwykłej opinii jak o Wojtku – że *jest Michałem Aniołem SF*.

Jego śmiałe kompozycje surrealistyczne, choć popularne w percepcji, nigdy nie przekraczają granic dobrego smaku, w żadnym przypadku nie stają się czymś zbliżonym do pornografii. Podstawowa cecha artysty to klasyczny spokój i pewność przedstawiania swych koncepcji, to delikatność rysunku, subtelny dobór kolorystyki. Nawet gdy prezentuje potwory, a w fantastyce przecież trudno tego uniknąć, są to stwory straszne przez swą inność w stosunku do postaci ludzkich, czy zwyczajnych sylwetek zwierzęcych, ale nigdy ohydne, krwiożercze, budzące obrzydzenie, abominacyjne. A abominacji w fantastycznych stworach innych autorów pełno. Aż patrzeć *hadko* – chciałoby się rzec, trawestując litewskie powiedzonko pana Longina Podbipięty – gdy się obserwuje liczne ilustracje do różnego rodzaju utworów science fiction.

I może właśnie z tej pewnej łagodności spojrzenia na świat, czy może klasyczności spojrzenia Wojtka Siudmaka, wynika Jego wzięcie, Jego popularność – czyli to, że swoimi ilustracjami fascynuje i wielkich, i maluczkich, że jednym i drugim daje pełną satysfakcję.

Gratulujemy naszemu sławnemu artyście nowego albumu z



„nowymi siudmakami", zapowiadamy, że rodzi się z jego wszystkich ilustracji jakby generalny wybór do następnej albumowej publikacji, która światło dzienne ma ujrzeć na Węgrzech.

Życzymy też artyście dalszych, równie wielkich sukcesów, jak ten w Palais de Tokyo, a naszym Czytelnikom oddajemy do rąk siudmakową galerię obiecując, że na niej wcale się nie kończą nasze spotkania z tym paryżaninem polskiego pochodzenia.

Adam Hollanek



cił płaszcza na krzesło, nie poluzował krawata i nie ściągnął butów. Wreszcie wybuchnął.

– Ten C'Lanth to bandyta.

– No, nie wiem, myślę, że jest raczej zabawny.

– Zabawny?

– Zastanawiałam się, czy nie zaprosić go na weekend trzeciego, kiedy przyjdą Talcottowie i Hendersonowie.

George wolno odwrócił się w jej stronę.

– Wiesz, że John zawsze narzeka, że z nikim nie może rozegrać prawdziwego meczu tenisowego. A Louise tak lubi rozmawiać z ludźmi, którzy naprawdę wiedzą coś o sztuce. Naprawdę George, nie patrz na mnie w ten sposób – to nie jest wcale taki dziwaczny pomysł.

– Sarah, on jest obcy. I widziałaś jak wyglądała rozmowa o interesach, przynajmniej ta część, przy której byłaś – gdzie u licha poszłaś? Mabel Calucci skarżyła się w samochodzie, że nie pojawiłaś się już w salonie. C'Lanth mnie zrujnuje, jeżeli nie wprowadzimy tego porozumienia.

– No, cóż, może dobrze byłoby, żebyś go lepiej poznał? – Sarah odpowiedziała rozsądnie. George wpatrywał się w nią, po chwili odwróciła wzrok. Był kochany, ale tak się przepracowywał. Naprawdę niepotrzebnie. Ostatecznie, mieli też jej pieniądze, a było ich znacznie więcej niż przynosiła im firma. A kiedy George tak marszczył twarz, naprawdę zaczynał wyglądać jak facet ze sklepu z narzędziami.

– Z większym pożytkiem byłoby poznać lepiej Buddy'ego Calucci – powiedział George ponuro. – On jest tym, który trzyma wszystkie sznurki. Chociaż C'Lanth mógłby...

– Daj spokój kochanie, chodź do łóżka. Jest późno i nie chcę się kłócić. Ostatecznie, nie podpisałeś jeszcze żadnych papierów. Wszystko może się zdarzyć.

George nie odpowiedział. Skończył się rozbierać, wdrapał na łóżko, zgasił światło. Sarah czekała. Kiedy minęło kilka minut, powiedziała miękko:

– Mógłbyś być trochę milszy dla mnie, George. Właśnie spędziłam dla ciebie wieczór z dwojgiem tych strasznych ludzi.

– Wiem – powiedział George. Poczuła, że sięga ku niej w ciemności i położyła mu głowę na ramieniu. – Przykro mi, że nie wróciłam do salonu. Naprawdę. Ale to jej drobnomieszczaństwo. I ta pusta gadanina. I te tlenione loczki. I on, z ożywionym uśmiechem, który nie sięga oczu.

– Wiem – powiedział znów George.

– Próbowałam.

– Tak.

– I pomyślisz o tym, czy nie zaprosić C'Lantha trzeciego?

– Może to niezły pomysł – powiedział sennie George. Sarah przytuliła się mocniej do jego ramienia. Była zadowolona, że George wie, że się starała, zadowolona, że nie był zły. Ponieważ oczywiście była niegrzeczna dla tych strasznych Caluccich, niegrzeczna w bardzo angielski sposób polegający na tym, że jest się niedostatecznie miłym, że się nie podtrzymuje rozmowy i w ogóle nie wychodzi naprzeciw. Ale naprawdę, z niektórymi ludźmi po prostu się nie ma kontaktu i nie warto udawać, że jest inaczej. Wszyscy to wiedzą. Od niektórych ludzi dzieli nas przepaść nie do przebycia.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Piotr Pucek

Kiedy mu powiedziano, że ma skręcić z górskiej autostrady na wąską drogę schodzącą do zalesionej doliny, Colgan zwolnił do tempa przechodnia. Przyczyną tej ostrożności była nie tylko rozjeżdżona, nierówna nawierzchnia – po prostu przyglądając się intensywnie wszystkiemu wokół poczuł, że nie śpieszy mu się tam, dokąd jedzie. Drzewa, poszycie, gdzieniegdzie kwiaty niemal teatralnie oświetlone intensywnym pomarańczowym reflektorem zachodzącego słońca zmuszały do myśli, dlaczego wszystko jest tak ostre, trójwymiarowe i tak niezwykle piękne.

Może w ten właśnie sposób widzieli świat francuscy arystokraci w drodze na gilotynę.

Siedzący obok niego mężczyzna podawał mu kierunek głosem nawykłym do rozkazywania, ale nie budzącym niechęci. Nazywał się Warrender i jego nienagannie swobodny cywilny strój nie mógł ukryć nieokreślonego, ale niewątpliwie wysokiego stopnia wojskowego. Teraz milcząco demonstrował skrajne zniecierpliwienie. Rodzina Colgana na do śmiechu i ponownie zajęła się dziećmi. W cieniu drzew było za ciemno, żeby Catherine mogła zobaczyć niedźwiedzie choćby w wyobraźni, wznowiła więc stosunki dyplomatyczne z braciszkiem. Rzecz jasna mówiła głównie ona i nie ulegało wątpliwości, że ma cel równie prosty co samolubny.

Na dnie doliny droga okazała się jeszcze bardziej wyboista, a drzewa tłoczyły się wokół tak gęsto, że chwilami nie było widać nieba. Colgan włączył reflektory, które ukazały nawierzchnię zrytą niedawnym przejazdem ciężkich pojazdów gąsienicowych. Dwukrotnie dostrzegł mroczne zarysy czołgów ukrytych pod drzewami. Stały bez świateł z zamkniętymi na głucho włazami. Był zadowolony, że całą uwagę jego córeczki pochłania przekonywanie braciszka, żeby jej oddał swój cukierek.

Catherine wiedziała z doświadczenia, że duży, fioletowy cukierek braciszka, choć nieco wymiętoszony daremnymi próbami rozwinięcia, był trochę większy i miał znacznie

James White

Tłumacze

(The Interpreters)

tylnym siedzeniu też była nienaturalnie cicha i w końcu to Warrender odezwał się pierwszy.

– To już niedaleko – powiedział dyplomatycznie – ale na wypadek, gdybyśmy nie zdążyli przed zmrokiem, polana jest otoczona reflektorami.

Colgan zwiększył prędkość, nie o tyle jednak, żeby wzbudzić niepokój żony.

Posunęli się może o pół mili w głąb doliny, kiedy Warrender powiedział:

– Nie chciałbym pana urazić, panie profesorze, ale nigdy nie słyszałem o pańskich pracach. Językoznawstwo nie jest, rzecz jasna, moją specjalnością, ale zastanowiło mnie, dlaczego wybrano akurat pana do tej operacji i dlaczego zabrał pan całą...

Przerwał mu nagły krzyk protestu z tylnego siedzenia, gdzie mały John wyraźnie znudzony ciszą i bezruchem złapał za włosy starszą, trzyletnią siostrę swoimi silnymi krótkimi paluszkami usiłując urwać jej blond warkoczyk. Ann wprawnym ruchem uwolniła Catherine – miała dużo okazji do ćwiczeń w ostatnich miesiącach – i rozdzieliła dwa kolorowe cukierki zarezerwowane na takie sytuacje. Podczas gdy John przystąpił do trudnego, ale dla niego pasjonującego zadania odwijania cukierka, Catherine trzymała swój w zaciśniętej piąstce, a matka opowiadała jej o wiewiórkach, sarnach i niedźwiedziach – małych, miłych niedźwiadkach jak ten pluszowy w domu, które może uda się jej zobaczyć, jeżeli będzie się uważnie rozglądać. Dziecko przestało płakać.

– W tej okolicy nie ma... – zaczął Warrender, ale widocznie uznał, że cisza i spokój są ważniejsze niż zoologiczna ścisłość. – Ja też mam dzieci – kontynuował po chwili – ale na tę wycieczkę bym ich nie zabrał. Jednak to pan został wyznaczony do tej sprawy i sądzę, że pan wie, co robić.

– Wcale go nie wyznaczono – powiedziała Ann, starając się ukryć niepokój w głosie. – To on stawał na głowie, żeby go wysłano. Poza tym ma już w tych sprawach doświadczenie...

Warrender odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią z miną wyrażającą skrajne niedowierzanie.

– ... Problem w tym – dodała – że nie pamięta, co on wtedy zrobił.

– Kochanie – wtrącił Colgan – jeżeli nie potrafisz powiedzieć nic sensownego...

– To mam siedzieć cicho – dokończyła Ann. Zmusiła się bardziej interesujące nadzienie niż długi, srebrno-czerwony, który dostała ona.

Wypowiadała słowa powoli i z wyższością, jak inteligentna trzyletnia dziewczynka usiłująca przekonać o czymś głupiego niemowlaka, jednocześnie popisując się przed dorosłymi swoim słownikiem, kiedy opisywała przewagę swojego cukierka nad cukierkiem Johna. Papierek ma ładniejsze kolory, twierdziła. Można go skręcić w bransoletkę, którą można włożyć na rączkę, a cukierek jest twardy i można go ssać bardzo długo. John tymczasem wydawał entuzjastyczne odgłosy, zakończone kilkusekundowym gaworzeniem w bardzo poważnym tonie.

– Co on mówi? – spytała Ann.

– Zgadza się – powiedziała Catherine. – Ale chce, żebym mu odwinęła. On sam nie umie. Jest trochę za głupi.

Jej ton sugerował, że dorośli też nie są zbyt mądrzy, skoro zadają takie niepotrzebne pytania.

W kilka minut później Warrender uniósł dłoń i odwrócił się, żeby spojrzeć na Ann i dzieci na tylnym siedzeniu, ale nawet tył jego głowy i uszy zdradzały dezaprobatę.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział. – Możecie bez trudu dojść te parę kroków, jeżeli nadal chcecie tam iść. Jednak, szczerze mówiąc, proszę pani, nie uważam tego za dobry pomysł.

– Wiele razy omawialiśmy, co byśmy zrobili w takiej sytuacji i nadal chcemy tam iść – rzucił Colgan twardo. – Sami – dodał, kiedy Warrender chciał wysiąść.

Ann nie odpowiedziała, a dzieci miały usta zajęte czymś innym.

Warrender zatrzasnął drzwiczki i opuścił szybę, tak żeby antena jego kieszonkowego radia wystawała poza blokującą fale karoserię.

– Sprawdźcie ich mikrofony w klapach i słuchawki – rzucił rozkazującym tonem. – Sprawdźcie magnetofony. Nie włączajcie reflektorów, póki oni nie poproszą. Uwaga, wysiadają.

Przez gałęzie drzew przenikało dość światła z odległej o pięćdziesiąt jardów polany, żeby oświetlić drogę. Kiedy szli wolno całą czwórką trzymając dzieci za ręce, Colgan usilnie próbował sobie przypomnieć ten pierwszy raz, kiedy coś podobnego mu się przydarzyło.

Zamiast półmroku i chłodu górskiej doliny w strefie klimatu umiarkowanego były stoki wzgórz porośnięte jasno-



zieloną dżunglą parującą w prostopadłych promieniach równikowego słońca. Jego rodzice, którzy właśnie zakończyli okres pracy w nowogwinejskim szpitalu i chcieli zobaczyć coś więcej z wyspy poza ulizanym terenem szpitala, przyjęli zaproszenie dla całej rodziny na dwutygodniową wycieczkę w głąb kraju. Młode małżeństwo, które wystosowało zaproszenie, miało dokonać rekonesansu dla programu telewizyjnego i poszukiwało miłego towarzystwa w swoim wieku a także pomocy w prowadzeniu jednego z dwóch samochodów wiozących ich sprzęt i ekwipunek polowy.

Wypadek zdarzył się nad bezimienną wioską przycupniętą na stoku Góry Owena Stanleya. Colganowie jechali pierwszym wozem, kiedy jakiś dzieciak z wioski wybiegł na mokrą, błotnistą drogę. Ojciec wcisnął hamulec, wpadł w poślizg i stracił kontrolę. Samochód skończył na boku przodem w stronę, z której przyjechali i jadący za nimi wóz musiał zjechać na pobocze, żeby na nich nie wpaść.

Jednak droga po tej stronie przechodziła w strome zbocze opadające do wąskiej doliny, w której stała wioska. Drugi samochód też wpadł w poślizg, stoczył się po zboczu i wylądował na dachu w strumieniu. Mimo to eksplodował i spalił się wraz z pasażerami, rozrzucając szczątki i płonące paliwo z rezerwowych zbiorników na teren wioski.

Kiedy Colganowie przez odsuwany dach wydostali się z samochodu, zszokowani, ale cali i żywi, ujrzeli, że kilka gliniano-trzcinowych chat stoi w ogniu wśród bieganiny, krzyków i płaczu dzieci. Nie dostrzegli zabitych ani rannych, ale ich przewrócony samochód otaczał rosnący tłum

mieszkańców wioski, którzy potrząsali pięściami lub dzidami i krzyczeli do nich.

Krajowcy byli wściekli, powiedział Colganowi po latach ojciec, który wtedy miał niepokojącą świadomość, że zaledwie w poprzednim pokoleniu ci ludzie byli łowcami głów i ludożercami.

Colgan widział to wszystko w myśli, ale nie mógł mieć pewności, że to są autentyczne wspomnienia z dzieciństwa, nie zaś wytwór wyobraźni żywiący się opowieściami dorosłych słyszanymi wielokrotnie w późniejszym życiu. Mówiąc krótko, nie wiedział, co się zdarzyło owego dnia i większość swojego zawodowego życia spędził na daremnych próbach znalezienia odpowiedzi na to pytanie.

Na ostatnich pięćdziesięciu jardach droga była znacznie mniej wyboista, gdyż czołgi tu nie dojechały i nagle dotarli do polany oświetlonej błękitnoszarym światłem z późnowieczornego nieba.

– Zatrzymał się pan, profesorze – odezwał się w słuchawce cichy głos Warrendera. – Jesteście na miejscu. Czy widzi pan to?

– Widzę – odpowiedział Colgan, pokonując suchość w gardle. – Podchodzimy.

– Mamo – odezwała się nagle Catherine. – Nie ściskaj mnie tak mocno!

Drugą ręką Catherine trzymała rączkę braciszka, który nie lubił dawać jej wielkim ludziom, woląc obejmować swoją małą piąstką wskazujący palec ojca. Idąc w jednym szeregu i trzymając się za ręce szli ku środkowi polany.

– Czy to samolot? – spytała Catherine.

– Rodzaj samolotu – odpowiedziała Ann. Nawet w tym słabym świetle widać było, że pobladła.

Rodzaj samolotu, pomyślał Colgan z uczuciem wielkiego strachu i jeszcze większego zachwytu.

– Światła – powiedział na głos. – Chcę, żeby widzieli, że idziemy.

Kiedy reflektory umieszczone na okolicznych drzewach stopniowo się rozjaśniały, Colgan zastanowił się, dlaczego oni nie zareagowali, kiedy je montowano. Może już się zorientowali, że sieć oświetleniowa nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Jeżeli jednak rozporządzali aparaturą, która mogła im to powiedzieć, to musieli też wiedzieć o czołgach i innych militarnych okropnościach ukrytych w lesie, także o zewnętrznym kordonie ciężko uzbrojonych naziemnych i powietrznych patroli chroniących strefę o promieniu dwudziestu mil przed środkami masowego przekazu oraz o pierścieniu wyrzutni rakietowych, mających zniszczyć to, co tam jest, jeżeli wykona to najmniejszy ruch, który można będzie uznać za wrogi.

A jeżeli tak, to musieli też wiedzieć, że amator, który sfilmował lądowanie ich pojazdu i czwórkę obcych, jaka się z niego na krótko wyłoniła – zanim się przestraszył i uciekł – przebywał w areszcie wraz ze wszystkimi, z kim rozmawiał albo komu pokazywał zdjęcia.

Ale to oznaczałoby przyznawanie przybyszom wszechwiedzy, statusu jakichś pozaziemskich bogów. Colgan nie był żadnym dzikusem z epoki kamiennej, na którego wyspie wylądował po raz pierwszy dziwny pojazd z jeszcze dziwniejszymi istotami, jakie w związku z tym muszą być bogami. Prawdopodobnie on budził w nich nie mniejszy niepokój niż oni w nim i im prędzej lęk po obu stronach zostanie pokonany, tym lepiej.

Był to pierwszy znany kontakt z przedstawicielami innej, technicznie rozwiniętej i miejmy nadzieję, cywilizowanej planety. Należało go przeprowadzić ostrożnie, unikając nieporozumień, z jak najmniejszym ryzykiem dla ludzkości. Kiedy zwrócono się do Colgana, jako do jednego z najwybitniejszych językoznawców, o pomoc w kwestii ewentualnych struktur lingwistycznych i pokazano mu zdjęcia obcych, zażądał, żeby mu pozwolono spróbować najpierw jego metody.

Ujeżdżał tego swojego konika – uważanego za lekkiego bzika rzucającego cień na znakomitego skądinąd i szanowanego uczonego – na stronicach specjalistycznych czasopism przez wiele lat i teraz pozwolono mu sprawdzić jego zwariowany pomysł w praktyce.

Uznano, że nie może to nikomu zbytnio zaszkodzić, poza, rzecz jasna, Colganem i jego rodziną.

On też niepokoił się o żonę i dzieci, choć był właściwie pewien, że nie ma powodów do niepokoju. Obecność całej rodziny była, jak twierdził, dowodem zaufania i przypomniał sobie, jak jeden z jego kolegów powiedział ze złością, że nie ma gorszego fanatyka jak cichy, łagodny fanatyk-uczony. Zwolnił nieco, ale nie stanął.

Kosmolot był zbudowany w kształcie klina – latający kadłub – jak określił Warrender – i nie miał żadnych wystających części ani przezroczystych płaszczyzn, które mogłyby być oknami. Mimo drżenia rąk trzymających kamerę, film nie pozostawiał wątpliwości, że statek gwałtownie tracił wysokość i wylądował przymusowo na jedynym kawałku równego terenu w promieniu wielu mil. Teraz reflektory dostarczyły dodatkowego na to dowodu. Wierzchołki drzew po jednej stronie polany zostały ścięte i statek pozostawił szczególny ślad na ziemi.

Specjalistów ogromnie interesowało, w jaki sposób taki ślad mógł powstać, gdyż grunt nie został naruszony przez bezpośredni kontakt z dolną częścią pojazdu. Stał on na końcu długiej strefy zgniecionej trawy i krzewów, przeszło dwudziestokrotnie szerszej niż sam statek. W ostatnich sekundach lotu, żeby wyhamować pojazd, zastosowano jakieś pole odpychające lub może antygrawitację i wszyscy bardzo chcieli wiedzieć, jak się to robi.

Colgan, krocząc wolno po zgniecionej roślinności, interesował się tylko tym, czy to, co mu się kiedyś udało, można powtórzyć.

Zatrzymali się o jakieś pięć jardów od burty statku, w której po kilku minutach ukazał się mały otwór, powiększający się jak przesłona w aparacie fotograficznym, aż osiągnął przeszło dwa metry średnicy. Z wnętrza wydobywało się ciepłe pomarańczowe światło przerywane ruchomymi cieniami istot, które z niego wychodziły.

John gaworzył coś po swojemu i Catherine powiedziała:

– On chce jeszcze cukierka, mamusiu. Ja też.

– P-później – wyjąkała Ann wysokim, drżącym głosem.

Pierwszy z czwórki obcych, dobrze teraz widoczny, stanął na zmiętej trawie.

Film robiony teleobiektywem z bardzo dalekiej odległości nie oddawał kosmitom sprawiedliwości. Z bliska wyglądali znacznie bardziej obco i przerażająco. Ich stożkowe ciała pokryte były śliskimi listkowymi wyrostkami (a może odzieżą?) i wspierały się na czterech krótkich nogach. W połowie wysokości ciała umieszczone były w równych odległościach cztery mackowate ramiona i również cztery krótsze i cieńsze macki zakończone wilgotnymi zgrubieniami, które musiały być oczami, wyrastały ze szczytu stożka. Podczas gdy pierwszy kosmita odsunął się, żeby przepuścić pozostałych, wszystkie te oczy wpatrywały się w Colgana. W powietrzu rozchodził się słaby, nie budzący odrazy zapach przypominający amoniak.

Colgan odwzajemniał się obcemu przez kilkanaście sekund i nagle doznał uczucia, że jego umysł płata mu figla. Przez chwilę miał przed sobą nie kosmitę, lecz nagiego papuańskiego myśliwego – chudego, brodatego, ze zwierzęcymi kośćmi umocowanymi gliną we włosach; potem obraz z przeszłości zanikł. Na szczęście nadchodzący kosmita nie potrząsał włócznią.

Wyszli też pozostali przybysze i ustawili się na wprost ludzkiej czwórki, dorośli naprzeciw niego i Ann, większe zaś i mniejsze, zapewne dzieci, przed Catherine i Johnem. Ten na wprost Colgana wydał kilka głębokich, bulgocących dźwięków i umilkł. Dzieci powtórzyły to samo wyższymi głosami.

James WHITE

Autor brytyjski, pisze opowiadania, które się zapamiętuje. Takie było „Ubranie na miarę" i takie jest opowiadanie o dzieciach-tłumaczach wykorzystujące niezwykle trafną obserwację psychologiczną.

L.J.

Nagle John puścił ręce siostry i ojca, potem sam zaczął gwałtownie gestykulować i gaworzyć.

– Co... – zaczęła Ann.

– John mówi, że oni mówią „Cześć" – powiedziała Catherine. – Wszyscy.

Colgan nerwowo odchrząknął i mruknął:

– Chyba działa.

– Nie wiem, profesorze. Dzieci czasem ponosi wyobraźnia. Osatecznie „Cześć" to jest coś, czego się oczekuje od przybyszów – powiedział ostrożnie Warręnder.

Colgan nie odpowiedział, bo znów nadbiegły obrazy z przeszłości przesłaniając czwórkę kosmitów postacią papuańskiego myśliwego z żoną i dwójką dzieci na przedzie tłumu krajowców otaczających przewrócony samochód. Colgan zobaczył dwójkę nagich dzieci z rozdętymi brzuszkami. Jedno z nich było w jego wieku, drugie starsze. Ojciec opowiadał mu później, że chciał się bawić z tym drugim chłopcem. Obie pary rodziców zbyt były podniecone, żeby na to pozwolić, więc tylko rozmawiali.

Dzieciaki gaworzyły coś do siebie niezrozumiale, napięcie wokół słabło i tłum stawał się mniej agresywny. Tylko przez przypadek wyszło na jaw, że starsze dzieci potrafią zrozumieć, co mówią ich młodsi braciszkowie i mogły przekazać to rodzicom. Okazało się, że dorośli są w stanie za pośrednictwem dzieci przekazywać sobie bardzo proste – co prawda – komunikaty.

W ten sposób starsi Colganowie mogli przeprosić za straty wywołane pożarem – nikt z mieszkańców wsi nie został, na szczęście, ranny – i zyskać pomoc w postawieniu samochodu na koła, żeby mogli wrócić i poinformować ludzi z telewizji, co się zdarzyło.

Nadal nie mógł sobie przypomnieć, jak jednoroczny Colgan to zrobił – wszystkie wspomnienia pochodziły z drugiej ręki od rodziców – ale teraz nie miało to już znaczenia.

– Poproś Johna – powiedział do Catherine – niech im powie, że cieszymy się ze spotkania. Niech spyta, czy mają jakieś kłopoty i czy możemy im w czymś...

– Powiedzcie im – wtrącił się Warrender – że nasze zamiary są pokojowe, jeżeli tylko oni nie mają złych zamiarów.

Colgan przerwał mu niecierpliwie:

– Gdyby któraś ze stron miała wrogie zamiary, nie stalibyśmy tu naprzeciw siebie z dziećmi! Cała ich czwórka wyszła ze statku zaraz po lądowaniu, ale weszła do środka, kiedy podeszli pańscy ochotnicy, może więc jest to wśród gwiezdnych podróżników normalna procedura w takich sytuacjach, mająca wykazać zaufanie i przyjaźń. Także korzystanie z najmłodszych jako tłumaczy jest chyba powszechnym obyczajem, który my odkryliśmy dopiero teraz.

– Głos dziecka głosem Boga – rzucił Warrender. – Ale na jakiej zasadzie to działa?

– Nie wiem – odpowiedział Colgan z roztargnieniem. Większość jego uwagi pochłaniały dźwięki wydawane przez Johna i małego kosmitę. – Musi istnieć jakiś mechanizm językowy, dzięki któremu bardzo młode osobniki potrafią nadawać sens nonsensownym dźwiękom, niezależnie od tego, kto je wydaje. Zdolność ta zanika stopniowo z wiekiem i opanowaniem artykułowanej mowy. Może zauważył pan u swoich własnych dzieci, że jeżeli jest między nimi tylko parę lat różnicy, to starsze często lepiej rozumie o co chodzi niemowlęciu niż pan czy pańska... – Przepraszam, zdaje się, że nadchodzi odpowiedź.

Catherine marszcząc czoło z koncentracji powiedziała:

– John mówi, że wyglądamy śmiesznie. Samochód się popsuł. Nie mogą naprawić. Mechanik teraz naprawia. Odejdźcie.

Pierwsza część posłania była zapewne spontaniczną uwagą odpowiednika Johna, nie jego rodziców. Jednak końcowe zdanie, nawet po uwzględnieniu wszystkich możliwych poprawek na tłumaczenie, nie brzmiało przyjaźnie.

– Mechanik! – ożywił się Warrender – Zapewne chodzi o inżyniera pokładowego! Musimy z nim porozmawiać. Do licha, pomyśleć tylko, czego możemy się od niego dowiedzieć.

Żądanie zostało przekazane Catherine, która w znacznie uproszczonej formie przekazała je Johnowi. Colgan łagodnie dał Warrenderowi do zrozumienia, że gdyby nawet inżynier obcych zechciał udzielić takiej informacji ziemskim krajowcom, to tajemnice napędu kosmicznego i inne cuda technologii będą mało przydatne po przefiltrowaniu przez umysł i ograniczone słownictwo rocznego tłumacza. Ale John radził sobie całkiem nieźle.

– Mechanik nie może wyjść rozmawiać – przetłumaczyła Catherine. – Duże pudełko ze światełkami. Odejdźcie.

– Wygląda, że naprawy dokonuje jakiś robot – przetłumaczył z kolei Colgan na użytek Warrendera. – Ale dlaczego każą nam odejść.

Ostatecznie nawiązali kontakt, chociaż ograniczony. Pierwszy w historii kontakt między ludzkością a inną rasą kosmiczną. Colgan czuł się głęboko urażony i gorzko rozczarowany, że przybysze chcieli go tak szybko zerwać. Może uznali, że ludzie są za mało inteligentni, żeby na nich tracić czas.

Catherine nieproszona przekazała pytanie. Tym razem wywołało ono wielkie poruszenie: gulgotanie przebiegało od młodych do dorosłych kosmitów i z powrotem. Wywijali przy tym mackami wskazując za siebie na statek i w niebo. Oleiste listkowate wyrostki pokrywające ich ciała drżały dowodząc, że jednak nie są ubraniem. Nawet mały John był poruszony, bo kiedy zwracał się do siostry, niemal płakał. Wysłuchawszy go, Catherine też wyglądała na przestraszoną.

– On chce zostać i pobawić się ze śmiesznym dzidziusiem – przetłumaczyła. – Ale oni mówią pa, pa. Wszystko naprawione. A może nie naprawione. Może wielkie buch. Odejdźcie, proszę.

Warrender tym razem nie potrzebował tłumaczenia..

– Do diabła, tyle chciałem się o nich dowiedzieć – powiedział. – A oni odlatują na prowizorycznie naprawionym silniku, który może wybuchnąć i nie chcą, żeby nam się coś stało. Tylko, jaki to może być wybuch? Bomba w samochodzie czy eksplozja nuklearna o sile megatony? Nie przypuszczam, żeby chłopiec potrafił...?

Nie, jasne, że nie – kontynuował nie czekając na odpowiedź. – Małe dziecko nie może określić ilościowo siły wybuchu. Wracajcie do samochodu, wynosimy się stąd.

Colgan odwrócił się z ociąganiem. Jedynym dźwiękiem był przyciszony, ponaglający głos Warrendera w słuchawkach, rozkazujący wycofanie czołgów, przestawienie kamer na zdjęcia automatyczne i utrzymanie obserwacji powietrznej. Chciał mieć nagranie tego, jak statek obcych wylatuje w powietrze, w tym czy innym sensie tego słowa.

Kosmici popędzali przed sobą dzieci do pojazdu. Colgan położył dłoń na ramieniu córki.

– Życz im powodzenia – powiedział.

Tym razem odpowiedź była tak prosta, że John mógł ją sam przetłumaczyć.

– Dzię-ku-je-my – przesylabizował z trudem, wykrzywiając buzię.

– Dziękujemy! Bardzo dobrze, John – pochwaliła go Ann. Obcy jeszcze coś gulgotali, ale ona chwyciła oboje dzieci za ręce i odciągnęła je, zanim Catherine zdążyła przetłumaczyć.

Katastrofy nie było i pojazd obcych wystartował, jak tylko Colganowie dotarli do górskiej drogi. Dopiero wtedy Colgan poprosił córkę o przetłumaczenie pożegnalnych słów.

Catherine klęczała przy tylnym oknie samochodu zapatrzona w jasny meteor, który zamiast z góry w dół leciał z dołu w górę. Nie odwracając się powiedziała:

– Dziękujemy, przyjacielu. Wrócimy.

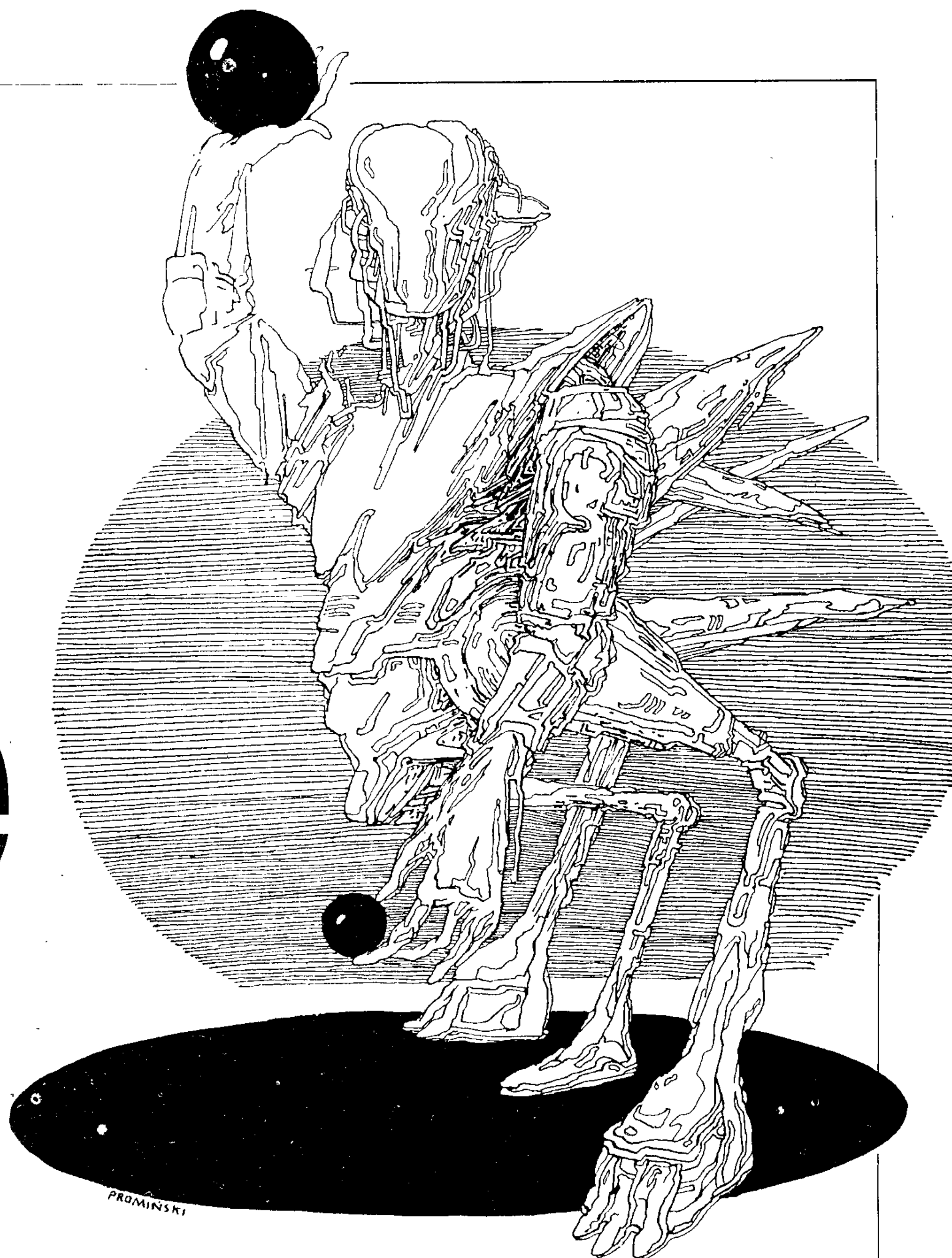
Przełożył **Lech Jęczmyk**

■

Zdeněk Páv

Wieże guru

(Věže guruů)



Piotr Promiński

Po brudnym i popękanym parapecie skakał mały kos. Kiedy dotarł do jednego końca, optymistycznie zagwizdał, odwrócił się i hycał w drugą stronę. Był podłączony do cienkiego wężyka dostarczającego mu odżywki i niezbędne impulsy nerwowe.

Był to miły i kojący oczy widok.

Przeszkadzał jednak guru, który właśnie pisał przemówienie o moralności i ogólnoludzkiej miłości, jakie miał za chwilę wygłosić na regularnym kazaniu restauracyjnym.

Kiedy kos ponownie doskakał na koniec parapetu i zagwizdał, Gurum nie wytrzymał i szybkim ruchem strącił go na ziemię. Kos panicznie zatrzepotał skrzydłami i znieruchomiał. Z rozerwanego wężyka wyciekał roztwór odżywczy.

Przez wybitą szybę do pokoju przenikał odór toalet i hałaśliwe okrzyki pijaków. Gurum zatkał sobie uszy i z wściekłością patrzył na prawie nie zapisaną kartkę papieru. Siłą woli uspokoił się, wziął pióro, ledwo jednak napisał parę słów, otworzył się właz w ścianie. Wyszła stamtąd półlitrówka piwa, rozejrzała się i bezczelnie wrzasnęła:

– Przepraaaszam!

Nie cofnęła się jednak, by poczekać, aż Gurum skończy pracę, gdzie tam! Wmaszerowała do pokoju i na skróty pod stołem skierowała się do przyległej restauracji, a dobre dwadzieścia półlitrówek za nią.

W Gurumie zawrzało.

Czy w ogóle jest sens mówić tej hołocie o miłości i moralności? Jedyne, co ich interesuje, to żarcie i picie. Gdyby tak mógł... Ale nawet moc guru nie była nieograniczona. Gurum westchnął.

Drzwi się otworzyły i z lizusowskim uśmiechem i służalczym ukłonem wtargnął kelner.

– Najmiłościwszy guru Gurumie – zaczął – chciałbym pana prosić o małą grzeczność. Wie pan, ludzie obok czekają na kazanie, błogosławią pańską pracę i mądrość innych guru, lecz są zmęczeni. Większość z nich wykonuje odpowiedzialne zadania przy budowie Wież i odwołuje się do pańskiej łaskawości i...

– Chcecie rumu i cygar, co? – podwyższonym głosem powiedział Gurum.

– Gdyby pan...

– Milcz.

Wyciągnął legitymację guru, ścisnął ją w dłoni i coś wyszeptał. Na stole pojawiło się kilka butelek i pudełko cygar.

– Bierz to i znikaj!

„Nie szarpnąłeś się, sknero" pomyślał kelner wychodząc, ale nie zapomniał o uniżonym uśmiechu.

Restauracja była zapełniona po brzegi, przez tumany dymu nie było nic widać. Panował nieznośny hałas.

Kiedy jednak wszedł Gurum, wszyscy ucichli. W bogobojnym odruchu odwrócili się do niego twarzami wpatrując się w monumentalne czarne szaty z szerokim białym lamowaniem na rękawach, nogawkach i wokół szyi, będące symbolem boskości i władzy guru. Tłum pochylił grzbiety i spuścił oczy ze strachu.

Powolnym i dostojnym krokiem Gurum podszedł do podium i stanął za mównicą. Położył na niej obie ręce, wygodnie się oparł i wpatrzył się w bezkształtną masę.

Zrobił krótką pauzę, by zwiększyć efekt kazania. Potem zaczął mówić. O miłości, o tym, jak konieczne jest podnoszenie poziomu moralności, jak trzeba przestrzegać podstawowych norm obyczajowych, mówił o trudnych zadaniach budowniczych, o przyśpieszeniu budowy Wież... Mówił i mówił, i po-

czuł taki niesmak do własnych słów, że nie powstrzymał się i włączył playback, chociaż naczelny guru tego zakazał. Niepostrzeżenie wsunął rękę do kieszeni szat i ścisnął legitymację. Przyśpieszył czas i placki pijackich twarzy zlały się w jednolitą szarą smugę, a jego własne słowa w niezrozumiały bełkot.

Czas szybko minął. Gurum niemal przeoczył koniec kazania. Z łaskawym i wyrozumiałym uśmiechem pomachał tłumowi, który skandował:

– Niech żyje guru! Niech żyje guru!

Krzyczeli guru czy Gurum? Po namyśle stwierdził, że Gurum, jeszcze raz się uśmiechnął, skinął ręką i opuścił obskurną restaurację. Wyciągnął legitymację i jego potężna postać z boską lekkością uniosła się nad płotem z falistej blachy. Wylądował na pierwszym gzymsie, wszedł do windy i wjechał aż do platformy pod systemem poprzecznych korytarzy, gdzie mieściły się rezydencje guru.

– Kończ już, głupi błaźnie – syknął mężczyzna. Uważał, żeby go usłyszeli tylko najbliżej siedzący i żeby Gurum nie dostrzegł nawet ruchu warg. Gdy tylko kaznodzieja zwrócił twarz w jego kierunku, mężczyzna krzyknął „Niech żyje guru!" tak głośno, że na szyi wyskoczyły mu żyły.

– Tak się wygłupiać dla paru kieliszków – powiedział kiedy Gurum znowu się odwrócił – jestem tu dzisiaj ostatni raz!

– Święta racja – przytaknął sąsiad – tutaj trzaska dziobem w pięknych gadkach, ale... Skończyć Wieże w ciągu roku! Powtarza to samo już od piętnastu lat, serio!

– Niech żyje guru! Niech żyje guru!

Gurum wyszedł.

– Wreszcie sobie polazł! Co mówiłeś?

– Myślę, że oni sami nie chcą, żeby skończyć budowę Wież.

– Czemu?

– Czemu, czemu... patrz, teraz wszyscy harują na Wieżach, nikt nie ma czasu na nic innego. A guru grzeją tyłki w rezydencjach, żrą i piją, czego im brakuje? Ty wiesz, co wczoraj zrobili? Cały zapas cegieł z trzeciej Wieży kazali przenieść na ich platformy, bo ma powstać nowa izba tradycji. Jakby ich było mało!

– No to chyba...

– To jeszcze nic. Wiesz, jak się będzie budować?

– Jak?

– Z góry na dół. Cegły będzie się kleić jedną pod drugą. Najpierw zrobi się strop, potem mury, a na końcu podłogę. Wszystko będzie wisiało w powietrzu.

– To niemożliwe...

– To przyjdź popatrzeć. Chłopaki szaleją, co ci będę mówić.

– To czemu siedzicie cicho? Czemu mu dziś nie powiedziałeś, że to bzdura?

– Rozum ci odjęło? Co by to zmieniło... A ja mam dzieci, wiesz, i tylko od guru zależy, co się z nimi stanie.

Boy był miłym i cichym chłopcem, chociaż trochę wyrośniętym i niezgrabnym.

Siedział przy stole i nerwowo zaciskał ręce. Nad stołem świeciła goła żarówka, a naprzeciwko, przy kredensie, w milczeniu stała matka.

Na korytarzu rozległy się niepewne kroki.

– Wreszcie przyszedł – westchnęła z ulgą matka i poszła otworzyć. – Boy, tata przyszedł.

– Cześć, tato.

– Czołem! Wiesz, matko, znów ten dureń Gurum mi popsuł krew. Wyobraź sobie...

– Ciii... Nie mów tak, przynajmniej nie dzisiaj. Przecież wiesz, że Boy...

– No tak, prawie zapomniałem. No co, Boy, cieszysz się?

Chłopiec boleśnie się uśmiechnął. Zawiercił się na krześle.

– Nie przejmuj się – przysiadł się ojciec – też tam byłem, każdy tam trafia... Kilka dni i będzie po wszystkim.

– Tylko żeby nam wrócił – rozszlochała się matka i wybiegła na korytarz.

– No... sam widzisz, jak to z babami... zawsze beczą... ale popatrz na mnie! Tego, co stamtąd przyniosłem, nie ma byle kto, no sam powiedz... Właściwie czas na kolację, nie?

– Chyba tak.

Ojciec wstał, wbił wzrok w żarówkę i wyciągnął do niej rękę. Na palcach zaczęły mu się osadzać krople światła. Strząsnął je na przygotowany talerz. Całą operację jeszcze kilkakrotnie powtórzył.

– No, a gdybym wtedy nie poszedł do Wieży, nigdy bym tego nie potrafił – oblizywał palce z resztek lepkiego światła. – Matka, chodź, światło na stole.

Zaczęli jeść. Boy przyniósł szklankę wody i ojciec wpuścił do niej swoje winne traszki. Z upodobaniem patrzył, jak woda ciemnieje i pouczał:

– Przede wszystkim, Boy, musisz uważać na te pasy. Ciągnie się to wokół wszystkich ścian i jest takim... wskaźnikiem tego, co cię tam może spotkać. Kiedy jest jasny, prawie biały, to dobry znak, zostań tam jak najdłużej. W jednym takim miejscu nauczyłem się zbierać światło i hodować traszki. W ciągu paru minut! Ale kiedy pas zacznie ciemnieć i robić się czerwony albo purpurowy, bierz nogi za pas i zwiewaj, ile ci sił starczy... Kiedy pas jest czerwony, to koniec. Ale ty sobie poradzisz, prawda, Boy? Jesteś mężczyzną!

Ojciec umilkł i schował traszki do pudełka. Wino, które zrobiły, rozlał do kieliszków. Podniósł czarkę i nagle zaczęła mu się trząść broda. Pociągnął nosem.

– No, chłopcze, za dobry powrót!

Wypili i ojciec, kiedy siadał, trochę się zatoczył. Siadanie zawsze sprawiało mu kłopoty.

Ojciec Boya był ptakiem. Ludzką miał tylko głowę i jedną rękę. Nie mógł ani pracować, ani fruwać. Był ptakiem inwalidą.

Ptaka inwalidę zrobiły z niego Wieże. Kiedy tam szedł, był normalnym przystojnym mężczyzną, jak z płaczem opowiadała matka.

– Chłopcze, przede wszystkim nie ściągaj na siebie uwagi, stój z boku, a kiedy coś ci polecą, rób to bez gadania.

– Tak, mamo.

– I tak nie rozumiem, po co to wszystko – nagle zaczął ojciec i znowu nalał sobie mocnego wina – ilu chłopców tam obrywa... gdyby zrobili z nich murarzy, przynajmniej przydaliby się na Wieżach. Ale zamiast tego, każdy chłopak musi tam iść. Żeby diabli wzięli tych parszywych guru...

– No, tato...

– Dobra, już nic nie mówię. Idziemy spać, Boy musi wcześnie wstawać.

Miasto było szare i zimne. Po ulicach krążyły kłęby mgły i dymu a ludzie, o ile w ogóle jacyś się pojawiali, wyglądali jak zjawy. Boyowi było zimno, po winie ojca bolała go głowa, był śpiący i panicznie bał się tego, co go w Wieżach czeka. Miał przemożną chęć zawrócić, uciec i gdzieś się schować, ale wiedział, że to absurdalne. Tak samo absurdalne, jakby chciał zburzyć Wieże.

Dotarł do płotu z blachy falistej. Przy wejściu się zatrzymał i po raz ostatni odwrócił.

Nabrał tchu i wszedł. Po raz pierwszy w życiu był tak blisko Wieży. Widział olbrzymi, betonowy blok fundamentów, a nad nim masyw Wieży zwieńczonej starym połamanym rusztowaniem, otaczającym Wieże w kilku warstwach i porośniętym chwastami oraz małymi drzewkami. Na dole panował nieopisany bałagan. Stosy piasku i kamieni, cegły, deski, belki, rury... Przed hałdami materiałów była wydeptana wąska ścieżka prowadząca do drzwi w betonowym bloku. Na szklanej płycie widniał napis „TĘDY".

Boy otworzył i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, gdzie stało już około dwudziestu chłopców w jego wieku, tak samo niepewnych i niewyspanych. Przy plastikowym stoliku siedziała młoda kobieta w panterce.

– Hej, chodź tutaj! – krzyknęła do Boya. – Jak się nazywasz?

– Boy.

– Wiek?

– Siedemnaście.

Skreśliła coś w dokumentach i spojrzała Boyowi w oczy. Uśmiechnęła się.

– Dziękuję – powiedział.

Podszedł do grupki chłopców.

Na coś czekali. Kobieta złożyła stolik i wsunęła papiery do kieszeni. Co chwila spoglądała na zegarek.

Nagle na małym balkoniku tuż przy samym suficie otworzyły się drzwi. Pojawiła się postać w szatach guru i chłopcy sprawnie ustawili się w szereg. Gurug oparł się o poręcz i omiótł ich sennym spojrzeniem.

– Szanowni młodzi przyjaciele – zaczął niewyraźnym głosem. – Zebraliście się dzisiaj, by spełnić swój honorowy obywatelski obowiązek. Za chwilę otworzą się przed wami bramy Wieży, a wy spróbujecie w niej zyskać i powiększyć swoje umiejętności duchowe i cielesne. Staniecie się silnymi, zręcznymi i umysłowo dojrzałymi jednostkami, które przyczynią się do dalszego rozkwitu naszego społeczeństwa i jeszcze szybszej budowy Wież...

Po nagim, nieotynkowanym suficie łaziły olbrzymie robaki. Miały króciutkie włochate nóżki i były wstrętne. Przy ścianie stały zachlapane wapnem deski, a trochę z boku leżał krążek stwardniałej zaprawy murarskiej.

Gurug nie powstrzymał się i ziewnął. Nawet się nie wysilał, by zasłonić dłonią usta.

Jeden robak odpadł i trafił między chłopców. Huknęło. Wszyscy z krzykiem się rozbiegli, tylko jeden chłopiec leżał na ziemi. Gurug pogroził robakowi pięścią, ten powędrował do ściany i zaczął się wspinać w górę.

– Zabił go prądem elektrycznym – kontynuował prawie przepraszająco guru – poznają nowicjuszy i od razu atakują. Musicie być ostrożni, by nie wyrządzać społeczeństwu takich szkód. Zresztą, do Wieży zaprowadzi was doświadczony i przeszkolony przewodnik. Ślepo się go słuchajcie... Życzę szczęścia.

Gurug się odwrócił z widoczną ulgą, że niemiły obowiązek już za nim, przeciągnął się i wyszedł.

Martwy chłopiec został na podłodze nie budząc niczyjej uwagi.

– Jestem waszą przewodniczką – głośno odezwała się kobieta. – Nazywam się Sonia. Zaraz ruszamy w drogę.

Wielkim kluczem otworzyła drzwi ukryte za deskami i uchyliła je.

Znaleźli się w ciemnym korytarzu.

Kiedy Boy przechodził obok przewodniczki, złapała go za łokieć.

– Trzymaj się blisko mnie, a nic ci się nie stanie – wyszeptała.

Przyjemnie pachniała.

Korytarz był wąski i musieli iść gęsiego. Pierwsza szła Sonia, zaraz za nią z pochyloną głową Boy. Patrzył na plecy dziewczyny, które kołysały się przy każdym kroku z boku na bok tworząc podniecającą asymetrię. Chłopak prawie zapomniał o strachu i droga szybko mu zleciała. Potem korytarz trochę się rozszerzył i chłopcy otoczyli przewodniczkę.

– I co teraz, pani przewodniczko... Soniu – ośmielił się wysoki długowłosy chłopak o pociągłej twarzy.

– Wjedziemy windą na Wieżę – uśmiechnęła się Sonia.

– Co? Jeszcze tam nie jesteśmy?

– Jesteśmy w fundamentach. Za chwilę dojdziemy do windy i dopiero wtedy znajdziemy się we właściwej Wieży.

Gurum przemykał się przez korytarz czekając, aż zapanuje spokój. Kiedy wyszedł ostatni guru, oblizał grube wargi i z wysiłkiem się pochylił.

Wszędzie pusto.

Szybkimi, ale ciężkimi kroczkami podbiegł do kępy palm wokół Świątyni. Jego potężny brzuch komicznie podskakiwał a ze spodni wyłaziła koszula. Szat nie wziął, nie chciał się rzucać w oczy i nie pragnął spotkania z żadnym guru, skoro już szczęśliwie minął piętro wysokich urzędników.

Ostrożnie, z walącym sercem otworzył drzwi Świątyni.

Pająk powoli wędrował po swojej pajęczynie. Gurum zamknął drzwi, wyjął z teczki kosztowną, inkrustowaną kasetkę i wyciągnął rękę.

Pająk się obejrzał.

– Co tu robisz? – warknął. – Zostaw mnie w spokoju! Ty idioto, puść mnie!

Gurum przestraszył się. Nie spodziewał się oporu. Niemal uległ rozkazowi pająka i odłożył go z powrotem. Po chwili jednak zacisnął usta, włożył pająka do pudełka i zatrzasnął wieczko.

– Ty debilu... czego się spodziewasz? Jestem tylko elektronicznym przełącznikiem, do niczego ci się nie przydam... Beze mnie rozleci się cały system Wież! Natychmiast mnie odłóż, bo oberwiesz od Obcych!

Przy wzmiance o Obcych na czoło Guruma wystąpił pot. Szybko wsunął kasetę do teczki i wybiegł ze Świątyni. Jeśli naprawdę czegoś się bał, to Obcych, tajemniczych, owianych legendami istot. Rozejrzał się i zbiegł na niższe piętro. Powoli się uspokajał, wszędzie było pusto i cicho, nic się nie działo. A Obcy przecież nie istnieją, jak często twierdzi naczelny guru... Gurum zaczął snuć w głowie pierwsze plany, jakie zrealizuje, gdy zmusi pająka, by służył tylko jemu.

W pierwszej chwili skierował się do swojej rezydencji, ale rozmyślił się i poszedł do nocnego klubu guru. Nie chciał być sam, przynajmniej dopóki się nie uspokoi i nie odpręży.

Usiadł z boku, teczkę położył w zasięgu ręki i zamówił wystawne potrawy i napoje. Z zadowoleniem wygodnie się rozparł, na tłustą różową twarz przywołał dobrotliwy uśmiech i obserwował panującą wokół gwarną zabawę.

Wkrótce poddał się atmosferze klubu, co chwila zamawiał nowe wino, przysiadł się do grupki guru i młodziutkich urzędniczek. O teczce zapomniał.

Nagle skądś wynurzyła się muskularna ręka, przez chwilę się wahała, lecz w końcu mocno chwyciła teczkę.

Ręka należała do Gurula, wysokiego, łysego guru o surowym i sprawiedliwym wyglądzie. Rozejrzał się i szybko wyszedł z klubu.

Nikt niczego nie zauważył, tylko przy barze stał pomarszczony siwy czang i mył szklanki. Ale on jak zwykle nie przejawiał żadnego zainteresowania tym, co się wokół niego dzieje.

Zatrzymali się przy ozdobnej kracie. Stał tam czang, drobne, pomarszczone i obojętne stworzenie z niskim czołem i wyblakłymi oczyma. Obrzucił przybyszów spojrzeniem i otworzył kratę.

Było to wejście do windy. Sonia bez słowa zaprosiła ich do środka. Ściany kabiny były zabazgrane nieprzyzwoitymi rysunkami. Panował zaduch. Stali stłoczeni jak śledzie w beczce i nerwowo wyglądali na zewnątrz. Czang zatrzasnął kratę, chwycił zwisającą z góry linę i zaczął ciągnąć.

Winda zakołysała się i ruszyła.

Jazda trwała długo. Wreszcie kabina ze szczęknięciem się zatrzymała, inny czang zręcznie wsunął pod jej spód długi drąg, żeby nie mogła zjechać z powrotem i otworzył.

Wychodzili przestraszeni.

Owionął ich nieznośny odór, tumany much i duszne, stojące powietrze. Nie wierzyli własnym oczom. Stali w olbrzymim pomieszczeniu, zawalonym górami śmieci i na trzy metry w górę zarośniętym pokrzywami, ostem i lebiodą.

– Gdzie jesteśmy?

– W Wieży. To hala wejściowa, poza tym śmietnik – skrzywiła się Sonia i wyciągnęła z kieszeni notes. Coś w nim zapisała.

Chłopcy z zainteresowaniem się rozglądali. A potem jeden z nich to zobaczył. Krzyknął, wyciągnął rękę i drżącym palcem wskazał:

– Patrzcie, skrzynka!

Mróz przebiegł im po plecach. Skrzynka! Tam na dole była żelaznym tematem debat przy kieliszku, plotek i wyrafinowanych domysłów. Ale tutaj... Mimo woli się obejrzeli, jakby lada chwila mieli się pojawić tajemniczy, nierzeczywiści, budzący zgrozę i nadzieję Obcy, ponoć prawdziwi władcy i właściciele Wież, których jedynymi namacalnymi śladami są właśnie skrzynki.

Chłopcy otoczyli skrzynkę i z zaciekawieniem ją oglądali, ostukiwali i lekko kopali czubkami butów.

W niewielkim szklanym pudełku były trzy przyciski umieszczone na desce rozdzielczej. Nic więcej.

– Pani przewodniczko, to naprawdę skrzynka?

– Tak.

– I naprawdę nie można jej otworzyć? I naprawdę nikt nie wie, skąd się wzięła i do czego służy?

Sonia z rozbawieniem spojrzała znad notatnika. Identyczna rozmowa miała miejsce z każdą grupą nowych adeptów.

– Możesz spróbować – zaśmiała się – może tobie uda się ją otworzyć. Potem to już pestka sprawdzić, do czego służy, nie?

– I nawet guru nie potrafią tego rozgryźć?

– Nawet guru. A tak na marginesie uważajcie na te pokrzywy, są jadowite.

Kiedy Sonia dokończyła swoje notatki, wstała i spojrzała na pokrzywy.

– Idziemy – powiedziała głośno. – Trzymajcie się blisko siebie. I powtarzam – uważać na pokrzywy!

Dróżka prowadziła między hałdami śmieci i była wyłożona czarną, lepką masą, która plaskała pod butami. Od czasu do czasu przecinał im drogę jakiś owad lub płaz. Po około dwudziestu krokach jednemu z wędrowców pokrzywa owinęła liście wokół nadgarstków i gwałtownie wciągnęła w gąszcz. Zdążył tylko słabo krzyknąć. Przewodniczka udawała, że nic nie widzi.

Po prawej stronie wznosiła się góra śmierdzących odpadków, po której wiły się dwie ręce. Zbliżały się do siebie, a kiedy znalazły się w swoim zasięgu, zaatakowały się i sczepiły długie palce. Miotały się tłukąc łokciami w szarą masę wokół.

Sonia właśnie przeskakiwała jakieś martwe zwierzę, kiedy z hałdy osunęło się parę grudek. Obejrzeli się i ujrzeli potężną nagą postać.

– Boy, szybko, uciekaj! – przestraszyła się Sonia.

Złapała Boya i błyskawicznie zaciągnęła go w pokrzywy, które o dziwo się rozstąpiły i cofnęły. Zanim Boy zdążył cokolwiek zrobić, odezwał się przeraźliwy wrzask, potem łomot upadającego olbrzymiego ciała, jęki rozpraszających się we wszystkie strony chłopców i ukontentowane mlaskanie pokrzyw.

– Musimy się przedostać jeszcze dalej – szepnęła Sonia popychając Boya przed sobą.

Ręce miał pogrążone w odrażającym bagnie, z wytrzeszczonymi oczyma czekał na rozwścieczonego olbrzyma lub na śmiertelny uścisk pokrzyw, jednak nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Po pełnych udręki metrach Sonia odrzuciła jakieś śmieci i podniosła okrągły właz.

– Na dół, szybko. Skacz!

Boya nie trzeba było dwa razy prosić. Dziewczyna zeskoczyła obok niego i z powrotem zatrzasnęła właz. Znaleźli się w całkowitej ciemności.

– Już dobrze – westchnęła Sonia.

– Co... co się stało?

– To taki wariat. Zawsze nas w tym miejscu atakuje... Aha, tobie pewno chodzi o pokrzywy. One się mnie boją. Nie wiem dlaczego, ale kiedy podchodzę do pokrzywy, jest tak przerażona, że gdyby miała nogi, chyba by uciekła.

– Gdzie są inni? – przypomniał sobie Boy. – Musimy ich poszukać.

– Zwariowałeś – całkiem spokojnie powiedziała Sonia. – Siedź cicho, głuptasie. Cieszę się, że ocaliłam chociaż ciebie... i tak będę miała dość kłopotów z jednym, nie myśl, że to będzie spacerek. A poza tym obawiam się, że nie byłoby kogo ratować... pokrzywy są cholernie żarłoczne.

Przewodniczka podeszła do Boya i pocałowała go.

Boyowi się to spodobało. Siedział cicho i był szczęśliwy, że jest tam, gdzie jest.

Odpoczęli kilka godzin a potem czołgali się jakimś kanałem, dopóki Sonia nie otworzyła kolejnego okrągłego włazu, przez który weszli na zaniedbany i brudny korytarz.

Wokół ścian ciągnął się legendarny szeroki pas indykacyjny. Był blady i matowy, mimo to pod Boyem ugięły się kolana.

– Nie bój się, kiedy pas jest matowy tak jak teraz, nic ci się nie może stać. Teraz jest okres spokoju, jeszcze długo nic się nie wydarzy. Zajdziemy daleko...

Minęli kolorowe gazetki ścienne z niedbale przymocowanymi plakatami, rysunkami Wież i zdjęciami guru.

Na jednej z gazetek złote litery tworzyły napis:

ROZWÓJ HISTORYCZNY WYKAZAŁ, ŻE BUDOWA WIEŻ JEST MOŻLIWA JEDYNIE POD PRZEWODNICTWEM GURU!

Sonia przeczytała hasło, syknęła i cicho zaklęła.

Szli dalej.

Pijany Gurum podniósł się i postanowił iść spać. Zaczął szukać teczki. Momentalnie wytrzeźwiał. Zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Zaklął i zaczął chodzić tam i z powrotem. Potem spocony wybiegł na korytarz w złudnej nadziei, że jeszcze złapie złodzieja.

Krążył po korytarzach z rozpaczą rozmyślając, co ma robić. Psy gończe i myszy na pewno szybko znalazłyby złodzieja, ale jeśli ktoś by się zainteresował, co jest w teczce... Chwycił się za głowę i lamentował, że nawet wśród guru są tak amoralne jednostki, które nie brzydzą się kradzieżą.

I nagle, pełen bezgranicznego zdumienia, zauważył, że pas indykacyjny zaczyna nabierać różowego a potem czerwonego zabarwienia. Zanim jego ciężko doświadczony umysł połączył chaotyczne fragmenty w sensowną myśl poczuł, że miękną mu nogi. Ze zgrozą sobie uzmysłowił, że w teczce miał również legitymację guru i że teraz stoi wystawiony na wszystkie niebezpieczeństwa, bezbronny wobec pułapek Wież. Rzucił się do ściany i zaczął szarpać deski zasłaniające okno. Udało mu się oderwać kilka sklejek i za trzecim czy czwartym razem przecisnął swoje brzuchate ciało przez otwór. Na ziemi został tylko luksusowy but, zabrudzony i porysowany o tynk.

Pas promieniał czerwienią.

Gurum na oślep skoczył w ciemną otchłań. Padając na coś miękkiego wzdrygnął się z obrzydzenia, w twarz smagnęły go gałęzie. Potem z korytarza dobiegł go jakiś hałas i rzucił się do przodu, jak najdalej od otworu. Stracił grunt pod nogami i zaczął spadać. Zahaczył o coś, upadł na twarde drewniane klepki i poczuł ostry ból w nodze.

Podłużny pas zaczął czerwienieć.

– To niemożliwe – zatrzymała się przewodniczka – przecież jest okres spokoju...

Boyowi zrobiło się niedobrze, zachwiał się i gdyby Sonia go nie podtrzymała, upadłby.

– Musimy zwiewać! – krzyknęła histerycznie porzucając swój belferski ton. – Szybko z korytarza!

Boy zatoczył się na ścianę i walił w nią pięściami:

– Ratunku! Ratuuunkuuu!

Sonia się opanowała. Chwyciła chłopca i siłą zawlokła go z powrotem do miejsca z gazetkami. Kopnęła w ścianę i całym ciałem się o nią zaparła. Pojawił się otwór. Wepchnęła w niego Boya i wpadła za nim.

Owiało ich świeże powietrze, upadli na coś miękkiego. Boy czuł, że wraca do zmysłów.

– W ostatniej chwili – odetchnęła Sonia. – Pamiętaj, że ściana jest najsłabsza tam, gdzie najbardziej krzykliwa gazetka.

– Gdzie jesteśmy? – wyjąkał Boy trzęsąc się na całym ciele.

– Na rusztowaniu, na zewnątrz Wieży. Rusztowanie jest chyba z czasów, kiedy budowali Wieże. Są tu ścieżki, którymi można dojść na wyższe piętra. Chociaż nie jest tutaj zbyt przytulnie...

Boy jeszcze przez chwilę leżał i zbierał siły. Potem z pomocą Soni wstał i zrobił parę kroków.

– Dasz radę?

– Chyba tak. Ale dokąd?

– Wiem, gdzie jesteśmy, nie bój się. Znam miejsce, gdzie można przenocować. Potem, w ciągu dnia, wejdziemy do Wieży o wiele wyżej. Ale i tak nie mogę zrozumieć... przecież miał być spokój... Teraz jest czas spokoju...

– Mnie tam wszystko jedno, bylebyśmy się stąd wydostali, błagam.

Szli po kołyszących się deskach, pokrytych czymś miękkim, omijali rośliny i zarośla wyrastające ze ścian Wieży i podłoża. Raptem Sonia się zatrzymała i ponad jej ramionami Boy dojrzał czworo świecących oczu.

– Stój spokojnie – syknęła – to suki, taki dziwny gatunek zwierząt. Zawsze chodzą parami i mówi się na nie bisuki.

Boy kurczowo się trzymał wilgotnej zardzewiałej rurki trzęsąc się z zimna.

– Cip, cip, cip... taś, taś, taś, chodź tu, kiciu, nie bój się – bełkotał zbliżając się do oczu.

Sonia złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem.

– Zwariowałeś! Gdyby się tutaj na nas rzuciły... popatrz w dół, pod siebie...

Boy spojrzał. Przez szparę w podłodze w potwornej odległości widział drobne światła miasta.

– No i co, hehhehe. Guru nauczą nas latać. Rozłożę skrzydła, o tak... Wie pani, że mój stary jest ptakiem?

– Nie, tego nie wiedziałam.

– No tak. Ale ma tylko jedno skrzydło, więc i tak to wszystko do dupy.

Boy się odwrócił, objął przewodniczkę i zaczął płakać.

– Nie chcę skończyć jak tata, chcę wrócić. Proszę, niech mnie pani odprowadzi do domu.

SIUDMAK





– No, już dobrze – uspokajała go Sonia – no, chłopcze, weź się w garść. Trudno tutaj, ale przyzwyczaisz się. Nie bój się, rano będzie lepiej... Musisz się przespać. Daj mi rękę, tak, idziemy... powoli...

Boy się zawstydził. Pociągnął nosem, wytarł twarz w rękaw i posłusznie pozwolił się prowadzić. Przestraszone hałasem bisuki trochę się odsunęły, lecz ciągle ich obserwowały. Boy oglądał się za nimi.

– Uczyliśmy się o nich w szkole.

– O kim?

– O bisukach.

– Tak?

– To nieszkodliwe zwierzątka, żyją w rozpadających się budowlach albo na wewnętrznych ścianach silosów. Żywią się resztkami farb, a powstały z mleka.

– Tego nie wiedziałam. Nas tego nie uczyli.

– Mleko to podstawowy surowiec przemysłu chemicznego. Jest białe, cuchnie i przy dotknięciu tworzy na naskórku pęcherze.

Powoli szli dalej. Sonia dobrze się tu orientowała. Korzystali z wąskich wydeptanych ścieżek, przeskakiwali zwały rur i przedzierali się przez wysoką trawę.

– Za chwilę będziemy na miejscu, wytrzymasz?

– Nogi mnie bolą.

– Opowiedz mi jeszcze coś.

– Co?

– Obojętne. O szkole. Albo o sobie.

– Właściwie szkoła nigdy mnie nie interesowała. Lubiłem tylko uczyć się magii, jak wyczarowywać cukierki albo kwiatki. Kiedyś wyczarowałem takiej małej dziewczynce kwiatka na głowie, a potem nie można go było zdjąć, nawet guru nie potrafił. Wtedy dostałem od taty lanie. Wlał mi i ręką, i skrzydłem, bo musiał tej małej opłacać ogrodnika. Ale i tak to wszysko było do niczego.

– Czemu?

– Bo wszystkie czary działały tylko, kiedy chciał guru. Kiedy podnosił taką karteczkę i trzymał ją nad głową.

– To legitymacja guru. My w szkole też uczyliśmy się czarować słodycze, ale już zapomniałam. To tutaj! Na tej platformie przenocujemy.

Pierwszy obudził się Boy. Był połamany i głodny. Stwierdził, że leżeli na jakiejś drewnianej płycie pokrytej warstwą kurzu i brudu, porośniętej kępkami lebiody i pokrzyw. Usiadł i zobaczył plątaninę rur, dziko rosnącą fasolę, a za nimi jasne niebo. Wstał i chciał się rozejrzeć po okolicy.

– Nie podchodź za blisko brzegu, bo spadniesz – sennym głosem powstrzymała go Sonia.

– Co tam jest?

– Co... Rusztowanie się tam chwieje, jeszcze nie zdążyło zarosnąć chwastami i darniną, tak jak tutaj.

Dziewczyna ziewnęła i usiadła. Rozkosznie się przeciągnęła i uśmiechnęła.

– Chodź jeszcze do mnie – zamruczała i wyciągnęła ręce.

Boy nawet miał na to ochotę, ale nie czuł się dobrze na niepewnym i brudnym podłożu. Poza tym niedaleko siedziały bisuki i uparcie wbijały w nich wzrok.

– Ja... raczej już się ubiorę, zimno mi.

Sonia coś odburknęła i wciągnęła panterkową kurtkę. Była rozczochrana i rozespana.

– Nie ma pani czegoś do jedzenia?

– Czemu mówisz do mnie pani? Jestem Sonia, jasne?

– Dobrze.

– Mam tylko ciastka i herbatę, łap!

– Dziękuję.

Dziewczyna jeszcze chwilę się przeciągała, potem wstała i wzięła od Boya butelkę.

– Zabawne zwierzątka, co – zatrzymała się przed bisukami. – No chodź tu, maleństwo, chodź.

Odłamała kawałek herbatnika i włożyła zwierzęciu do łapki. Wzięło go i w podskokach się wycofało. Pół herbatnika dało swojemu partnerowi. Potem oba zaczęły jeść i robiły to tak ostrożnie, że nawet okruszek nie spadł na ziemię.

Po śniadaniu przygotowali się do dalszej drogi.

– To dobrze, że możemy iść po rusztowaniu – powiedziała Sonia. – Nie pojmuję, dlaczego w nocy system się zaktywizował. To nie przez przypadek... Poza tym ominiemy niezbyt miły szczep mutów.

– Kto to mutowie?

– To właśnie ci, którzy nie mieli w Wieży szczęścia, no wiesz. Ciesz się, że ich nie zobaczysz. Właściwie mutem jest też ten olbrzym na śmietniku, a myślę, że trujące pokrzywy również...

– Pokrzywy?

– Czasami mi się wydaje, że też tak skończę... Kiedy będę miała pecha... słyszałeś? Ktoś krzyczał!

Sonia błyskawicznie wskoczyła na konstrukcję i szybko się wspinała. Po chwili wołanie usłyszał również Boy. Po kilku minutach na skraju rusztowania zobaczył potężną postać kurczowo trzymającą się pala.

– Pomóżcie mi, bo zaraz spadnę!

Po twarzy mężczyzny spływał pot. Sonia podskoczyła do niego i podała mu rękę. Mężczyzna na jednej nodze odskoczył od brzegu posykując z bólu.

– Co się panu stało?

– Sam nie wiem. Przypadkiem tędy przechodziłem... i pośliznąłem się. Upadłem i noga mi się zaklinowała między te cholerne deski...

Boy uważnie obejrzał mężczyznę. Był w doskonale skrojonym garniturze i mimo pożałowania godnego stanu pachniał dezodorantem i miał miękkie, wypielęgnowane dłonie. Kiedy na jego twarz padło trochę więcej światła, Boy ze zdumieniem stwierdził, że to Gurum.

– Gurum... – wyszeptal pobożnie i cofnął się parę kroków.

Sonia też zamarła nie wiedząc, co robić. Gurum nie był rad ze zdemaskowania. Nerwowo się uśmiechnął, przeciągnął dłonią po twarzy i trochę zakłopotanym tonem wyjaśnił:

– No... oczywiście, jestem guru Gurum, ale nie chciałbym, żeby o mnie wiedziano. Nie życzyłbym sobie, żeby mnie ktoś zobaczył w takim stanie... nawet nie mam szat, rozumiecie?

– O... oczywiście, guru, jak pan sobie życzy – ocknęła się Sonia. – Co możemy dla pana zrobić?

– Muszę się jak najszybciej dostać do swojej rezydencji.

– Ale nie wiem, gdzie...

– Pokażę wam drogę, proszę się nie obawiać – uśmiechnął się Gurum, ale zaraz skrzywił się z bólu.

Sonia podparła go z jednej strony, Boy po chwili wahania z drugiej i powoli powlekli go do ściany Wieży. Dziewczyna znalazła stosunkowo duży otwór obramowany ostrymi kawałkami cegieł. Boy wskoczył do środka i pomógł Gurumowi.

Znaleźli się w ciemnym korytarzu z mnóstwem drzwi. Stało tam kilka odrapanych szaf, chromowane, ale rozbite popielniczki na długich nóżkach i chyba trzy biurka zasypane formularzami.

– Którędy? – spytała Sonia.

– Ciągle w górę – odburknął guru i wskazał koniec korytarza, gdzie było widać klatkę schodową.

Na korytarzu pojawił się urzędnik, lewą ręką przyciskał do piersi plik papierów. Ze schodów zeszły trzy urzędniczki, zatrzymały się na środku korytarza i o czymś między sobą szeptały, co chwila wybuchając głośnym śmiechem. W jednej ręce miały papierosy, w drugiej porcelanowe kubeczki.

Sonia z Boyem prowadzili Guruma do klatki schodowej mijając urzędników, szafy i stosy dokumentów. W jednym miejscu leżała góra cegieł, dwa worki cementu i skrzętnie zgarnięta kupka kurzu. W murze był wybity podłużny otwór, przez który widać było biuro pełne urzędników pogrążonych w pracy.

Pokonali pięć pięter. Gurum z trudem oddychał.

Klatka schodowa nagle kończyła się przegrodą ze sklejki.

Rozejrzeli się.

– Chyba tamtędy – Boy wskazał oszklone drzwi, za którymi paliło się światło.

– Spróbujemy.

Drzwi prowadziły do krótkiego korytarza, gdzie stały dwie kartoteki, wszechobecna tajemnicza skrzynka, małe biurko a przy nim urzędnik. Na końcu korytarza była wnęka a za nią kilka schodów w dół.

– Którędy dostaniemy się na górę? – spytał Gurum.

– Nie od tego tutaj jestem – bezosobowo i obojętnie odpowiedział urzędnik.

– Pytam, gdzie są schody!

– Nie wiem.

Gurum groźnie sapnął, ale przypomniał sobie, że chce zachować incognito i odszedł na bok. Pofukując pozwolił się odprowadzić.

Zeszli do pomieszczenia przepełnionego zwykłymi półkami opartymi o ścianę. Panowały tu wilgoć i zaduch. Półki były zawalone papierami.

W rogu pomieszczenia coś zaszeleściło i pojawiła się budząca grozę postać. Miała mniej więcej ludzkie ciało, ale za nim trzy głowy osadzone na długich ruchliwych szyjach.

Boy oniemiał z przerażenia. Wymacał rękę Soni i kurczowo ją ścisnął.

– Wilkosmok – wyszeptała dziewczyna i odwzajemniła uścisk.

Gurum obficie się pocąc, z wolna wycofywał się wzdłuż ściany.

Wilkosmok poruszał się powoli, niemal się zataczał opierając się o półki. Był w wymiętym ubraniu z przekrzywionym krawatem, i w rozchełstanej koszuli, spod której wyglądał podkoszulek. Dwie głowy nosiły okulary, a trzecia, środkowa, na wysoko uniesionej szyi, patrzyła spod oka.

Wilkosmok śmierdział potem.

W ręku trzymał młotek.

W głębi archiwum otworzyły się drzwi i weszła postawna urzędniczka w okularach. Ręce miała pełne dokumentów i próbując ich nie wypuścić koniuszkami palców szukała kontaktu. Gdy zapłonęła żarówka, ujrzała monstrum.

– Ojej – krzyknęła bardziej zdegustowana niż przestraszona i szybko przemknęła obok wilkosmoka do jednej z półek. Rzuciła na nią dokumenty i pobiegła z powrotem.

Boy zauważył, jak potężne pośladki kołyszą się z boku na bok.

– Musimy iść za nią, szybko!

– Czekajcie! – ryknął Gurum. – Natychmiast wracajcie, nie dam rady!

Sonia niepewnie się zatrzymała, wróciła, chwyciła Guruma za łokieć. Pobiegli za urzędniczką i zatrzasnęli drzwi. Trafili do dużej kancelarii pełnej biurek.

Z sufitu zwisały pajęczyny, a całe pomieszczenie było przesiąknięte słodkawym odorem. Stoły tonęły pod papierami i nie mytymi naczyniami, na środku biura stała pompa i zgrabnie urządzone palenisko.

– Tam... tam jest wilkosmok! – krzyknął podniecony Gurum.

– Znowu? – spokojnie zdziwił się siedzący najbliżej różanolicy urzędnik w okularach. – Trzeba będzie poczekać.

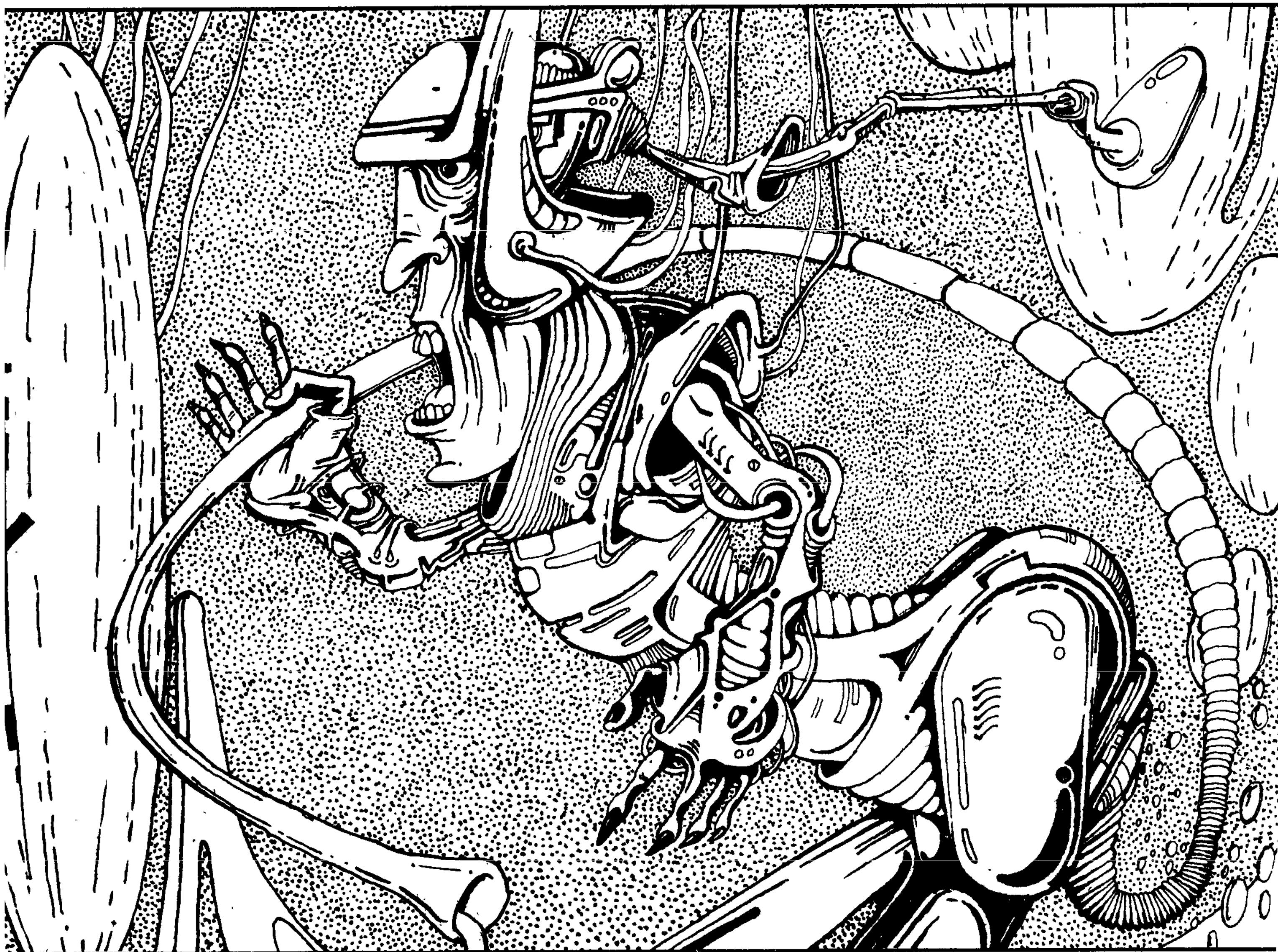
Z radością odłożył papiery i wyciągnął gazetę. Zaczął czytać, potem szybko podniósł wzrok i uważnie przyjrzał się twarzy guru. Poznał go.

– Przecież pan jest...

– Pst! – syknął Gurum. – Cicho, przyjacielu.

– Tak, oczywiście, rozumiem. Ale nie wiem...

– Nie szkodzi, przyjacielu, wystarczy, jeśli nas pan zaprowadzi w jakieś spokojne miejsce.



Piotr Promiński

– Skoro tak... wziąłbym was do domu, o ile nie wzgardzicie. Tędy proszę.

Wskazał drugą część kancelarii, gdzie stał szereg nie zaścielonych łóżek oddzielonych od siebie parawanami albo tekturowymi ściankami. Urzędnik podprowadził ich do jednego z łóżek i poczekał, aż siądą.

– No. Jak długo to może trwać? Nie można wyjść inną drogą? Spieszymy się.

– Niestety, jedyne wyjście prowadzi przez archiwum – urzędnik zrobił skruszoną minę.

– A jak długo ten potwór może tam siedzieć?

– Różnie. Dwie, trzy godziny, czasami cały dzień.

– Cały dzień? Wykluczone – guru pokręcił głową – wykluczone. Musimy coś zrobić.

– Niestety, to niemożliwe. Kiedy wilkosmok się pojawia, trzeba spokojnie czekać, póki nie odejdzie.

– I jesteście tu zamknięci przez cały ten czas?

– Tak. Ale to nic strasznego. I tak, jak pan widzi, mieszkamy tutaj – z dumą pogładził brudne prześcieradło.

– Ale co jecie i gdzie chodzicie... no...?

– Jemy mało i niewyszukanie – skromnie mruknął urzęd-

nik. – I długo wytrzymujemy bez jedzenia. A kiedy jest bardzo źle, jemy dokumenty. Papier jest wyprodukowany z odżywczego plastyku, w smaku jest trochę słony... Gorzej z tym... hm... no, wie pan. Gdybyście musieli, to tam, w kącie...

Urzędnik spłonął rumieńcem, a Sonia z obrzydzeniem się odwróciła.

– To straszne. Jedna trójgłowa bestia, a kopa urzędników nie może z nią sobie poradzić!

– Jest niebezpieczny!

– A nie boicie się, że wejdzie tutaj? Przecież drzwi nie są zamknięte na klucz.

– Nigdy tu nie wchodzi. Tu ma wstęp wzbroniony.

Sonia postawiła oczy w słup.

– A skąd właściwie wiecie, że jest niebezpieczny? – spytała zgryźliwie.

– No... to... od zawsze. Kiedy pojawia się wilkosmok, przestaje się pracować i czeka się, póki,...

– Zerknę na to – przerwała mu Sonia. – Zaczekajcie tutaj.

Wilkosmok oczywiście nie był niebezpieczny. Raczej osamotniony. Cały czas wstydliwie pocierał jeden z pysków, uśmiechał się, gorliwie przytakiwał albo drapał się w pomarszczone łyse głowy z małymi czułkami. W klapę marynarki miał wpiętą niewielką odznakę z małą figurką.

Z wdzięcznością porozmawiał z Sonią, a nawet poprosił, czy nie mógłby iść z nimi. Sam się bał. Gurum łaskawie się zgodził – im więcej osób będzie go podpierać, tym lepiej.

Wilkosmok zaprowadził ich do drabiny, po której weszli na wyższe piętro.

Szli dalej.

Po kilku godzinach dotarli do zburzonej klatki schodowej. Gurum zatrzymał się i zrozpaczony popatrzył w górę.

– Nie wejdę, za nic się tam nie wgramolę.

– Nie ma innej drogi? – spytała Sonia.

– Skąd mogę wiedzieć? Myślicie, że nie mam nic innego do roboty niż włóczenie się po Wieżach i rysowanie mapek?

– Przepraszam.

– Może... ja chyba wiem – odezwał się wilkosmok i podrapał się w połączenie szyi. – No bo ja... mam skrzydła.

Powiedział to nieśmiało, ale z niemałą dumą. Zrobił znaczącą pauzę i spojrzał, czy jego słowa zrobiły odpowiednie wrażenie.

Zrobiły.

– Skrzydła? Gdzie?

– Noszę je złożone pod marynarką. Chwileczkę.

Ostrożnie zdjął marynarkę i podał ją Soni.

– Czy może pani przytrzymać?

Rozpiął i zdjął koszulę i podkoszulek. Na plecach miał starannie złożone białe wstęgi skrzydeł, dodatkowo zatknięte za spodnie.

– Proszę damę o wybaczenie – zarumienił się.

Sonia odwróciła się tyłem. Wilkosmok zsunął spodnie, zatrząsł biodrami, potem jeszcze opuścił slipy i wreszcie uwolnił skrzydła. Lekko się zakołysał i skrzydła się rozpostarły. Podciągnął slipy i spodnie.

– Gotowe – powiedział. – Za pozwoleniem, zaniosę pana na górę. Proszę mnie złapać za szyję.

Gurum usłuchał.

– Odsuńcie się trochę – zwrócił się do pozostałych.

Wilkosmok zamachał skrzydłami, poczerwieniał z wysiłku, ale powoli się uniósł. Doleciał do górnego korytarza, zatoczył się i Gurum go puścił.

– Dzięki, przyjacielu, dzięki – Poklepał wilkosmoka po plecach. – Takie skrzydła to jest coś... Nawet guru tego nie mają... No tak.

Boy i Sonia w tym czasie wspięli się po resztkach schodów.

Wszyscy wychwalali wilkosmoka, który powtórzył całą procedurę przy składaniu skrzydeł i nieustannie się uśmiechał swoimi trzema głowami.

– Dobre, dobre skrzydła – mówił już po raz dziesiąty Gurum i z przechyloną głową patrzył na wilkosmoka – dlaczego je chowasz, przecież są piękne!

– Wyglądałbym trochę dziwnie. Za bardzo wyróżniałbym się z tłumu.

– No tak. Tak. Wspaniała rzecz takie skrzydła, nawet guru takich nie mają.

Rozejrzeli się.

Korytarz był wyłożony karminowym dywanem, stało tam kilka masywnych skórzanych foteli i chromowany stolik. Nie opodal stała palma.

– Już wiem, gdzie jesteśmy – odetchnął Gurum i wystawił ręce, żeby Boy z wilkosmokiem mogli go podeprzeć. – Już blisko do rezydencji.

Minęli kilka dużych okien zabitych deskami.

Korytarz skręcał łagodnym łukiem, na końcu którego leżał starannie rozłożony papier a na nim kilka kształtek. O ścianę były oparte trzy poprzeczki. Ostrożnie obeszli materiały i zatrzymali się przed obitymi pluszem drzwiami.

Gurum wyjął klucz i otworzył. Ukazał się obszerny hall z wodotryskiem, marmurową rzeźbą i palmami. Krzątało się tam kilku czangów, jeden szczotką szorował rzeźbę.

Gurum nagle się zatrzymał i cicho krzyknął. Na jednej nodze doskoczył do przeciwległych drzwi, gdzie na klamce wisiała skórzana teczka. Z niecierpliwością ją zerwał i przycisnął do piersi.

– Wreszcie! – wyszeptał. – Wreszcie ją mam!

– Co w niej jest? – spytał Boy.

– Co ci, smarkaczu, do tego – warknął guru. – I... już was nie będę potrzebował. Idźcie sobie!

Nerwowo sięgnął ręką do bocznej kieszeni teczki i wyciągnął legitymację. Podniósł ją nad głową.

Boy niepewnie odwrócił się do Soni. Dziewczyna wzięła go za rękę i pomału zaczęła się wycofywać. Zakłopotany wilkosmok stał pod schodami nie wiedząc, co począć. Polubił Guruma, bo ten tak chwalił jego skrzydła.

– Ja też? Ja też mam iść? – spytał głupkowato. – Przecież mówił pan, że mam fajne skrzydła.

Gurum się ocknął.

– Aha, te skrzydła. Chodź tu, pokaż mi je. Toż to skarb.

Wilkosmok się rozebrał i wyciągnął skrzydła. Dumnie je rozpostarł.

– Dobra – powiedział guru – ale uważasz, kiedy latasz? Żeby o coś nie zahaczyć albo nie narobić jakiejś szkody?

– Mało latam. Tylko dla radości. I ostrożnie.

– Czyli dla radości. Guru ich nie mają, a ty sobie latasz dla radości. Coś ci powiem, trzy głowy a do tego skrzydła to pewne nieszczęście!

– Ale...

– Różnisz się od ludzi. A to niebezpieczne. Wiesz co? Ty pomogłeś mnie, ja pomogę tobie.

– A jak?

Gurum znowu podniósł legitymację.

– Chodź tu i odwróć się!

Wilkosmok zdziwiony się odwrócił jedną głową obserwując, co guru zamierza zrobić. Ten coś wyszeptał i skrzydła spadły na ziemię. Na plecach wilkosmoka zostały tylko dwa kikuty.

– Guru ich nie mają, więc ty też nie będziesz miał – wysyczał Gurum, ale zaraz się opanował i przymilnie dodał – no i po kłopocie, nawet nie bolało, prawda?

– Dzię... Dziękuję.

Sonia i Boy wybiegli z hallu, schowali się w małej wnęce przy najbliższych schodach i czekali na wilkosmoka.

Pojawił się i powoli, z opuszczonymi głowami i z marynarką w ręku zbliżał się do nich.

– Co się stało?

– Odciął mi skrzydła. Ponoć mi przeszkadzały. Myślicie, że naprawdę mi przeszkadzały?

– A to łajdak! – Sonia wytrzeszczyła oczy. – To... to nie do wiary, taka szuja!

– Cicho, jeszcze cię usłyszy! – ostrzegł ją Boy.

– Mam go w dupie! – rzuciła czerwona z wściekłości dziewczyna, ale ściszyła głos.

– Dokąd teraz pójdziemy? – spytał Boy.

– Nie wiem.

– Nie orientujesz się tutaj? – odwrócił się do wilkosmoka, który miął marynarkę próbując ułożyć sobie w głowie, co się stało.

– Co? Ja... nigdy tu nie byłem.

– No to pójdziemy w górę, nie? Przyznam się, że tak wysoko też jeszcze nigdy nie byłam, ale w Wieży powinno się iść ciągle w górę. Co wy na to?

– Mnie to obojętne.
– Mnie też...
Weszli o trzy piętra wyżej. Klatka schodowa była wyłożona marmurem, a poumieszczane tu gazetki ścienne miały ramy z ciemnego drewna.
Usłyszeli głosy. Sonia się zatrzymała i przycisnęła ucho do drzwi. Potem je uchyliła i zajrzała do środka. Ujrzała skórzane foteliki, stoliki, kilka oszklonych szafek, przeważnie pustych, ale zamkniętych na szkaradne kłódki.
– Izba tradycji! – wyszeptała Sonia.
Boy też zajrzał. Na ścianach wisiały pogniecione dyplomy, a tuż przy drzwiach stała tradycyjna skrzynka Obcych. W pomieszczeniu było kilku popiskujących czangów. Rozmawiali ze sobą. Potem raptownie umilkli i część z nich wyszła. Szli jeden za drugim niosąc miotły, łopaty i wiaderka. Gdy zniknęli, z sąsiednich drzwi wynurzyli się dobrze ubrani urzędnicy. Z uroczystymi minami usadowili się w fotelach.
– Muszę iść do toalety – wyszeptał Boy.
– Akurat teraz... pośpiesz się, poczekamy w środku, żeby nie być tak na widoku. Szybko!
Boy pobiegł, a Sonia z wilkosmokiem weszli do izby. Po chwili otworzyło się tajne przejście i pojawił się Gurug. Urzędnicy urządzili mu owację.
Gurug przywitał się z przylepionym na twarzy uśmiechem wyższości. Stanął za mównicą.
– No to sobie posłuchamy gadki o moralności – szepnęła Sonia do wilkosmoka. – Cholerny Boy, musiał właśnie teraz...
Gurug zaczął i wkrótce jego mowa spłynęła w jednolity monotonny szum.
Reakcja obronna organizmu.
Soni zaczęły się kleić oczy. Nagle w półśnie spostrzegła, że ściany zaczynają czerwienieć. Gwałtownie wstała i krzyknęła:
– Czerwone!
Jak na komendę wybuchła panika. Urzędnicy z jękiem jeden przez drugiego gnali do wyjścia. Gurug zniknął w tajnym przejściu i tylko czangowie niewzruszenie podnosili poprzewracane meble.
Ktoś odepchnął Sonię. Upadła między fotele, szczęśliwa, że uniknęła stratowania. Objęła głowę dłońmi i czekała, co się z nią zacznie dziać, czy poczuje słabość w ciele czy w duchu...
Zapanowała cisza, którą przerwało zdumione pytanie Boya:
– Co tu się stało?
Sonia podniosła głowę i wyplątała się z gmatwaniny foteli. Pas indykacyjny był blady i spokojny.
– Boy... to... to się wyłączyło...
Stanęła jak wryta i wpatrywała się w czarną skrzynkę, jeszcze przed chwilą nietykalną i nieosiągalną, jak wszystkie inne, a teraz otwartą, z drgającą odrzuconą pokrywą.
– Są tutaj! Obcy są tutaj – zadygotała dziewczyna.
Boy podszedł do niej, wziął za rękę i wyprowadził na korytarz. Zaczęli uciekać, biegli ciągle w górę, dopóki nie padli z wyczerpania. Znaleźli się w małej ciemnej komórce, ale było to im zupełnie obojętne.
Sonia cicho powiedziała:
– W izbie tradycji byli z nami Obcy... Staliśmy obok nich, patrzyliśmy na nich, może nawet ich dotknęliśmy... Tylko nie wiemy, kim właściwie są.
Ciarki przebiegły im po plecach. Oboje przeczuwali, że wkrótce ponownie spotkają się z Obcymi.

Gurum uśmiechnął się i z błogością przymknął oczy. Ja ci dam skrzydła, ty gówniarzu, pomyślał prawie dobrodusznie patrząc na odchodzącego wilkosmoka.
To mu poprawiło humor.

Zdeněk PÁV

Jeden z plejady młodych czeskich autorów, laureatów nagród Parconu. Jak nas informują czescy miłośnicy fantastyki, konkurs ten ma wysoki poziom i cała pierwsza dziesiątka opowiadań zasługuje na uwagę. Podobnie jak z poprzednimi czeskimi opowiadaniami jest to pierwodruk – w Czechosłowacji „Wieża Guru" ukazała się tylko w wydaniu klubowym.

L.J.

Otworzył drzwi i z rozkoszą wciągnął w nozdrza zapach swojej rezydencji, w której nie był od dwóch długich i pełnych wydarzeń dni. Najpierw wypuścił aromatyczne pszczółki, żeby nasyciły powietrze przyjemną wonią, wsypał do wody swoje najlepsze traszki i krzyknął do łazienki na elastyczną wannę, żeby napełniła się gorącą kąpielą. Już sobie wyobrażał, jak go obejmuje swoimi aksamitnymi ramionami...
Usiadł w fotelu i otworzył teczkę.

Szczęka mu opadła. Aktówka była pusta. Kaseta z pająkiem zniknęła! Z wściekłością się poderwał, trzasnął teczką o ziemię i gniewnie chodził po pokoju.
– Bandyci, łajdaki, świnie!
Z teczki wypadła duża biała koperta.
Szybko ją podniósł i niecierpliwie rozerwał.
Szanowny guru Gurumie!
Ja również jestem guru i przestrzegam wszystkich zasad etycznych. Dlatego oddaję panu pańską teczkę i legitymację, ponieważ zdaję sobie sprawę, jakie kłopoty spowodowałaby ta strata.
Guru
Gurum kilkakrotnie przeczytał list a potem z wściekłością go podarł.
Wanna przywoływała go do siebie słodkim głosem, traszki łapkami trzymały się skraju karafki wypełnionej łagodnym winem, ale ich pan nie miał głowy do rozrywek.
Nagle po jego ciele przebiegły ciarki i zorientował się, że nie jest w pokoju sam. Czuł, że są tu Obcy.
Szybko się odwrócił i oczy wytrzeszczyły mu się ze zgrozy.

Rano znaleźli go czangowie, którzy przyszli posprzątać. Gurum leżał na podłodze, jego legitymacja i szaty znikły. Gdyby czangów interesowała przyczyna zgonu, z łatwością by stwierdzili, że było to uduszenie.
Ale czangów to nie interesowało.
Martwe ciało było dla nich zwykłym śmieciem, który trzeba usunąć.

Rano obudzili się późno, byli rozbici i wcale nie wypoczęci. Znajdowali się w ciemnym, ale luksusowo urządzonym pomieszczeniu. Ściany były wyłożone marmurem, podłogę pokrywał gruby czerwony dywan, a pod sufitem wisiał kryształowy żyrandol.
Boy usiadł, podciągnął nogi do brody i rozmyślał o wczorajszych wypadkach. Jeszcze teraz ciarki przebiegały mu po plecach, gdy przypomniał sobie Sonię z przerażeniem wbijającą wzrok w otwartą skrzynkę... Przywołał w pamięci obraz wszystkich osób, które były w izbie: urzędników, czangów, Guruga... i Soni, i wilkosmoka.
Przyjrzał się dziewczynie. Przewodniczka... naprawdę tylko dzięki jej operatywności tak łatwo przemykają się przez Wieżę. Albo...

– Gdzie został wilkosmok? – spytała nagle Sonia.
– Nie wiem. Ostatni raz widziałem go w izbie. Myślę, że wrócił do swojego archiwum.
– Szkoda. Był rozkoszny...
Sonia podniosła głowę. W suficie był właz wyłożony modrzewiem.
– Myślisz, że tam...?
– Oczywiście, Boy. Ciągle w górę, dopóki można.
– Ale... jak wrócimy? Którędy?
– W Wieży martw się tylko o jedną drogę – w górę. Zapamiętaj to sobie. Na dół dostaniesz się łatwo.
– Skąd wiesz?
– Nie jestem tu po raz pierwszy – uśmiechnęła się. – Za drzwiami jest drabina, przynieś ją tutaj.
– Skąd wiesz?
– Wczoraj ją zauważyłam – powiedziała z przekąsem.
Boy przyniósł drabinę i wszedł na nią. Popchnął właz. Bez problemu go uniósł i ostrożnie wyjrzał, dokąd prowadzi. Sonia obserwowała go z rozbawieniem, przynajmniej tak mu się wydawało.
– No i co?
– Nikogo tam nie ma.
– Właź! Szybko!
Wstała.

Pomieszczenie było jeszcze bardziej luksusowe i monumentalne. Powietrze przyjemnie pachniało.

– Jesteśmy już blisko, tak mi się wydaje – powiedziała podekscytowana Sonia. – Tutaj jeszcze nigdy nie byłam.

– A w zasadzie czego my szukamy? – spytał prawie wściekły Boy.

– Czego? No, chyba Świątyni. W Świątyni jest klucz do władzy guru, głuptasie. Już nie będziemy musieli szukać miejsc, gdzie ci urosną mięśnie albo rozumek. Będziemy mieli wszystko. I to zaraz!

Dziewczynie błysnęły oczy i zaróżowiły się policzki.

– Boję się. Boję się, że tâm będą Obcy...

– Ale to chyba warte strachu, nie?

Widać było, że przy wzmiance o Obcych Sonia straciła pewność.

Przyszedł czang z odkurzaczem i zaczął sprzątać.

– Chodź!

Po szerokich i okazałych schodach weszli na kolejne piętro. Znaleźli się w olbrzymiej hali, niezwykle jasnej, przeszklonej ze wszystkich stron. Pośrodku, wśród wysokich palm i kwiatów stał blady sześcian z ciężkimi, obitymi skórą drzwiami.

– Świątynia – westchnęła Sonia.

Pracowało tu kilku czangów. Zamiatali, myli okna, jeden pielęgnował palmy opryskując je środkiem przeciw mszycom. Kilka tafli okiennych było wybitych i dziury prowizorycznie zalepiono szeleszczącą i furkoczącą na wietrze folią.

Podkradli się do Świątyni i ostrożnie podeszli do drzwi. Dobiegały stamtąd głosy.

– Mówię wam, że to katastrofa. Bez pająka jesteśmy zgubieni, a jeśli zabrali go Obcy...

– Już kilkakrotnie zakazywałem mówić o Obcych. Nie istnieją! Takie zabobony schowajcie sobie na kazania dla plebsu!

– A otwarte skrzynki? A pająk?

– Pająka znajdziemy, a skrzynki ktoś nauczył się otwierać i chce to wykorzystać.

Głos brzmiał władczo i lodowato. Należał do naczelnego guru.

– Ale kiedy, kiedy? Kiedy go znajdziemy? Kto to ma wytrzymać? Ciągle czekać, skąd to przyjdzie, z której strony... – drugiemu głosowi niewiele brakowało do histerii.

– Proszę się uspokoić. Przede wszystkim trzeba zachować pozory, że wszystko jest w porządku, jasne? Muszą się odbyć wszystkie zaplanowane akcje, ewentualne wątpliwości bezkompromisowo stłumić! A jeśli ktoś będzie zbyt ciekawy... Na marginesie, w drugiej Wieży pas ustalił się na kolorze białym. Trzeba uważać, żeby nie dostał się tam ktoś niepowołany. Nie potrzebujemy żadnych samozwańców.

Głosy umilkły. Trzech guru wyszło ze Świątyni i pośpieszyło do swoich obowiązków. W pomieszczeniu rozległ się brzęk szklanek i cicha rozmowa.

Przybiegło dwóch czangów. Jeden niósł tacę z butelkami, drugi pełny półmisek. Mimo powagi sytuacji Boy uzmysłowił sobie, że jest potwornie głodny.

Sonia wzięła go za rękę. Wrócili na szerokie schody.

– Nie wejdziemy do Świątyni – powiedziała z rozczarowaniem. – Ale to nic. Musimy dostać się do drugiej Wieży. Zanim odetną nam drogę.

– Po co? Co tam będziemy robić? Soniu, wracajmy... Chciałbym się jak najszybciej stąd wydostać.

– Zwariowałeś? Teraz? Taka szansa! Mówili, że tam pas się ustalił, rozumiesz, USTALIŁ na białym! Od lat czekam na taką okazję...

Gurul się rozejrzał. Szybkimi krokami przemierzył korytarz i zbiegł ze schodów. Pogładził ręką łysinę i w zadumie przystanął. Przerzucił kasetę z jednej ręki do drugiej. Od rana był na nogach, nie miał pojęcia, gdzie ukryć zdobycz, zanim sytuacja się nie ustabilizuje i będzie mógł coś przedsięwziąć.

Nagle pas indykacyjny gwałtownie poczerwieniał.

Gurul przestraszył się i zaklął. Chciał szybko wyciągnąć zawieszoną na łańcuszku na szyi legitymację i wypowiedzieć ochronną formułę, lecz mankiet szat się zaciął i nie chciał puścić. Gurul skoczył do najbliższych schodów, ale potknął się i uderzył w głowę.

Zanim zdążył się podnieść, zapomniał, co chciał zrobić.

W jego oczach pojawiła się oznaka spokoju i zadowolenia. Kucnął na ziemię, upuścił kasetę z pająkiem i błogo się uśmiechnął.

Po brodzie ciekła mu ślina.

– Glu, glu, buba, buba – zagaworzył i opadł na czworaki.

Zaczął raczkować.

Na schodach pojawił się czang. Na widok Gurula z zadowoleniem podrapał się po pomarszczonym suchym brzuchu. Zaszeleściło.

Czang zszedł na korytarz, z obrzydzeniem odepchnął nogą gaworzącego guru i podniósł kasetę. Sprawdził, czy w środku jest pająk i szybko odszedł.

Gurulowi podwinęła się ręka i upadł na brzuch. Z ręki ześliznął mu się rękaw. Przycisnął go kolanem i szaty zsunęły mu się z połowy ciała. Po chwili raczkował po podłodze zupełnie nagi. Olbrzymi i komicznie niezgrabny leżał i z zaciekawieniem przyglądał się swojej ręce. Przebierał palcami tam i z powrotem.

Pas indykacyjny przygasł.

Szaty się nagle poruszyły.

Podniosły się.

Zrobiły niezgrabny krok i zbliżyły się do ludzkiego wraka. Mankiety nogawek stąpały szeroko a rękaw wjechał pod łańcuszek na szyi Gurula. Rękaw szarpnął i legitymacja upadła na ziemię. Zanim szaty zdążyły ją podnieść, na schodach rozległy się kroki.

Szaty straciły kształt i osunęły się na podłogę.

Sonia weszła na korytarz i z zaskoczeniem się zatrzymała.

– Patrz... przecież to Gurul! A tutaj leżą szaty! I legitymacja!

Boy chwycił ją za rękę.

– Puść mnie!

– Nie, Soniu, nie! Nie rób tego!

– Puszczaj, ty idioto!

Boy wymierzył jej policzek. Sonia chwyciła się za twarz i powoli podniosła oczy. Miała w nich łzy.

– Chyba... zwariowałam – cicho powiedziała. – Przepraszam. Dzięki, Boy.

– Musimy zwiewać!

Boy przeskoczył przez szaty, ale zahaczył nogą o szeroki mankiet nogawek.

– Cholera...

Pochylił się, żeby uwolnić nogę, ale mankiet mocno ją ścisnął. Podjechał aż pod kolano. Boy się uśmiechnął.

– Przyjemne uczucie! Przymierzę je! Tylko na chwilę, taka okazja już mi się chyba nie przytrafi, nie?

Niewiarygodnie łatwo wślizgnął się w szaty.

Sonia stała z boku, z ręką na ustach i wytrzeszczonymi oczyma. Widziała, że szaty same przylgnęły do ciała chłopca, że owinęły się wokół niego jak wąż.

– Ale bomba!

Boy był zachwycony. Niczego nie podejrzewał.

– Boy, zdejmij to!!!

– Nie bój się, zaraz to...

Gwałtownie wciągnął powietrze. Mankiet wokół szyi mocno się zacisnął. Chciał go poluzować, ale nie potrafił podnieść ręki. Coś go zmuszało, by podejść do Soni.

– U... uciekaj!

Mankiet zacisnął się jeszcze mocniej. W oczach mu pociemniało. Sonia rzuciła się do okna. Wybiła szybę i chwyciła za framugę. Boy, wbrew własnej woli, odbił się, skoczył i złapał dziewczynę za szyję. Zaczął ją dusić.

Sonia go odtrąciła i wyrwała się.

Wyskoczyła.

– So...

Mankiet wokół szyi się rozluźnił. Boy wstał i patrzył, jak dziewczyna szybko schodzi po rusztowaniu i znika w dole.

Mankiet ponownie ścisnął mu szyję. Boy się odwrócił.

Za nim stał czang i podawał mu legitymację.

Legitymację guru.

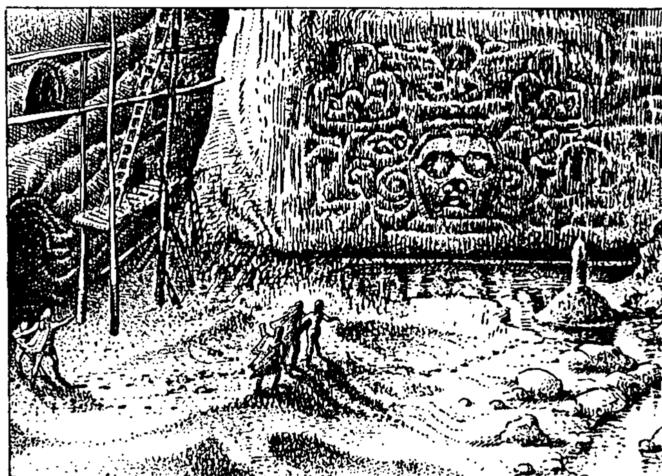
Przełożyła **Joanna Czaplińska**

Scenariusz: Jacek Rodek i Wiktor Żwikiewicz. Rysunki: Andrzej O. Nowakowski.





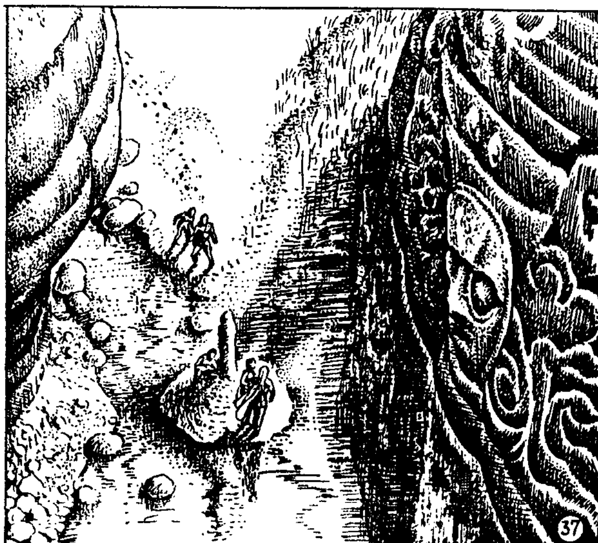













POTRAFISZ ODCZYTAĆ TE ZNAKI ?
BYĆ MOŻE, ALE... SPÓJRZ !


TAM !
MYŚLISZ ?!...







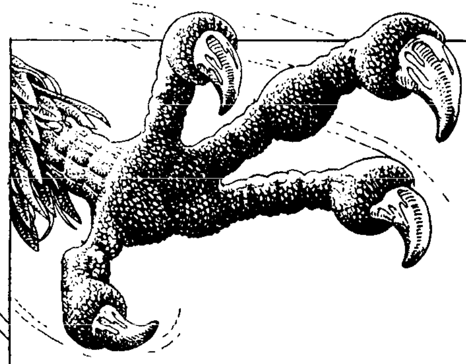



A. O. Nowakowski 90



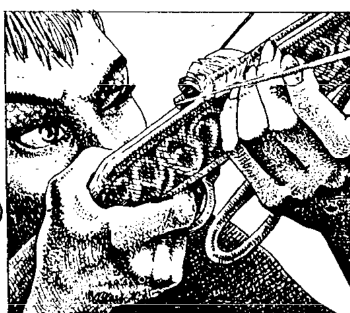

?!

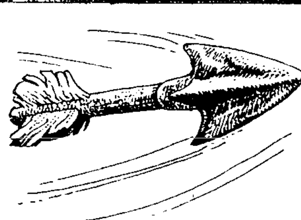

SSSSSHHRR









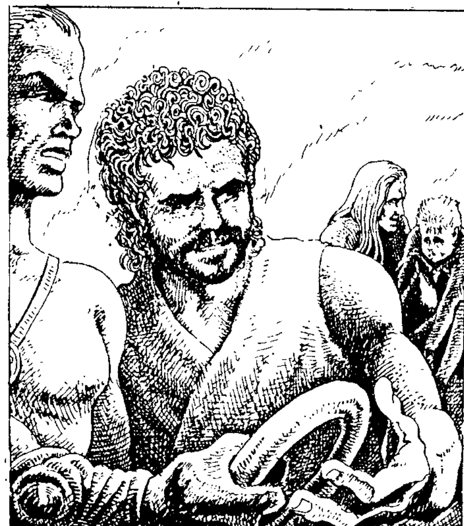








MYŚLAŁEM JUŻ, ŻE CAŁE ZŁOTO PRZEPIJEMY NA STYPIE!
O! A JEDNAK TRUDNO BEZ ZŁOTA!
SAM NIE WIEM, CO ZROBIĘ Z TYMI DŁUGAMI WDZIĘCZNOŚCI...
ZARAZ, A GDZIE NASZ DZIELNY TROPICIEL ŚLADÓW?
WYBACZ, PANIE!...
ROBNOSTKA. Z TEJ ODLEGŁOŚCI MOGŁEŚ SAM DOSTAĆ. NIE MAM POJĘCIA JAK STAŁO SIĘ INACZEJ
TU JEST!... O BOGOWIE! JAK BYM KONIA WYCIĄGAŁ Z BAGNA!
I TO KONIA NADZIANEGO ZŁOTEM!



CLICK
TO JAKAŚ CIEMNA SPRAWA ALE, JEŚLI TEN PIERŚCIEŃ BĘDZIE PASOWAŁ, TRZEBA WSZYSTKIE CZTERY OBRÓCIĆ ZGODNIE Z PEWNYM SYSTEMEM...



BOOM
BROOOMM
O BOGOWIE! TEN ZNAK TO... **ŚMIERĆ!**

Mirosława Sędzikowska

Pan Rimek

Stało się to pięć miesięcy po tym, jak Rimek i Linda przybyli do tego zrudziałego od słońca i wiatru miasteczka. Dzieci zamieszkały u babki Leontyny, która była głucha jak pień i potrafiła przypalić nawet wodę do herbaty. O ich rodzicach mówiono, że siedzą gdzieś na drugim końcu świata, zarabiają duże pieniądze, ale nie stać ich nawet na karty pocztowe – czy też po prostu nie mają pojęcia, w jakim punkcie drogi są Rimek i Linda w swej długiej wędrówce od krewnych do krewnych.

Dom babki Leontyny stał przy placu Wolności i często można było widzieć dzieci, jak biegają po trawnikach albo gonią się wokół Pomnika Zwycięstwa. Nie trzeba było specjalnej spostrzegawczości, aby stwierdzić, że Rimek jest najładniejszym dzieckiem w miasteczku. Karnacją przypominał świeżo wyłuskany kasztan, a temu, kto zajrzał pod długą firankę rzęs, mogło się wydawać, że agatowe oczy kryją niezwykłą tajemnicę.

Linda była żwawą, pulchną dziewczynką o pospolitej buzi i miłym uśmiechu. Nie wiadomo, czy zazdrościła bratu urody, ale jeżeli tak było, nikogo nie powinno to dziwić. Choć pełna życia i nie pozbawiona dziecięcego uroku, przy swoim pięknym bracie chwilami stawała się niewidoczna. Dla jedenastoletniej dziewczynki nie jest to najmilsza sytuacja.

Trzeciego sierpnia w samo południe, a więc dokładnie pięć miesięcy po przyjeździe Rimka i Lindy, miasteczko ciągle jeszcze było takie, jak dawniej, tylko może bardziej zrudziałe, spękane i ciężko dyszące w sierpniowym upale. Dzieci deptały przywiędłe trawniki placu Wolności, w pobliskim wykopie leniwie machali łopatami dwaj młodzi robotnicy, a posterunkowy Molinda zastanawiał się właśnie, czy zgonić pędraki z trawników, czy może już nie warto. I wtedy to się stało. Cztery drzewa rosnące na placu Wolności przygięły się jak targnięte potężnym wiatrem, potem wyskoczyły w górę, pryskając ziemią i kępami trawy, aby wreszcie runąć z dziesięciometrowej wysokości.

Łupnięcie i cisza.

Posterunkowemu Molindzie czapka spadła z głowy, ale nawet tego nie zauważył. Jakaś kobieta wrzasnęła przeraźliwie. Nieliczni o tej porze dnia przechodnie zatrzymywali się w pół kroku, z charakterystycznym brakiem zdecydowania, gotowi i w jednej chwili rzucić się do panicznej ucieczki – i uwierzyć, że nic ważnego się nie stało.

A między zwalonymi drzewami stał Rimek i uśmiechał się spokojnie.

– Chłopcze, uciekaj, bo cię przygniecie – wykrzyknął posterunkowy Molinda swoje spóźnione ostrzeżenie. Ale chłopiec stał nadal w tym swoim zagadkowym, nienaturalnym i dziwnie złowieszczym bezruchu. – Chłopcze... – zaczął Molinda i zaraz urwał, bo nowa myśl zaświtała mu w głowie. Wielkimi krokami podszedł do Rimka, ściskając pałkę w spoconej dłoni.

– To twoja sprawka, smarkaczu – wychrypiał zgrzytliwie, nie panując nad własnym głosem. Jego uzbrojona w pałkę ręka uniosła się automatycznie, wyćwiczonym ruchem. I nagle zesztywniała. Ramię posterunkowego szarpnięte do tyłu, wykrzywiło się pod kątem ostrym, potem opadło z nieprzyjemnym chrupnięciem łamanej kości.

– Moja ręka – powiedział z niedowierzaniem Molinda.

– Proszę pana – zawołała Linda, podskakując obok policjanta – proszę pana!

Ale to była akurat ta chwila, kiedy Linda stawała się niewidoczna. Posterunkowy Molinda widział tylko zwalone drzewa i pięknego chłopca o tajemniczych, agatowych oczach. Potem odwrócił się ciężko ku robotnikom siedzącym w wykopie.

– Rozejdźcie się – powiedział.

– Ach nie – zaprotestował Rimek – niech pracują. Ja cenię ludzi pracy.

Ostatni błysk myśli znikł z szarobiałej twarzy Molindy. Jeszcze próbował podnieść z ziemi pałkę (na swój sposób był dzielnym człowiekiem), zaraz jednak dał temu spokój. Nie czując własnych łez, nie słysząc skowytu, jaki wyrywał mu się z gardła, na oślep zatoczył się w tłumek gapiów.

Kilka minut później cztery następne, już ostatnie, drzewa wyleciały w powietrze.

– I co teraz? – zapytała Linda.

– Jeszcze się zastanowię – odpowiedział Rimek.

Ludzie z wydziału dla nieletnich obejrzeli sobie z daleka plac Wolności i stwierdzili: – to robota dla wojska.

Rimek siedział na jednym ze zwalonych drzew i udawał, że jest jeźdźcem galopującym przez prerię.

Ja go badałem, kiedy przechodził świnkę – powiedział stary i gruby doktor Kapcian – to zupełnie zwyczajny chłopiec.

Ciężko wzdychając przemaszerował opustoszałymi uliczkami miasteczka i usiadł na drzewie obok Rimka.

– To naprawdę twoja sprawa? – zapytał.

– Aha.

– A jak to robisz?

– Nie wiem... To znaczy, wiem. Wystarczy, że klasnę w ręce. Proste, nie?

– Proste. Szkoda, że sam w swoim czasie na to nie wpadłem. I co dalej?

– Chyba zajmę się tym pomnikiem.

– To nie jest zły pomnik.

– A co to ma do rzeczy?

– Niech mu pan zaproponuje okup – powiedziała Linda.

Godzinę później Linda w pobliskim sklepie odbierała okup. Pod czujnym wzrokiem sześciu policjantów i dwóch ludzi w cywilu ładowała do torby czekoladę, cukierki miętowe, gumę do żucia i stos komiksów.

Istnieje uzasadnione podejrzenie, że dzieci zjadły wszystkie słodycze w ciągu jednej nocy. Nie było nikogo, kto mógłby im powiedzieć, jakie to niezdrowe, bo babka Leontyna zbiegła cichcem na peryferie miasteczka i wszelki ślad po niej zaginął.

Rankiem miasteczko obudziło się w stanie oblężenia. Rimek wyszedł z domu lekko zielonkawy na twarzy i pierwsze, co zrobił, to rozprawił się z Pomnikiem Zwycięstwa.

– Chwileczkę – oburzył się pułkownik Meller – przecież został złożony okup.

– No właśnie – rzekł Rimek bez życzliwości, wspominając czekoladę i miętówki. Potem wyprawił w przestrzeń słup telegraficzny, dołożył sanitarkę, która akurat się nawinęła i – z wyrazem pogłębiającej się zadumy w oczach – wrócił do domu, by załatwić inne nie cierpiące zwłoki sprawy.

Linda samotnie wałęsała się po placu Wolności i udzielała bardzo mglistych odpowiedzi.

W południe Rimek, ciągle jeszcze w złym humorze, oświadczył, że jest skłonny poinformować prasę.

– Aby nie tracić czasu – rzekł na wstępie – jestem pan Rimek i tak należy się do mnie zwracać. – Po czym jasno dał do zrozumienia, że przybył z kosmosu.

– Czy oznacza to zapowiedź inwazji? – zapytało natychmiast kilka głosów.

– Czego? – zdziwił się Rimek.

– Czy to j e s t inwazja?

– No cóż – powiedział Rimek.

– Może coś więcej na temat charakteru i zasięgu...

– Cóż. Właściwie. Chociaż z drugiej strony... Bo najgorsze, kiedy są dwie strony, prawda?

– Czy to by oznaczało...

– Tak, z pewnością akurat to.

– Więc inwazja już się rozpoczęła?

– Bardzo głębokie pytanie – wrzasnął Rimek z wściekłością.

– Oni się pytają, czy będzie najazd Marsjan – powiedziała Linda.

Wszyscy dziennikarzę napisali, że Rimek ma oczy n i e z t e g o ś w i a t a.

Tego dnia późnym popołudniem władze miejskie obradujące w Ratuszu podjęły decyzję o ewakuacji ludności. Ale do ewakuacji nie doszło. Wojsko wycofało się z miasteczka i otoczyło je zwartym kordonem. Nikt nie mógł prześliznąć się ani w tę, ani w tamtą stronę, chociaż podobno niektórzy próbowali.

– Nic nie rozumiem – drapał się w głowę doktor Kapcian – o co tu chodzi?

– Tak, to wszystko jest strasznie skomplikowane – przyznała Linda.

Przedstawicielom władz Rimek oświadczył, że jego pragnieniem jest, aby życie w miasteczku toczyło się normalnie.

Dwaj robotnicy wrócili do swego wykopu.

– Cenię ludzi pracy – powiedział Rimek.

– Oczywiście nie dotyczy to nauczycieli – dodał po namyśle. I zaraz zażądał, aby zamknąć szkoły, a nauczycieli zesłać na Kamczatkę.

Nauczycielem matematyki zajął się osobiście.

– W tym przypadku chcę mieć pewność – powiedział.

...Tak więc była już pierwsza ofiara śmiertelna.

Tej nocy grupa komandosów z brygady antyterrorystycznej wdarła się do mieszkania Rimka i Lindy. Akcja zakończyła się klęską.

– Nie zdążyłeś klasnąć w rączki, bracie – zimno powiedziała Linda.

Rimek zażądał dwunastu par kajdanek.

– Jeńcy żyją, a ich stan jest dobry – poinformował prasę – będą zakładnikami dla mojego bezpieczeństwa i w ogóle.

W samo południe przeleciał samolot. Rimek strącił go bez wahania.

– Szpiegowski – wyjaśnił krótko, a o czternastej trzydzieści zwołał konferencję prasową.

– Szpiegowski samolot to jawne pogwałcenie umowy – stwierdził nie wdając się w rozważania, o jaką umowę chodzi – w takiej sytuacji zakładnicy muszą zostać zlikwidowani.

Linda podeszła do brata i szybko zaczęła mu coś tłumaczyć.

– Do diabła, Lindo, mam się o nich przewracać za każdym razem, kiedy wejdę do domu? – zapytał chłopiec gniewnie.

Dzieci sprzeczały się przez chwilę.

– Dobrze – ustąpił Rimek, i zakomunikował: – Zakładnicy mogą zostać moją ochroną... Gorylami, czy jak to się nazywa. W końcu jestem z innej cywilizacji i taka ochrona mi się należy, nie? Ktoś ważny z wojska musi przyjść i zrobić, co trzeba, a jak nie, to wiecie...

– Dlaczego o n i nie przeprowadzili ewakuacji miasta? – dziwił się doktor Kapcian. – Zamierzają nas poświęcić, kiedy dojdzie do bombardowania?

– Tak, to wszystko jest bardzo skomplikowane – wzdychała Linda.

Myślała o żołnierzach leżących twarzą do podłogi, z rękoma skutymi na plecach. Od czterech godzin życie tych ludzi wisiało na włosku.

A następnego dnia wczesnym rankiem pan Rimek miał już swoją ochronę osobistą.

– Wypożycz mi ich do pomocy w kuchni – zaproponowała Linda.

– Jeszcze czego. Na pewno będą mieli co innego do roboty.

I mieli. Kilka dni później na oczach oniemiałej Lindy zmasakrowali chłopaka, który chciał rzucić kamieniem w domu pana Rimka. Kamień wypadł z ręki martwego chłopca i wtedy okazało się, że jest owinięty papierem.

Dwaj robotnicy wyszli ze swojego wykopu. Jeden z nich pochylił się nad trupem.

A kartka razem z kamieniem dość długo leżała na stole w mieszkaniu Rimka i Lindy. Potem gdzieś się zapodziała, ale Linda zdążyła zapamiętać słowa zapisane na kartce: – *Kaśka, czekaj na mnie o szóstej, tam gdzie zawsze. Wcześniej nie mogę, bo zrywam śliwki. Hej.*

– Wypadki się zdarzają – powiedział Rimek.

Linda nie wiedziała, którą z rzędu śmiertelną ofiarą jest chłopak z kamieniem, bo straciła rachubę.

...Chociaż Rimek aż tak często nie klaskał w ręce. Można nawet powiedzieć, że robił to bardzo rzadko.

– Ja tym ludziom chciałam tylko uratować życie, dlatego wymyśliłam tę ochronę – płakała Linda idąc obok doktora Kapciana. – Prawda, że to wszystko to nie jest moja wina?

Po opustoszałych ulicach wiatr gonił liście i papiery.

Rimek ogłosił, że wobec ogólnego bałaganu zmuszony jest przejąć władzę w mieście. Na pytanie o propozycje ustrojowe odpowiedział, że ustrój będzie taki jak wszędzie, tylko lepszy.

Tej samej nocy część ludności usiłowała przedrzeć się przez kordon i zbiec z miasteczka. Podobno znowu były ofiary śmiertelne.

– Nic nie rozumiem, w co oni grają? – pytał z rozpaczą doktor Kapcian.

Zakłady pracy stanęły.

– No to co? – powiedział Rimek – dla mnie i moich ludzi nie zabraknie żywności.

– Będziecie ostatnimi, dla których zabraknie żywności – sprostował doktor Kapcian.

– To jest to samo, nie?

– Nie – powiedział doktor Kapcian.

– Jak będę chciał, to ich zmuszę do roboty – oznajmił Rimek. – Bo ja cenię ludzi pracy.

Czternastego sierpnia o godzinie dziewiątej zero pięć z wykopu na placu Wolności wynurzył się szary, połyskliwy przedmiot. Kilka sekund wisiał nad miasteczkiem, a potem odleciał w niebo.

– To już koniec – powiedziała Linda – wszystko się skończyło.

Gwałtownie odwróciła się do brata.

– Klaszcz sobie teraz w rączki, ty pajacu! – wrzasnęła z pogardą.

Linda i długie wyjaśnienia

...Bo to ci dwaj z wykopu, przebrani za robotników, byli prawdziwymi przybyszami z kosmosu. Oni robili te wszystkie dziwne rzeczy, Rimek tylko klaskał w ręce. A kiedy żołnierze wdarli się do naszego domu, nawet nie zdążył klasnąć. Na dobrą sprawę, nie zdążył się obudzić. Ale i tak wierzył w swoją wielką siłę. Od dawna podejrzewałam, że ma przewrócone w głowie. A jak zaczął się zastanawiać, kim właściwie jest i co potrafi, zaraz wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Mój pradziadek tak mi raz powiedział: – Lindo, jeżeli ktoś z twojego otoczenia nagle zacznie o d k r y w a ć s i e b i e, to ty lepiej trzymaj się od niego z daleka. Bo to, co on w końcu odkryje, może okazać się dość paskudne. Pradziadek to mówił z własnego doświadczenia, bo sam pewnego dnia odkrył, że jest brazylijską pszczołą, użądlił prababcię, sąsiadów i jednego milicjanta, a potem miał wiele nieprzyjemności. No, ale ja nie o tym, tylko o kosmitach. Naprawdę nie wiem, dlaczego pomagali Rimkowi w jego wybrykach. Skąd mam wiedzieć? Może chcieli odwrócić od siebie uwagę? Ale to głupie przypuszczenie. Kto by tam zwracał uwagę na brudnych robotników grzebiących w wykopie? Ja? No, ja tak. Bo jestem w y j ą t k i e m. A poza tym nigdy w życiu bym nie uwierzyła, że ten bałwan Rimek jest do czegokolwiek zdolny. Samodzielnie to on nawet kataru nie złapie. Tak, panie doktorze, mówię szczerą prawdę.

... Szkoda, że tak późno?

Milczałam i przez to moje milczenie ludzkość straciła szansę na kontakt z obcą cywilizacją. Ale, panie doktorze, widział pan, w jaki sposób ludzkość kontaktowała się z Rimkiem? Widział pan, nie?

Więc wolałam milczeć. Chociaż, może to było z mojej strony małoduszne? Może źle zrobiłam? Panie doktorze, czy chciałby pan i c h poznać? Zrozumieć i c h sposób życia i myślenia?

– Tak – powiedział z roztargnieniem doktor Kapcian – bardzo chciałbym zrozumieć, dlaczego otoczyli miasto? Dlaczego strzelają do uciekinierów...?

– Kosmici to wszystko robią? – zdumiała się Linda.

– Do diabła, Lindo, o jakich ty znowu kosmitach opowiadasz?

Mirosława Sędzikowska

Mirosława SĘDZIKOWSKA

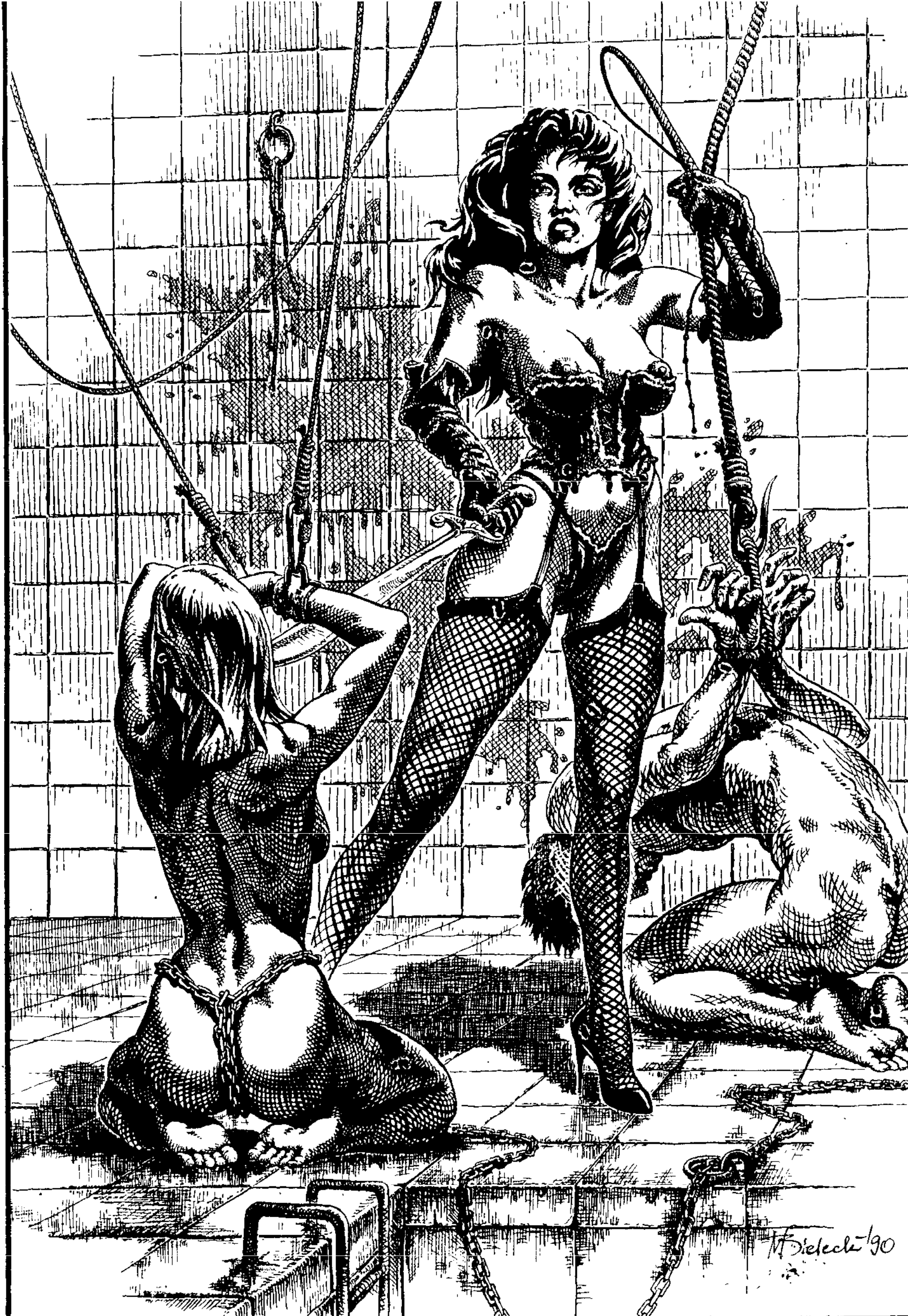
Ur. 20 maja 1955 r. Absolwentka polonistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauczycielka języka polskiego (do stanu wojennego w Chełmży; teraz, od niedawna, znowu dopuszczona do zawodu w Głownowie). W tzw. międzyczasie pracownik opieki społecznej. Mimo trudnych doświadczeń, pisze zabawne, groteskowe opowiadania z akcentami mądrości bądź goryczy, co zresztą wychodzi na jedno. Publikowała m.in. w „Fikcjach i Faktach" i w „Moim Świecie". Od kilku lat współpracuje aktywnie z Klubem Twórców. (mp)

Idziesz do kobiety? Nie zapomnij bicza!

Fryderyk Nietzsche
(Między nami mówiąc, idiota, ale z przebłyskami rozsądku.)

Rafał A. Ziemkiewicz

Mięso kobiet



Marek Bielecki

Sześć morderstw to nie jest dużo jak na jedną noc w średniej wielkości mieście. To akurat tyle, żeby zdający nocny dyżur policjant oznajmił zmiennikowi, że nic się nie działo. I żeby Tankred, przeglądający rano na swoim terminalu bieżące zapisy systemu komputerowego policji pomyślał, że szykuje się wybitnie nudny dzień, wypełniony przerzucaniem taniej masówki na przedostatnie strony gazet. Gdyby wśród tych sześciu nieboszczyków był ktoś sławny, bogaty albo ważny, to co innego – można by ruszyć się z biura i pochodzić trochę koło sprawy. Ale nikogo takiego Tankred na wyświetlonej przed sobą liście nie znalazł.

Odchylił się więc na oparcie fotela i zaczął się uważnie przyglądać pracującemu po przeciwnej stronie pokoju Przypadłościanowi. Pochwycił w końcu jego wzrok, aby czym prędzej spuścić oczy, markując zmieszanie.

Był to niezawodny sposób, zarówno na nudę, jak i na Przypadłościana. Ale tym razem Przypadłościan okazał się niezwykle twardy. Tankred musiał zerknąć na niego jeszcze trzy razy, zanim wreszcie usłyszał: „Co mi się tak przyglądasz"?

– Nie, nic – mruknął ponuro, stukając zawzięcie w klawisze. – Nic, zdawało ci się.

– Źle wyglądam? – zapytał Przypadłościan, a właściwie stwierdził, takim tonem, jakby obwieszczał swój rychły pogrzeb.

– Nie, skąd – pokręcił głową. – Wszystko w porządku.

Przypadłościan był tego dnia wyjątkowo twardy. Wytrzymał jeszcze pełną minutę, zanim wymknął się z pokoju, zabierając dla niepoznaki plik starych wydruków. Po chwili usłyszeli za drzwiami słoniowy tupot. Kiedy Przypadłościan biegł, trzęsły się szyby. Zwłaszcza, gdy biegł do lustra. Musiał w nim zobaczyć potężne, szeroko rozrośnięte w barach cielsko, na którym każdy lekarz umieściłby bez chwili wahania tabliczkę z napisem „okaz zdrowia". Ale lustro w holu Agencji musiało mieć jakieś szczególne właściwości – Przypadłościan nieodmiennie dostrzegał w nim, że ma a to opuchniętą powiekę, a to podkrążone oczy, a to znów dziwną plamkę nad lewym uchem.

– Ty to jednak jesteś drań – stwierdziła Ewa, patrząc na Tankreda z niesmakiem. – Dałbyś mu wreszcie spokój.

Siedzący po prawej stronie, obok drzwi Komandor uniósł na chwilę głowę i uśmiechnął się złośliwie. Nie umiał się uśmiechać inaczej niż złośliwie. Zostało mu to, mimo przeniesienia w stan spoczynku, podobnie jak stopień komandora.

– Przecież nic mu nie powiedział – rzucił, gładząc przycięte na jeża resztki szpakowatych włosów.

Pewnie, po co miałby coś mówić. Przypadłościan i tak doskonale wiedział, że cierpi na wszystkie choroby znane medycynie i kilkanaście jeszcze nie odkrytych. Żaden z kilkuset lekarzy, których w swym życiu zamęczał, nie zdołał mu tego wyperswadować.

– Dycha na wątrobę – oznajmił Komandor Tankredowi.

– Wątroba była dwa dni temu. Owrzodzenie dwunastnicy.

– Stoi.

Teraz powinna odezwać się Ewa i wyrazić swoją dezaprobatę. Zawsze wyrażała dezaprobatę, co zresztą nie przeszkadzało jej bawić się nie gorzej od nich. Ale zanim zdąży-

ła cokolwiek powiedzieć, z interkomu rozległ się dźwięczny głos sekretarki, oznajmiający Tankredowi, że jest pilnie proszony do szefa.

– Noo – rzucił przeciągle szef chwilę potem, spoglądając na Tankreda sponad zsuniętych na koniec nosa okularów. – I co pan tu jeszcze robi?

Tankred rozejrzał się niepewnie po gabinecie.

– Ja mam myśleć za pana? Drugi wypadek z porannego dyżuru.

– Carlos Rast? Włamanie z rozbojem, cel rabunkowy. To nie idzie.

– Co idzie, to ja wiem lepiej. Gdzie on pracował? No, sprawdził pan?

– Zdaje się, że... nie miałem tego w wykazie.

– No, właśnie! Niech się pan nauczy, że jeśli czegoś nie ma w wykazie, to na pewno jest to coś ważnego. O „Bukiecie rozkoszy", jak przystało na porządnego młodzieńca, nigdy pan nie słyszał?

– Coś słyszałem. – Nie był aż tak porządnym młodzieńcem, żeby nazwa jednego z głównych koncernów na rynku porno nic mu nie mówiła.

Szef pokiwał głową, jakby sprawdziły się jego najgorsze obawy.

– My się chyba jednak będziemy musieli rozstać – oznajmił grobowo. – Sprawę wzięła 12 brygada miejska, porucznik Oridhi. Za pięć minut ma pan być u niego. Coś mi mówi, że jeśli się pan postara, wyciśniemy z tego trochę grosza. – Szef poprawił wskazującym palcem okulary i wrócić do przeglądania wydruków, co oznaczało, że uważa rozmowę za skończoną.

– Postaram się – powiedział Tankred i pobiegł wezwać wóz. Z szefem nie należało się spierać. Raz, że był szefem, a dwa, że przeważnie miał nosa.

Na korytarzu przy windzie nabił się na Komandora, dopalającego swego porannego papierosa.

– Obaj przerżnęliśmy – usłyszał. – Toksoplazmoza. Właśnie tłumaczy Ewie, co to jest.

Toksoplazmoza. Proszę, proszę. Przypadłościan przeczytał nową książkę.

– Ale jutro na pewno będzie wątroba – dobiegło go jeszcze, gdy wsiadał do windy.

– Dla sępów to ja tu nic nie widzę – mówił porucznik Oridhi, patrząc na Tankreda z wyrzutem, czyli tak, jak zawsze patrzą policjanci na facetów zawracających im głowę. – Nie zjawił się w pracy, a miał dziś prowadzić jakąś ważną nasiadówkę, więc posłali szofera. Narobił wrzasku na cały kwartał i dostał szoku. Fakt, że widok nie należał do sympatycznych, tu masz zdjęcia. Doradzam raczej wglądówki, są czarno-białe. Ktoś chyba chciał z niego zrobić bryzol. Rozległe zmiażdżenia przez wielokrotne uderzanie ciężkim, tępym przedmiotem. Morderca musiał go zajść w czasie snu i zabić pierwszym ciosem, potem już tylko masakrował zwłoki. Jesteś obrzydliwy? To masz – podał mu fotografię rozklepanej na tapczanie krwistej masy. Istotnie, nic, co by radowało duszę estety.

– Coś zginęło?

– Jego lala. Prototyp nowego modelu. Gość był psychosyntetykiem wyspecjalizowanym w tajnikach kobiecej duszy i miał dziwny zwyczaj: wszystkie swoje produkty testował osobiście. Zdaje się, że jego pracodawcy bardzo go cenili. – Oridhi zaciągnął się papierosem. Był to suchy, uwędzony facet z wrośniętym w twarz grymasem wiecznego niezadowolenia. – Poza tym wszystko na miejscu i żadnych śladów włamania. Chcesz poznać opinię rutyniarza, chłopcze?

– Płonę z ciekawości.

– Bardzo fachowa robota ucharakteryzowana na zabójstwo w afekcie. Ślady, gdyby traktować je poważnie, wskazują, że lala uciekła. Tylko że to absolutnie niemożliwe, każdy spec wyjaśni ci dlaczego i obrazi się, że go nudzisz głupimi pytaniami. Morderca zabrał ją ze sobą. Sądzę, że właśnie po to przyszedł, ale nie będę się w tę sprawę wgłębiał. I tobie też odradzam. Koncerny, gdy chodzi o wydzieranie sobie tajemnic firmowych, nie mają za grosz poczucia humoru. Zresztą, rób jak uważasz. Brygada jeszcze pracuje, możesz sobie wszystko obejrzeć na miejscu.

Skinął głową.

– Marta! – ryknął Oridhi, aż zatrzęsły się ściany. – Wypisz temu sępowi przepustkę do willi Rasta!

Willa Rasta. To nie była żadna willa. To był pałac. Tankred miał ochotę krzyknąć i nadsłuchiwać echa. Policjant pilnujący drzwi kazał mu zaczekać i zniknął z jego przepustką u szczytu prowadzących na piętro schodów.

Zapalił papierosa, opierając się o pokrytą srebrnym pyłem boazerię. Gość, który mieszka w takiej chacie, już przez samo to staje się wart parę setek. Ludzie, nie wiedzieć dlaczego, strasznie lubią się dowiadywać o gwałtownych zgonach bogaczy. Czyli szef miał nosa. Jak zwykle. W tym fachu trzeba było mieć nosa, żeby spod sterty codziennych głupot wydobyć wiadomość naprawdę ciekawą. Jako że odkąd ustawowo wprowadzono absolutną jawność i ogólnodostępność wszelkich informacji, odkąd zniesiono tajemnice państwowe i służbowe, odkąd zniesiono nawet kary za szpiegostwo przemysłowe, wychodząc z założenia, że jest to prywatna sprawa koncernów – okazało się, że jest tych informacji zbyt wiele, by ktokolwiek był w stanie je ogarnąć. Poza, oczywiście, fachowcami z agencji informacyjnych. W końcu nawet centralom prasowym i telewizyjnym opłacało się brać od agencji gotowe tematy, zamiast tracić czas i pieniądze na ich samodzielne zdobywanie. Byli też tacy, którym kalkulowało się płacić agencjom za zachowywanie zdobytych wiadomości wyłącznie dla siebie. Informacją można handlować równie dobrze jak gwoździami, naftą, samochodami czy mięsem. Wszystkim można handlować.

– Sierżant jest zajęty – oznajmił policjant, wracając. – Nie skończyliśmy jeszcze zbierania śladów na górze.

– Poczekam.

Kręcił się chwilę po holu, zaglądając do pokojów, zawalonych antykami przez właściciela i zabałaganionych przez policyjnych techników. W końcu jego uwagę przykuły wiodące na dół schody. Prowadziły do niewielkiej niszy z dwoma parami drzwi. Za tymi z lewej znajdował się garaż. Te po prawej wyglądały znacznie solidniej i obite były od zewnątrz dźwiękochłonną wykładziną. Otwierane, zaskrzypiały ciężko w zawiasach. Trzeba naprawdę nie mieć co robić z forsą, żeby za ciężkie pieniądze fundować sobie specjalne, skrzypiące zawiasy.

Podłoga wyłożona była rudym plastikiem, ściany polakierowanymi deskami. Ustawione na ozdobnych, żelaznych stojakach lampy, imitujące do złudzenia świece, zalewały pomieszczenie mroczną, pełgającą poświatą. Dłuższą chwilę Tankred zastanawiał się, do czego mogłaby służyć zajmująca środek sali konstrukcja, na pierwszy rzut oka kojarząca się z bardzo skomplikowanymi przyrządami gimnastycznymi. Przeniósł wzrok na rozwieszoną na ścianie koło drzwi kolekcję pejczy, batów, korbaczy, palcatów, łańcuchów, uprzęży i obszytych skórą knebli. Na podłodze zauważył ślady zaschniętej krwi. Tak. Lubił testować nowe prototypy sam. Godna pochwały solidność konstruktora.

W kącie, na biegnącej wzdłuż ściany szerokiej ławie odznaczał się bielą plik kartek. Zaczął je przeglądać.

– *Sybilla zaspokoi twe najgłębiej skrywane pragnienia* – krzyczał w nagłówku odręczny napis flamastrem, podkreślony dwukrotnie i opatrzony wykrzyknikiem. Niżej szły równe linijki komputerowego wydruku, na którym ten sam flamaster pozostawiał tu i ówdzie poprawki, dopiski i skreślenia. Przebiegł je wzrokiem, zatrzymując się na odręcznych ingerencjach. *Przejmujący ból* przerobiony został na *słodycz cierpienia*, w trzecim akapicie od dołu słowo *miłości* opatrzone było dopiskiem *najgłębszej, pełnej bezbrzeżnego oddania*. Dalej leciało w podobnym stylu, choć poprawki stały się jakby bardziej fachowe.

Głębiej, pod papierami, znalazł zdjęcia smukłej, ciemnowłosej dziewczyny o nienaturalnie wielkim, sterczącym biuście – takie były akurat najmodniejsze – porozciąganej w

ła cokolwiek powiedzieć, z interkomu rozległ się dźwięczny głos sekretarki, oznajmiający Tankredowi, że jest pilnie proszony do szefa.

– Noo – rzucił przeciągle szef chwilę potem, spoglądając na Tankreda sponad zsuniętych na koniec nosa okularów. – I co pan tu jeszcze robi?

Tankred rozejrzał się niepewnie po gabinecie.

– Ja mam myśleć za pana? Drugi wypadek z porannego dyżuru.

– Carlos Rast? Włamanie z rozbojem, cel rabunkowy. To nie idzie.

– Co idzie, to ja wiem lepiej. Gdzie on pracował? No, sprawdził pan?

– Zdaje się, że... nie miałem tego w wykazie.

– No, właśnie! Niech się pan nauczy, że jeśli czegoś nie ma w wykazie, to na pewno jest to coś ważnego. O „Bukiecie rozkoszy", jak przystało na porządnego młodzieńca, nigdy pan nie słyszał?

– Coś słyszałem. – Nie był aż tak porządnym młodzieńcem, żeby nazwa jednego z głównych koncernów na rynku porno nic mu nie mówiła.

Szef pokiwał głową, jakby sprawdziły się jego najgorsze obawy.

– My się chyba jednak będziemy musieli rozstać – oznajmił grobowo. – Sprawę wzięła 12 brygada miejska, porucznik Oridhi. Za pięć minut ma pan być u niego. Coś mi mówi, że jeśli się pan postara, wyciśniemy z tego trochę grosza. – Szef poprawił wskazującym palcem okulary i wrócić do przeglądania wydruków, co oznaczało, że uważa rozmowę za skończoną.

– Postaram się – powiedział Tankred i pobiegł wezwać wóz. Z szefem nie należało się spierać. Raz, że był szefem, a dwa, że przeważnie miał nosa.

Na korytarzu przy windzie nabił się na Komandora, dopalającego swego porannego papierosa.

– Obaj przerżnęliśmy – usłyszał. – Toksoplazmoza. Właśnie tłumaczy Ewie, co to jest.

Toksoplazmoza. Proszę, proszę. Przypadłościan przeczytał nową książkę.

– Ale jutro na pewno będzie wątroba – dobiegło go jeszcze, gdy wsiadał do windy.

– Dla sępów to ja tu nic nie widzę – mówił porucznik Oridhi, patrząc na Tankreda z wyrzutem, czyli tak, jak zawsze patrzą policjanci na facetów zawracających im głowę. – Nie zjawił się w pracy, a miał dziś prowadzić jakąś ważną nasiadówkę, więc posłali szofera. Narobił wrzasku na cały kwartał i dostał szoku. Fakt, że widok nie należał do sympatycznych, tu masz zdjęcia. Doradzam raczej wglądówki, są czarno-białe. Ktoś chyba chciał z niego zrobić bryzol. Rozległe zmiażdżenia przez wielokrotne uderzanie ciężkim, tępym przedmiotem. Morderca musiał go zajść w czasie snu i zabić pierwszym ciosem, potem już tylko masakrował zwłoki. Jesteś obrzydliwy? To masz – podał mu fotografię rozklepanej na tapczanie krwistej masy. Istotnie, nic, co by radowało duszę estety.

– Coś zginęło?

– Jego lala. Prototyp nowego modelu. Gość był psychosyntetykiem wyspecjalizowanym w tajnikach kobiecej duszy i miał dziwny zwyczaj: wszystkie swoje produkty testował osobiście. Zdaje się, że jego pracodawcy bardzo go cenili. – Oridhi zaciągnął się papierosem. Był to suchy, uwędzony facet z wrośniętym w twarz grymasem wiecznego niezadowolenia. – Poza tym wszystko na miejscu i żadnych śladów włamania. Chcesz poznać opinię rutyniarza, chłopcze?

– Płonę z ciekawości.

– Bardzo fachowa robota ucharakteryzowana na zabójstwo w afekcie. Ślady, gdyby traktować je poważnie, wskazują, że lala uciekła. Tylko że to absolutnie niemożliwe, każdy spec wyjaśni ci dlaczego i obrazi się, że go nudzisz głupimi pytaniami. Morderca zabrał ją ze sobą. Sądzę, że właśnie po to przyszedł, ale nie będę się w tę sprawę wgłębiał. I tobie też odradzam. Koncerny, gdy chodzi o wydzieranie sobie tajemnic firmowych, nie mają za grosz poczucia humoru. Zresztą, rób jak uważasz. Brygada jeszcze pracuje, możesz sobie wszystko obejrzeć na miejscu.

Skinął głową.

– Marta! – ryknął Oridhi, aż zatrzęsły się ściany. – Wypisz temu sępowi przepustkę do willi Rasta!

Willa Rasta. To nie była żadna willa. To był pałac. Tankred miał ochotę krzyknąć i nadsłuchiwać echa. Policjant pilnujący drzwi kazał mu zaczekać i zniknął z jego przepustką u szczytu prowadzących na piętro schodów.

Zapalił papierosa, opierając się o pokrytą srebrnym pyłem boazerię. Gość, który mieszka w takiej chacie, już przez samo to staje się wart parę setek. Ludzie, nie wiedzieć dlaczego, strasznie lubią się dowiadywać o gwałtownych zgonach bogaczy. Czyli szef miał nosa. Jak zwykle. W tym fachu trzeba było mieć nosa, żeby spod sterty codziennych głupot wydobyć wiadomość naprawdę ciekawą. Jako że odkąd ustawowo wprowadzono absolutną jawność i ogólnodostępność wszelkich informacji, odkąd zniesiono tajemnice państwowe i służbowe, odkąd zniesiono nawet kary za szpiegostwo przemysłowe, wychodząc z założenia, że jest to prywatna sprawa koncernów – okazało się, że jest tych informacji zbyt wiele, by ktokolwiek był w stanie je ogarnąć. Poza, oczywiście, fachowcami z agencji informacyjnych. W końcu nawet centralom prasowym i telewizyjnym opłacało się brać od agencji gotowe tematy, zamiast tracić czas i pieniądze na ich samodzielne zdobywanie. Byli też tacy, którym kalkulowało się płacić agencjom za zachowywanie zdobytych wiadomości wyłącznie dla siebie. Informacją można handlować równie dobrze jak gwoździami, naftą, samochodami czy mięsem. Wszystkim można handlować.

– Sierżant jest zajęty – oznajmił policjant, wracając. – Nie skończyliśmy jeszcze zbierania śladów na górze.

– Poczekam.

Kręcił się chwilę po holu, zaglądając do pokojów, zawalonych antykami przez właściciela i zabałaganionych przez policyjnych techników. W końcu jego uwagę przykuły wiodące na dół schody. Prowadziły do niewielkiej niszy z dwoma parami drzwi. Za tymi z lewej znajdował się garaż. Te po prawej wyglądały znacznie solidniej i obite były od zewnątrz dźwiękochłonną wykładziną. Otwierane, zaskrzypiały ciężko w zawiasach. Trzeba naprawdę nie mieć co robić z forsą, żeby za ciężkie pieniądze fundować sobie specjalne, skrzypiące zawiasy.

Podłoga wyłożona była rudym plastikiem, ściany polakierowanymi deskami. Ustawione na ozdobnych, żelaznych stojakach lampy, imitujące do złudzenia świece, zalewały pomieszczenie mroczną, pełgającą poświatą. Dłuższą chwilę Tankred zastanawiał się, do czego mogłaby służyć zajmująca środek sali konstrukcja, na pierwszy rzut oka kojarząca się z bardzo skomplikowanymi przyrządami gimnastycznymi. Przeniósł wzrok na rozwieszoną na ścianie koło drzwi kolekcję pejczy, batów, korbaczy, palcatów, łańcuchów, uprzęży i obszytych skórą knebli. Na podłodze zauważył ślady zaschniętej krwi. Tak. Lubił testować nowe prototypy sam. Godna pochwały solidność konstruktora.

W kącie, na biegnącej wzdłuż ściany szerokiej ławie odznaczał się bielą plik kartek. Zaczął je przeglądać.

– *Sybilla zaspokoi twe najgłębiej skrywane pragnienia* – krzyczał w nagłówku odręczny napis flamastrem, podkreślony dwukrotnie i opatrzony wykrzyknikiem. Niżej szły równe linijki komputerowego wydruku, na którym ten sam flamaster pozostawiał tu i ówdzie poprawki, dopiski i skreślenia. Przebiegł je wzrokiem, zatrzymując się na odręcznych ingerencjach. *Przejmujący ból* przerobiony został na *słodycz cierpienia*, w trzecim akapicie od dołu słowo *miłości* opatrzone było dopiskiem *najgłębszej, pełnej bezbrzeżnego oddania*. Dalej leciało w podobnym stylu, choć poprawki stały się jakby bardziej fachowe.

Głębiej, pod papierami, znalazł zdjęcia smukłej, ciemnowłosej dziewczyny o nienaturalnie wielkim, sterczącym biuście – takie były akurat najmodniejsze – porozciąganej w

SIUDMAK





wymyślnych pozach na podobnych do stojącego obok rusztowaniach. Różne ujęcia, z boku, z tyłu, zbliżenia przeciętej kneblem twarzy z zastygłym w półprzymkniętych oczach wyrazem cierpienia i zarazem jakiejś odrażającej, perwersyjnej rozkoszy. Poczuł pulsowanie w brzuchu. Otrząsnął się ze wstrętem, odkładając papiery na miejsce. W oko wpadło mu jeszcze drugie, napisane odręcznie hasło: *Ona cię náprawdę pokocha*. Zdjęcia poznaczone były w narożnikach kółkami i krzyżykami.

Wrócił na górę i odetchnął parę razy głęboko. Nic nie zginęło, poza lalą. Gdyby Tankred choć trochę znał się na lalach, uśmiałby się z myśli, która mu przyszła do głowy. Ale na szczęście miał o szczegółach działalności „Bukietu rozkoszy" bardzo blade pojęcie i ta myśl wydała mu się całkiem dorzeczna.

– Dobra, chodź pan – na schodach pojawił się sierżant policji.

– Może innym razem. Przepraszam – Tankred ukłonił się lekko i wyszedł. Wskoczył w siedzenie wozu i ledwie ruszywszy, wystukał numer biura Agencji.

– No, i jak idzie? – zapytała z ekranu twarz Ewy.

– Idzie. Stary miał czuja, to jest sprawa. Facet robił sprzęt dla sadystów, sam też był trochę tego, miał kupę szmalu, i plącze się w tym wszystkim jego laleczka. Bomba, nie? Zobacz, co wiemy o tym bukiecie. Jak tam nasza toksoplazmoza?

Namiar do biura projektów koncernu dostał po trzydziestu sekundach, gdy stał w korku przy wyjeździe na przelotówkę. Obejrzał starannie swoją twarz w lusterku, krzywiąc ją należycie, poprawił włosy i wsunął w kącik ust zapalonego papierosa.

– Biuro projektów, czym mogę panu służyć? – na ekranie pojawiła się uśmiechnięta uprzejmie dziewczyna.

– Szefem – powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to groźnie. Chyba nie zabrzmiało, bo wyraz jej twarzy nie zmienił się ani trochę.

– Czy był pan umówiony?

– Proszę powiedzieć, że dzwonię w imieniu Carlosa Rasta i jego lali.

Przez kilka następnych minut na ekranie mógł oglądać jedynie reklamową planszę, oznajmiającą mu, że dodzwonił się do najlepszej na świecie firmy, gwarantującej swym klientom najwyższej klasy rozrywkę oraz rozładowanie stresów, frustracji i wszelkich szkodliwych społecznie instynktów. Wreszcie plansza ustąpiła miejsca dystyngowanej blondynce w szarym żakiecie. Musiała poświęcać swemu wyglądowi przynajmniej połowę każdego dnia – czyli chyba cały czas, jaki jej pozostawał po dobraniu odpowiednio gustownego stroju i biżuterii.

– To nie dowodzi najlepszego poczucia humoru – stwierdziła z wyniosłą uprzejmością, z jaką wita się namolnego komornika. – Czego pan sobie życzy?

– Chwili uwagi, zanim zechcę przekazać swoje nowiny komuś innemu. Tankred Daledy z agencji „Naga prawda".

Skrzywiła się na moment, już po chwili jednak jej twarz nabrała słodkiego wyrazu.

– Należało się tego spodziewać. Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć, że miło mi z panem rozmawiać. Szczerze mówiąc, uważam was, sępów, za ostatnich drani.

– Niektórzy twierdzą, że zdarzają się gorsi od nas. Na przykład firmy, które skupują od kobiet zapłodnione zarodki i hodują z nich bezmózgie stworki dla zboczeńców.

– Zdaje się, że źle pana połączono. Pogróżki od feministek i dewotów przyjmujemy między jedenastą a trzynastą na portierni. Natomiast, jeżeli zamierza pan nas straszyć kolejnym procesem o naruszenie moralności...

– Czy ktoś tu mówił o procesie? Mam po prostu bombowy temat dla telewizji.

– Będzie pan łaskaw chwilę zaczekać – powiedziała. Znów ta sama reklamowa plansza.

– Sądzę, że możemy porozmawiać. Proszę nas odwiedzić jutro rano.

– Nie jutro, tylko zaraz. Za jakieś półtorej minuty.

– Dobrze. Więc zapraszam do siebie.

– To znaczy?

– Elsa Friedenkopf. Wskażą panu drogę.

Zjeżdżając z przelotówki jeszcze raz połączył się z biurem.

– Jadę ich wstępnie przydusić. Sprawdź mi kobietę, która nazywa się Elsa Friedenkopf.

– Możesz chwilę poczekać?

Mógł.

– Teoretycznie pracuje w tym samym biurze projektów, co Rast. Ale w ich poufnych zapisach – to znaczy, oni to uważają za poufne zapisy i myślą, że nie ma takiego cwaniaka, który by się do nich włamał – figuruje na liście pracowników wewnętrznej ochrony firmy. Specjalność: spławianie sępów. Na razie trafiasz do właściwych osób.

– Zawsze myślałem, że wewnętrzna ochrona koncernów to robota dla dużych, twardych facetów po szkole komandosów.

– Nie znasz się na kobietach – zaśmiała się Ewa.

– „Pewnie, cholera" – pomyślał jakiś czas potem w windzie, w biurowcu koncernu. – „Czytałem kiedyś o takim jednym, co się znał. Wlazł na słup i do końca życia nie odważył się z niego zleźć".

Elsa Friedenkopf ani trochę nie była dużym, twardym facetem. Była cholernie przystojną kobietą w niemożliwym do ustalenia wieku – czyli, jak to się eufemistycznie określa, w pełni rozkwitu – i z klasą godną hrabiny. Czekała na Tankreda w eleganckim gabinecie, wśród bukietów pąsowych róż, będących symbolem firmy.

– Nie traćmy czasu – powiedziała chłodno, podsuwając mu po blacie niskiego stołu szklankę z koktajlem, po czym oparła się o zagłówek fotela, pozwalając rozmówcy dokładnie obejrzeć swoje kolana i łydki. Uczciwie musiał przyznać, że były tego warte. – Właściwie nie powinnam sobie zawracać panem głowy, ale nie chcemy, żeby ta tragedia dała brukowcom okazję do szargania pamięci naszego przyjaciela. Dziesięć tysięcy i zapominacie o nim.

Uśmiechnął się głupkowato. Nie umiał się uśmiechać inaczej niż głupkowato i z tego powodu bardzo zazdrościł Komandorowi jego zupackich nawyków.

– Sympatyczna z ciebie kobitka – postarał się przekształcić ten głupkowaty uśmiech w cyniczne skrzywienie ust. – I chcesz mnie tak od razu spławić? Pogadajmy chwilę.

– Nie widzę żadnego tematu do rozmowy.

– Czym zajmował się Rast?

– Nie wiecie? W takim razie trzy tysiące.

– Wiemy, nie wiemy... Różnie to bywa z naszą pamięcią. Ta Sybilla, nie powiem, też sympatyczna kobitka. Jak na lalę strasznie gadatliwa.

Przyjrzała mu się uważnie spod długich rzęs. Miała proste, sięgające ramion włosy, ostre rysy i wąskie usta. Zdecydowanie coś w niej było.

– Mam rozumieć, że wiecie gdzie ona jest? Przyznaję, to by było warte około setki.

Hm. I wreszcie szef przestałby go straszyć wyrzuceniem z pracy.

– Pomyślimy. Niekoniecznie przyjmujemy zapłatę w gotówce.

– Liczę się z taką możliwością – powiedziała, uśmiechając się delikatnie, samymi kącikami ust.

Rafał A. ZIEMKIEWICZ

Urodził się 13.09.1964, w niedzielę (co podobno po nim widać). Z wykształcenia polonista, z zawodu pisarz, z usposobienia pieniacz i złośliwiec. W prasie debiutował w roku 1982, na rynku książkowym zbiorem „Władca szczurów" („Alfa" 1987). Współzałożyciel grupy TRUST, aktywnie udziela się w Klubie Twórców, działającym obecnie przy klubie studenckim „Stodoła". Czeka cierpliwie na zmiłowanie wydawców nad swoimi powieściami „Skarby stolinów" i „Krew gladiatorów" oraz zbiorem opowiadań „Zero złudzeń".

Opowiadanie „Mięso kobiet", którym zapragnął przypomnieć się po długim milczeniu czytelnikom, drukujemy z mieszanymi uczuciami, ale zdarzało nam się już drukować gorsze.

Facet, który rozgryzie kiedyś, co takiego jest w tych ich uśmiechach, zasłuży sobie na Nobla i wdzięczność ludzkości. Tankred poczuł, że starannie wystudiowana mina spływa mu z twarzy niczym woskowa maska założona na elektryczny grzejnik. Musiał przenieść wzrok na okno. Nie umywało się do poprzedniego widoku, ale rozmówcy przebierającego nogami nikt nie potraktowałby poważnie.

– Myślałem o informacjach – wyjaśnił. – To nasze hobby. Ciekaw jestem, jak wy zabezpieczacie te swoje... produkty przed zbuntowaniem się? Cholera, żeby lala, za którą klient płaci ciężkie pieniądze, mogła go zatłuc przez sen... Gdyby to się rozniosło...

Zaśmiała się, szczerze ubawiona. Tak stuprocentowo szczerze, że aż zabrzmiało to cokolwiek sztucznie.

– Co za bzdura! Nawet policjanci...

– Policjanci nie mają czasu ani ochoty na myślenie. Czekają, aż im ktoś podrzuci dobry trop.

Wzruszyła ramionami.

– I na ile tę rewelację wyceniasz?

– Na zbyt wiele, żebym sam wyznaczał cenę. Mogę najwyżej określić swoją prowizję... – Nieopatrznie pozwolił jej zajrzeć sobie w oczy. Ale jeśli nawet coś w nich dostrzegła, nie dała tego po sobie poznać. Opuściła wzrok i zamyśliła się na chwilę.

– Posłuchaj, chłopcze – zaczęła o ton łagodniejszym głosem. – Kto zabił Rasta i porwał Sybillę, nietrudno się domyślić. Ale to nie twoje zmartwienie i nic tu nie zarobisz. Rast nie powinien mieć jej w domu. Pozwoliłam mu na to, bo upierał się, że to absolutna nowość i musi nad nią pracować sam. Nie chciałabym, żeby się o tym dowiedzieli moi przełożeni. Najwyższa suma, jaką mogę zadysponować sama, to dziesięć tysięcy. Jeżeli tyle ci nie wystarczy, umówię cię z szefem ochrony i żądaj sobie od niego miliona, albo stu, albo pięciuset. Dla mnie to nie stanowi różnicy. Ale to też nie twoje zmartwienie. Sępy się nie wzruszają, prawda?

W samą porę mu o tym przypomniała.

– Może bym się zgodził – odparł po namyśle. – Jeżeli dojdą do tego informacje. Chcę pogadać z waszymi psychosyntetykami. Nic mnie tak nie ciekawi, jak nowości. Zwłaszcza absolutne nowości.

– To surowo zabronione – pokręciła głową. – Nie wolno mi na to pozwolić. Zaczekaj tutaj.

Długo trwało, nim ponownie pojawiła się w drzwiach gabinetu i skinęła, by szedł za nią.

– Profesor Torres pracował z Rastem nad założeniami Sybilli – powiedziała na korytarzu. – Wyjaśni ci wszystko. Oczywiście, w granicach rozsądku – dodała po chwili.

Profesor Torres siedział w głębokim fotelu naprzeciwko ekranu wideokomu, z głową odchyloną na oparcie i otwartymi ustami. Wyglądał jak człowiek, który zasnął przy telewizji. Albo jak trup.

Podszedłszy bliżej, Tankred przekonał się, że faktycznie był trupem. Od niedawna. Nie zaczął jeszcze stygnąć.

Elsa podniosła dłonie do ust i wydała z siebie przeraźliwy wrzask.

– Daj spokój – skrzywił się Tankred. – Jeszcze pomyślę, że to robi na tobie jakieś wrażenie.

Umilkła natychmiast, wbijając w niego zimne jak stal spojrzenie.

– Dobrze, sępie. Przyślij tu swojego szefa z propozycjami ceny. A teraz wynoś się.

Miał dużo szczęścia, że „Bukiet rozkoszy" nie uczył swych ochroniarzy zabijania wzrokiem.

Kiedy szef był zadowolony, zwykł kiwać głową i powtarzać od czasu do czasu „No, no!". Kiedy wtrącał ten głęboki komentarz niemal po każdym zdaniu, tak jak teraz, znaczyło to, że wprost nie posiada się ze szczęścia.

– No – podsumował wreszcie, gdy Tankred skończył. – Doskonale, panie Tankred. Jak na początkującego doskonale. Jutro z nimi pogadam osobiście.

Właściwie, robota zakończona. Szef pogada z szefem, przybiją sobie piątki, trochę grosiwa przeleci z konta na konto i już. Tylko jakoś nie mógł przestać myśleć o tej lali ze zdjęć.

– Gdybyśmy jeszcze mieli coś konkrétnego – mruknął. – Coś, czym by ich można postraszyć. Rzecz zrobiłaby się droższa?

Szef machnął tylko ręką, co miało znaczyć, że podziela pogląd porucznika Oridhiego: nie włazić między gryzące się tygrysy. Zwłaszcza, gdy nie wiadomo nawet, ile ich jest.

– Nie mamy możliwości, żeby jej szukać. Są na to za dobrzy. Do jutra, najdalej, wykopią ją spod ziemi, cokolwiek byśmy robili. No, jeszcze raz gratuluję – dodał szef od drzwi.

Skinął głową, wracając do swojej codziennej, taniej masówki. Nadal nie mógł oderwać myśli od Sybilli.

Wykopią cię spod ziemi, laleczko. Nie masz szans. Zbyt wiele jesteś warta, nieszczęsna istoto o psychice dziecka, wypranej ze wszystkiego, co uznano za zbędne. Sprawdzą, gdzie zrobili błąd, dlaczego wyłamałaś się z narzuconych ci zachowań, pobiorą tkanki do klonowania i uruchomią masową produkcję twoich sióstr. Przebój sezonu. Sybilla zaspokoi twe najgłębiej skrywane pragnienia. A może już w przemysłowych retortach bulgoczą setki tysięcy Sybilli? Za pół roku będą już osiemnastoletnimi na oko dziewczynami, sprzedawanymi z rabatem i na kredyt. A za półtora roku ostatni egzemplarz pójdzie do kasacji. Taki już twój pieprzony los, laleczko. Taki już jest ten kurewski świat. Nie masz szans.

Oparł głowę na łokciach i popadł w zadumę. Tak głęboką, że aż graniczącą z letargiem.

– Strajkujesz? – obudziło go po jakimś czasie pytanie Ewy.

– Zastanawiam się. Gdyby przyjąć, że to ona go stuknęła, i że jakimś cudem zdołała załatwić tego drugiego... to co mogłaby robić dalej? Czy one myślą?

– Ani w ząb – wtrącił się Komandor. – W naszych czasach zdołano doprowadzić naśladowanie natury do perfekcji.

Ewa obruszyła się demonstracyjnie, jak zawsze, gdy Komandor wypowiadał się na temat kobiet – w – ogóle.

Bo właściwie, to jednak w jakimś sensie była kobieta. Fakt, iż wyhodowano ją sztucznie, z zarodka, uznanego w majestacie prawa za przedmiot, na którym można eksperymentować do woli, miał może znaczenie dla ryjących w prawniczych precedensach jurystów. Ale nie ważył na tym, że jednak w jakimś sensie była to kobieta. Cała działalność koncernów, produkujących lale, skupiła się na udowadnianiu, że tak jest – w reklamach, i że tak nie jest – w sądach.

Zdjął z terminalu bieżące sprawy i zaczął wgłębiać się w zebrane przez Ewę dane o produkcji sprzętu seksualnego. Po dziesięciu minutach przekonał się, że podejrzewanie tak spreparowanej istoty o zabicie właściciela jest nonsensem. Ale za nierozgłaszanie nonsensów nikt nie płaci. Więc widocznie Sybillę spreparowano inaczej. Potrafi się mścić. I chyba ma to już z głowy. Więc co dalej? Chcę cię znaleźć, laleczko. Chcę zobaczyć, co takiego zmajstrowali spece od rozładowywania stresów i frustracji.

Po pół godzinie mózg odmówił mu dalszej współpracy i zażądał czegoś mocniejszego. Tankred zgodził się z nim skwapliwie. Czuł, że gryzie go jakiś robak i wolał drania zawczasu utopić.

Zdobył się na heroiczny wysiłek i przestał myśleć o Sybilli. Od razu zaczął myśleć o Elsie Friedenkopf, o jej długich nogach i chłodnym, dystyngowanym sposobie mówienia, który sprawiał, że nie potrafił myśleć o tej kobiecie normalnie, jak o każdej innej.

Kompletne dno. Zaczął się przyglądać Przypadłościanowi, ale i to go jakoś nie cieszyło.

– Co mi się tak przyglądasz?

– Nie chciałbyś złapać nadgodzin? – zapytał. – Weź na wieczór przekaźnik i wóz alarmowy. Chcę trochę powęszyć, może będę potrzebował pomocy.

Zastanawiał się długo, przygryzając wargę i kręcąc głową. Wystarczająco długo, żeby Tankred zdążył wyciągnąć z szafki swój przekaźnik, sprawdzić, czy baterie są naładowane do maksimum, czy pasmo emisji zestrojone jest z



Jan FUDALA urodził się w 1951 r. w Olszówce w Gorcach w znanej góralskiej rodzinie. Ukończył Technikum Sztuk Plastycznych im. A. Kenara w Zakopanem, a później Akademię Wychowania Fizycznego. Pisać o Janie Fudali można dużo i różnie; jako o sportowcu (złoty i srebrny medal na Akademickich Mistrzostwach Świata w Szwajcarii), satyryku, poecie, aktorze, a wreszcie – malarzu. My prezentujemy go jako malarza. Największą bodaj pasją J. Fudali jest malowanie na szkle. Tej tak mocno osadzonej w ludowej tradycji Podhala technice malarskiej nadał on nowy wymiar. Jego „szklane wizje" nie mieszczą się w konwencji narzuconej przez ludową tradycję. Jan Fudala nadaje im swoisty klimat, swoje widzenie świata, a nade wszystko swój temperament i dowcip.

Ewa Latała



Zdjęcie i reprodukcja: Z. Latała.

przekaźnikiem Przypadłościana, i czy sygnał jest rejestrowany w bieżącej pamięci systemu Agencji. Zajęło mu to ładnych parę minut – jak dotąd, nie miał zbytu wielu okazji do posługiwania się tym sprzętem.

– Dobra – oznajmił w końcu Przypadłościan. Wizja dodatkowego zarobku przemogła obawę o zdrowie. – Będę w pogotowiu, jakby co.

Siedział w samochodzie zaparkowanym przy rogu ulicy i palił papierosa. Niebo pociemniało już, miasto zalało migoczące światło neonów i reklam. Okazało się, że ten robak, który go gryzł, umiał doskonale pływać. Nie było na łobuza metody. Szukając jej, postanowił wreszcie – bodaj przy czwartym czy piątym kieliszku – zadzwonić do Elsy. Oczywiście, tylko i wyłącznie po to, by ją wybadać. Jeżeli zgodzi się do niego przyjechać, to znaczy, że ma coś do ukrycia i boi się, że Trankred mógł już na to wpaść. No, a skoro już przyjedzie, to postara się z niej to coś wydusić. Po prostu sprawy służbowe w nadgodzinach. Proste i przekonywające. Tak przekonywające, że niemal w to uwierzył.

Widocznie miała coś do ukrycia. Albo, jako specjalistka od kontaktów z sępami, też miewała swoje sprawy służbowe w nadgodzinach. W każdym razie nie robiła ceregieli.

Zdusił niedopałek w popielniczce. Czego ty właściwie chcesz, Tankred? Odwaliłeś swoje i daj już święty spokój tej sprawie. Masz przerosty ambicji.

Trzask drzwiczek. Usiadła obok i przez chwilę uśmiechała się w milczeniu, po swojemu – zarazem zachęcająco i nieprzystępnie.

– I po co ta konspiracja? Mogłeś po prostu przyjechać do mnie.

Bez słowa uruchomił silnik i wyjechał na środek jezdni.

– Gdzie pojedziemy? Do ciebie?

– Pogadać z Sybillą.

– O to ci chodziło? – powiedziała z wyrzutem. – Myślałam...

– Wiem, co myślałaś. Muszę ją znaleźć. I chcę, żebyś mi w tym pomogła.

– Po co? – wzruszyła ramionami. – Ona i tak należy do nas.

– Chcę mieć dowód, że to ona zabiła Rasta i Torresa. Wtedy wyduszę z was trzy razy więcej forsy. – Zdaje się, że to do niej przemawiało.

– Torres umarł na atak serca, możesz to sprawdzić gdzie chcesz. Od dawna miał kłopoty z pompką, przejął się sprawą. Nie masz zielonego pojęcia o lalach. Nadają się do zabijania równie dobrze, jak pekińczyk. To zwykłe, luksusowe zwierzątko, tyle że podobne z kształtu do kobiety i przez to cholernie drogie. Masz chorą wyobraźnię. Po prostu unikamy rozgłosu i za to płacimy. Czego jeszcze chcesz?

– Nie wiem – powiedział, zupełnie szczerze.

– A ja wiem. To głupie, nasłuchałeś się propagandy tych idiotek z Ruchu Obrony Kobiety. Zajrzyj kiedyś w raporty psychologów, zobaczysz, ilu ludzi męczy się przez całe życie z powodu swych skłonności. To nie ich wina, że tacy są i lubią to, co lubią. Pomagamy im żyć w nietolerancyjnym społeczeństwie. Nikomu się przez to nie dzieje krzywda. Powiedziałabym nawet, że ratujemy ludzi przed mnóstwem nieszczęść. Nie masz pojęcia, do czego bywają zdolni seksualni frustraci.

– Tak uważasz?

Wyprostowała się, patrząc na drogę przed nimi.

– Myślałam, że spędzimy przyjemny wieczór.

– Uhm. Z bandą twoich kolegów po fachu na karku.

– Jestem po służbie – nachyliła się lekko i długą chwilę patrzyła mu w oczy, aż go coś ścisnęło w podbrzuszu. – Nie mam przy sobie broni ani sygnalizatora, żadnej z tych rzeczy. Możesz w każdej chwili sprawdzić...

– Jaka ona jest? W końcu się nie dowiedziałem.

– Ależ nudzisz. A wyglądałeś mi na sympatycznego chłopca. Daj już z tym spokój – musnęła jego rękę. – Dobrze? Spróbuj zapomnieć, gdzie pracuję i bądź chwilę miły.

To bez sensu. Może naprawdę daj sobie spokój. Przecież i tak nic z niej nie wydusisz, a taka okazja facetowi równie przystojnemu jak ty często się nie zdarza. Daj spokój i bądź miły. Nie, cholera – skręcił gwałtownie, aż zapiszczały opony.

– Gdzie jedziemy? – powtórzyła.

– Cierpliwości. Jeszcze chwilę.

Zatrzymali się po kilkunastu minutach. Zgasił silnik.

– Dom Rasta? – stwierdziła raczej niż spytała. – Słuchaj, o co ci chodzi?

– Teraz to już z powrotem wasz dom. Powinnaś mieć klucz, który otwiera wszystkie wasze zamki, prawda? Na pewno masz. Chodź.

Dom był cichy, uśpiony i posprzątany. Policja musiała go opuścić w ciągu dwunastu godzin, a koncern jeszcze go nie zapełnił.

– O co ci chodzi? – spytała ponownie, gdy weszli do holu. Wskazał jej prowadzące na dół schody. Zawahała się na chwilę. To był dobry moment, zanim utracił atut zaskoczenia. Próbowała się bronić. Była dobra i miała refleks. Ale on też był dobry i miał pół sekundy przewagi. Otwarte do krzyku usta. Dwa punkty na szyi, zanim zdążyła zablokować ruch jego rąk. Osunęła się miękko. Zaniósł ją na dół i zaczął rozbierać. Mówiła prawdę. Nie miała przy sobie broni ani żadnej z tych rzeczy.

Poruszał się spokojnie, pewnie. Skończywszy zapalił papierosa i usiadł. Nie pomyślał jakoś o zamknięciu drzwi.

Papieros dopalał się, gdy zaczęła przychodzić do siebie. Podniosła głowę i usiłowała się poruszyć, ale tylko zaskrzypiały krępujące ją pasy. Szarpnęła się raz i drugi. Zrozumiała.

– Ty cholerny zboczeńcu! – wrzasnęła. – O co ci chodzi?!

Zaśmiał się, ubawiony tymi słowami. Ignorując jej krzyki podszedł do ściany i długo wybierał pejcz – odpowiednio gruby, by nie przeciął skóry i odpowiednio cienki, by zabolał. Potem wyłączył swój przekaźnik – lubił Przypadłościana, ale nie chciał mieć w nim świadka – i odwróciwszy się, uderzył z całej siły. Świst. Krzyk. Czerwona pręga na naprężonych pośladkach. Odetchnął głęboko.

– Czego chcesz?! – zawyła przez łzy. – Czego chcesz?!

– Kim jest Sybilla? Czym różni się od starszych typów? Słucham – znów świst i krzyk. Milczała. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Wykończymy cię – dyszała, szarpiąc się w więzach. – Zobaczysz, skurwysynu, nie ujdzie ci to, zobaczysz...

– Kim jest Sybilla? – zupełnie się nie przeraził.

– Nie wiem, nie wiem, naprawdę, nie rób tego, nie, błagam, nie, nie wiem, nie wiem!!!

Zdyszał się, zanim wreszcie przerwał na chwilę. Puls rozsadza skronie. Ogień w podbrzuszu. Obłęd. To jest właśnie obłęd, za to ludzie płacą.

– Jeśli powiem... uwolnisz mnie?

– Zatłukę, jeśli nie powiesz. – Tak, w tej chwili był do tego zdolny. – No, mów! – Świst. Krzyk. – Mów!

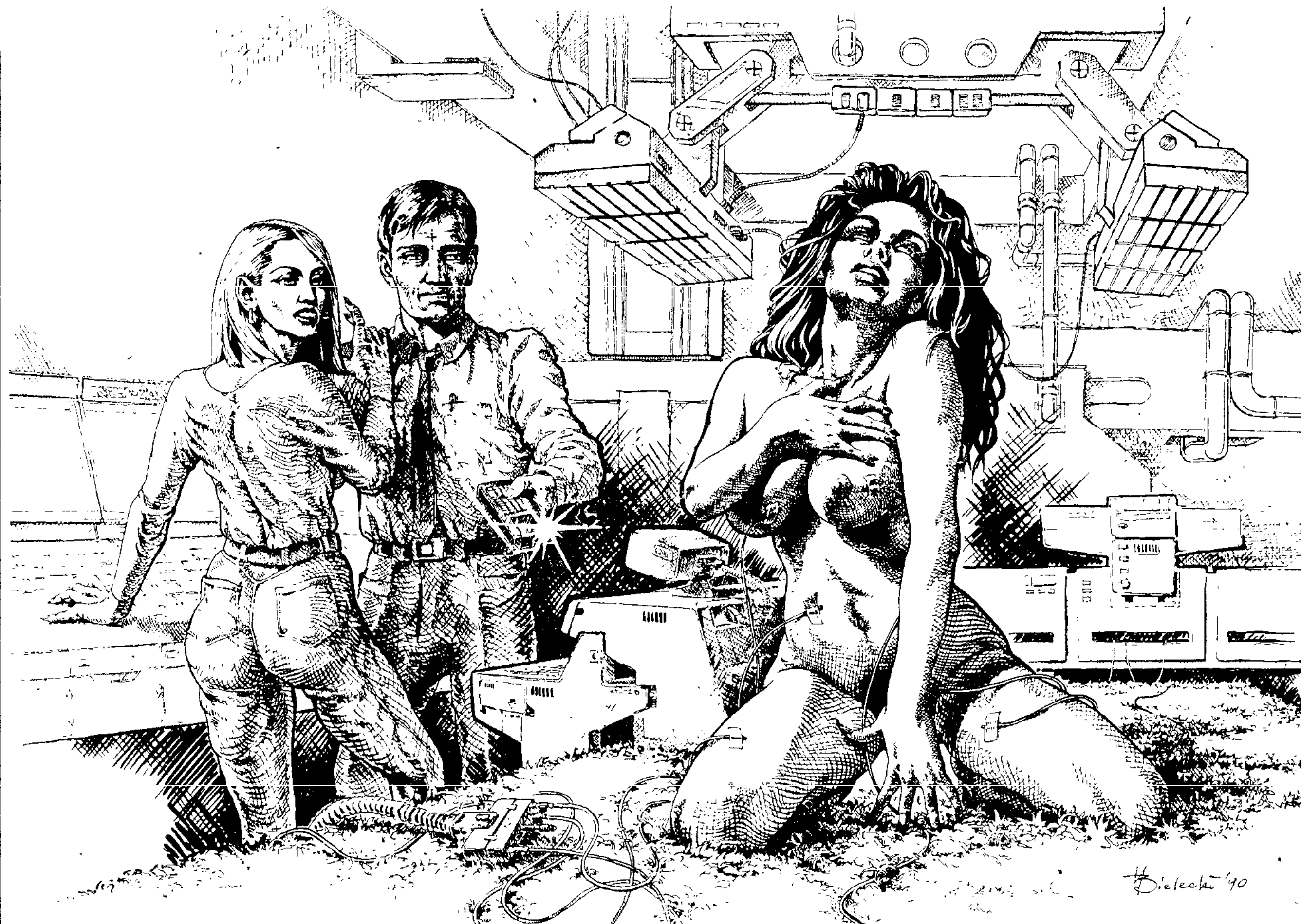
– Chodziło o to, żeby to nie były tylko odruchy – szlochała. – Zwierzątko krzyczy, ale nie cierpi. A ludzie chcieli, żeby lala była zdolna do prawdziwych uczuć, żeby znała miłość i upokorzenie... – Teraz już w jej głosie nie pozostało ani śladu poprzedniej wyniosłości. Zdecydowanie bardziej mu się to podobało. – Matryca psychiki była zdjęta z normalnej kobiety. Stary pomysł, ale dotąd nikt nie umiał dokonać odpowiedniej selekcji. Za dużo przechodziło na lalę, nie można było przewidzieć jej zachowań. Rast sądził, że uda mu się ograniczyć materiał...

– Po prostu wyhodowaliście normalną dziewczynę, tak? Prawdziwą dziewczynę, z którą każdy może zrobić, na co ma ochotę – mówił, jednocześnie sycąc się widokiem jej szczupłego, wyprężonego ciała, poznaczonego czerwonymi śladami uderzeń. – Nikomu się nie dzieje krzywda, prawda?

Szarpnęła się gwałtownie, bluzgając stekiem rynsztokowych wyzwisk.

– Ty gnojku, jeszcze teraz będziesz mnie nawracał, tak? Pierdolony świętoszku, zabiję cię, słyszysz, zabiję cię, ty gnido, ty... ty... ty kastracie!!! ZABIJĘ CIĘ!!!

I nagle krew wzburzyła się w nim i wykipiała. Zerwał z siebie koszulę, szelki z kaburą, pas. Nic nie byłoby w stanie



Marek Bielecki

go powstrzymać. Podszedł do niej, obrzmiały i twardy aż do bólu, do jej ciała ułożonego w idealnej do tego pozycji, pewnie jacyś specjaliści długo nad tą pozycją myśleli, z wściekłym pożądaniem, z poczuciem, że nic innego nie jest ważne, że zrobi to, choćby się świat walił – i to właśnie było w tym wszystkim najbardziej podniecające, i dlatego właśnie to robił, w zapamiętaniu, w szaleństwie, chwycił ją za włosy, okręcając je wokół dłoni, ściągnął, aż zadarła głowę niczym ujeżdżany koń, ale nawet nie słyszał prawie jej krzyku przechodzącego powoli w głęboki, spazmatyczny szloch, tylko robił to, robił, w obłędzie, aż do szczytu

do szczytu

szczytu

Wciąż jeszcze oddychał ciężko, czując, jak wyciekają z niego resztki wściekłości. Zaciskał mocno dłonie na jej talii, chłonąc grę mięśni pod gładką skórą i słabnące, coraz cichsze jęki.

Tak.

– Chyba zaczynam cię lubić – stwierdził po jakimś czasie, głaszcząc opuszkami palców jej kark, ramiona i szyję.

– To byłam ja – powiedziała, drżącym jeszcze głosem, poddając się palcom Tankreda. – Rast chciał, żebym to właśnie ja była pierwowzorem Sybilli... Teraz już wiesz... Ty bestio... – westchnęła, i zabrzmiało to jak największa pochwała, jaką kiedykolwiek w życiu usłyszał.

– Parę minut temu obiecywałaś, że mnie zabijesz – uśmiechnął się, wciąż wodząc palcami po jej grzbiecie.

– W porządku – oddech Elsy uspokajał się powoli. – Już ci to nie grozi. Obiecuję. Możesz mnie spokojnie rozwiązać.

– Kto was tam kiedy zrozumie – mruknął wreszcie i lekko, pieszczotliwie klepnął ją w pośladek.

Leżała bezwładnie, czekając aż uwolni jej ręce i nogi. Dopiero po chwili zwlokła się sennie i usiadła, zastygając z głową opartą o brzeg obitej skórą deski i przymkniętymi oczyma.

– Myślałam, że to już wszystko, na co cię stać. I że dalej będą tylko morały.

Te rzeczy różnie na ludzi wpływają. Jedni robią się senni, inni gadatliwi. Na Tankreda wpływały tak, że zaczynało mu się po tym lepiej myśleć.

– Staruszek Rast pewnie już nie był w najlepszej kondycji? – usiadł, szukając wzrokiem bluzy. Podniósł ją i wyciągnął z kieszeni papierosy.

– Zdarzało mu się. Daj i mnie.

– Przerwał w najlepszej chwili, zostawił ją podbechtaną i sobie poszedł. Też byś miała ochotę go strzelić. Tylko że ty jesteś na to zbyt dobrze wychowana.

– Może. Nie biorę za nią odpowiedzialności. – Zaciągnęła się głęboko. – Skoro uznał, że idealna dziewczyna, przebój sezonu, powinna być w tym właśnie taka jak ja... Miło takie rzeczy słyszeć. Zwłaszcza, kiedy się już zaczyna wiotczeć.

Przyglądał się jej, już spokojnie, bez podniecenia, taksując fachowo jej brzuch, piersi i uda. Wzmianka o wiotczeniu była najzwyklejszą, babską kokieterią.

– Dobry jesteś. W końcu wszystko ze mnie wyciągnąłeś. Chociaż nie wiem, po co ci to, bez niej i tak nie masz nas czym straszyć. A ją w końcu nasi chłopcy znajdą, pewnie już znaleźli. Poprawimy, przepuścimy przez testy... Za parę miesięcy sam się będziesz na tę małą zapożyczał. Po co zgrywać świętoszka?

Ubodło go to. Trudno by mu było powiedzieć, dlaczego.

– Nikogo nie zgrywam. To nie jest w porządku. Jeszcze rozumiem, jeśli to tylko kawałek uwarunkowanego na określone reakcje mięsa, ale robić wierną kopię prawdziwej kobiety...

– Prawa rynku, kochanie – powoli wracała do swego zwykłego, dystyngowanego tonu. – Każda branża ma swoje zasady, twoja na pewno też. U nas trzeba zawsze dawać coś mocniejszego, niż w poprzednim sezonie. Ciągle zaskakiwać klienta czymś nowym. Przecież zaczynaliśmy od zupełnie przyzwoitych filmów, gdzie robili to jak stare małżeństwa. Pierwsze lale też były pomyślane do niewinnych figli w łóżeczku. Ale ludzi szybko przestało to podniecać. Ciągle coś nowego, bardziej wymyślnego, bardziej perwersyjnego, inaczej wypada się z obiegu.

– Ciekawe, co wymyślicie w przyszłym roku. Zwierzątka czy dzieci?

– Za wąski rynek, jak dla nas – pokręciła głową, a potem zaśmiała się serdecznie, patrząc na niego.

– Ani słowa – uprzedziła, mierząc w Tankreda papierosem. – Bo twoja agencja będzie miała proces o zgwałcenie ochrony koncernu, połączone z zanudzaniem. A mamy naprawdę wyszczekanych adwokatów.

Zmusił się wreszcie, by przemóc ogarniające wszystkie mięśnie rozleniwienie i zaczął podnosić rozrzucone po podłodze ubranie, rozglądając się za bronią. Szelki leżały na zmiętej koszuli, obok drzwi, ale w kaburze nie było pistoletu. Dostrzegł go chwilę później, jakieś półtora metra wyżej. Tkwił w smukłej dłoni o długich, pomalowanych jaskrawo paznokciach.

Tankred znieruchomiał, czując, że gwałtownie zasycha mu w gardle.

Dłoń należała do wysokiej, ciemnowłosej kobiety o nienaturalnie długich nogach i wydatnych piersiach, niemal rozsadzających krótką, czarną sukienkę, sfatygowaną trochę i ponadrywaną na szwach. Dziewczyna stała przy drzwiach, oparta ramieniem o drewnianą ścianę. Spoglądała na Tankreda wielkimi, czarnymi oczami. Nie umiałby powiedzieć, co w nich było. Chyba wszystko, co tylko może się zawrzeć w spojrzeniu kobiety. Niepewnie obracała pistolet w palcach, jakby nie bardzo wiedziała co to jest i do czego służy.

– No, dobra – mruknęła Elsa przeciągając się, wciąż nieświadoma jej obecności. – Właściwie, teraz ja powinnam cię wychłostać. Tak by było sprawiedliwie.

Twarz Sybilli, w którą wpatrywał się jak zahipnotyzowany, drgnęła nagle. Jej rysy stężały, pełne, wilgotne wargi ściągnęły się w wąską linię.

– Nie próbuj tego – powiedziała. Miała głęboki, przyjemny głos.

Elsa poderwała się na równe nogi, obracając się błyskawicznie. Tym razem okazała się lepsza od Tankreda – nie tracąc ani ułamka sekundy sprężyła się do skoku, zwijając pięści. Ale zanim zdążyła rzucić się na Sybillę, ta w jednej chwili przerzuciła w dłoni pistolet, chwytając go pewnie jak stary komandos. Trzask bezpiecznika. Jak na pekińczyka, obchodziła się z bronią niezwykle sprawnie.

– Nie próbuj – powtórzyła. Potem, gdy Elsa znieruchomiała, przeniosła znowu wzrok na Tankreda.

Przymknął oczy. Nawet nie pomyślał, że może spróbować się bronić, rzucić się na Sybillę, wytrącić jej broń, dopóki była zajęta Elsą. Nie poruszył się, czekał na dźwięk strzału, przekonany, że zaraz dostanie kulę – dotarło do niego, że wciąż jest nagi i nagle pomyślał, gdzie może tę kulę dostać, aż ścierpł na tę myśl, ale i to nie wyrwało go z bezwolnego oczekiwania na strzał. Pochylił tylko lekko głowę, starając się opanować drżenie mięśni.

– Ładny jesteś – powiedział ten głęboki, ociekający seksem głos. Szczęk wprowadzonego do lufy naboju. Przemógł się, by jeszcze raz odemknąć powieki.

Uśmiechała się. Było w tym uśmiechu coś groteskowego, jakaś szatańska czułość połączona z dziecięcym okrucieństwem. Ale ten nabój nie był wcale przeznaczony dla niego. Lufa mierzyła w podbrzusze Elsy, stojącej nieruchomo, z otwartymi ustami i przerażeniem na twarzy. Powoli, jak na zwolnionym filmie, palec Sybilli zaginał się na spuście.

– Nie – wykrztusił nie poznając własnego głosu.

Znowu spojrzała mu w oczy, jakoś tak bezradnie.

– Nie, Sybillo! – powtórzył już pewniej.

Milczenie.

Bezruch.

Otworzyła usta.

I wtedy, w tej przeraźliwej ciszy, usłyszeli nagle tupot na schodach. Sybilla zdążyła tylko rzucić się całym ciałem na drzwi, ale nie zdołała już ich zatrzasnąć – odskoczyły, jakby z drugiej strony wpadł na nie rozpędzony nosorożec. Poleciała bezwładnie w drewniane rusztowanie, a w drzwiach ukazał się Przypadłościan. Przypadłościan w całej swej okazałości – sto kilo mięśni, które jeszcze pamiętały co nieco z dawnych treningów. Dopadł Sybilli, nim sięgnęła po upuszczony pistolet, i jednym potężnym sierpem wyłączył ją na dobre. Cud, że nie urwał jej głowy. Właściciele tej kosztownej zabawki mieliby mu to za złe.

Podniósł broń i przez chwilę przyglądał im się z zaciekawieniem.

– Zdążyłem? – zapytał wreszcie, nader inteligentnie.

Tankred poczuł tylko gwałtowną miękkość w przegubach.

Siedział za swoim terminalem, rozparty w fotelu, z nogami założonymi na pulpit. Była to oznaka kompletnego rozprzężenia, którego na co dzień w Agencji absolutnie nie tolerowano. Ale szef uważał, że w chwilach szczególnych – na przykład, kiedy udało im się wydusić z jakiegoś koncernu równe dziesięć milionów – jego podwładnym należy się chwila luzu. „Ludzkie panisko", jak to podsumował Komandor.

– Cały czas nie dawał mi spokoju ten Torres – mówił Tankred. – Najpierw myślałem, że to robota Sybilli. To oczywiście nonsens, nie dostałaby się do biurowca, poza tym widziałem dobrze, że nie miał żadnej rany. I dopiero jak się dowiedziałem, że chorował na serce, zacząłem kojarzyć. Ta babka z ochrony musiała rozmawiać z nim przez wideokom, uprzedzić, że przyjdzie z sępem, któremu ma opowiedzieć jakąś przekonywającą bajeczkę, żeby wziął dziesięć tysięcy i sobie poszedł. I jeżeli od tej wieści wykorkował, to musiał wiedzieć, że Sybilla naprawdę może być niebezpieczna, zwłaszcza, jeśli przejęła od swego pierwowzoru choć trochę umiejętności ochroniarza. Pomyślałem, że jak będę wiedział coś o jej psychice, to w końcu zgadnę, gdzie jej szukać. Udało mi się trochę wyciągnąć z tej babki, więc pojechaliśmy tam, przyczaić się na nią. Tyle że ona już tam była.

– Miałeś szczęście, że ci wyłączyła przekaźnik. Gdyby działał, do głowy by mi nie przyszło sprawdzać, co się z tobą dzieje. No, ale jak mi zaczęło wyć – Przypadłościan rozłożył ręce – widzę, że coś nie tak, no to wskoczyłem w wóz i pojechałem. Przepraszam, że tak długo to trwało, ale nie miałem pozycji, musiałem sprawdzać jeden po drugim wszystkie kolejne namiary.

– Dobrze, że ona tego nie wiedziała – przytaknął. Faktycznie, uczyli go kiedyś, że wyłączenie przekaźnika bez wpisania i potwierdzenia kodu zakończenia akcji traktowane jest na wyjściu automatycznie jak alarm. Ciekawe, jak by wyglądał, gdyby miał lepszą pamięć.

– I zdaje się, że koniec końców trafiłem na najlepszy moment – dorzucił po chwili Przypadłościan.

– Tak. To się nazywa mieć *entrée* – skinął machinalnie głową, zastanawiając się, jak zmienić temat, zanim Przypadłościan zapyta co się tam właściwie działo. Szczerze mówiąc, sam tego nie wiedział. Odkąd zajął się tą sprawą, wydawało mu się, że Sybilla będzie się po prostu mścić. Teraz sądził, że jej zachowaniem wcale nie kierowała żadna zemsta, że nie była do tego zdolna, zresztą, cholera wie, co właściwie odczuwała jako krzywdę, a co nie. Co nią w takim razie kierowało? Nie miał pojęcia. Może nic. Może w chwili, gdy trzasnął cały system warunkowania, zamieniła się w rozregulowany automat, szarpany na wszystkie strony seriami przypadkowych, nieskoordynowanych odruchów. Tak by było najprościej. Chciałby, żeby tak było. Ale w głębi ducha nie potrafił w takie wyjaśnienie uwierzyć, i miał się nad tą sprawą jeszcze przez jakiś czas zastanawiać w wolnych chwilach.

Z kłopotu wybawiła go Ewa.

– Słuchaj, ale jak ty na to wpadłeś? – dopytywała się. – Skąd wiedziałeś, że ona tam wróci?

Nawet mu to do głowy nie przyszło. Ale przecież się nie przyzna, jak to było naprawdę. Niech myślą, że po prostu ma nosa.

– No, wiesz – odrzekł po chwili namysłu. – Pomyślałem sobie, że PRAWDZIWA kobieta na pewno tam wróci. Choćby po jego fotografię. Ona go przecież naprawdę kochała.

– A idź ty – żachnęła się. – To to była dla ciebie PRAWDZIWA kobieta?

Jeżeli się obraziła, to w każdym razie nie zdążyła w pełni uzewnętrznić swego oburzenia. Drzwi uchyliły się cicho i do pokoju wsunął się Komandor.

– Szef idzie – oznajmił, i zaraz dodał konspiracyjnym szeptem: – Z taaaakim koniakiem pod pachą.

O tak. To było właśnie to, czego organizm Tankreda najbardziej w tej chwili potrzebował.

Zapadła pełna napięcia cisza. Przerwał ją wreszcie Przypadłościan, oznajmiając zbolałym głosem, że go dziś od rana strasznie łupie wątroba.

Kątem oka Tankred dostrzegł pełen triumfu uśmiech na twarzy Komandora.

sierpień – grudzień 1989

Rafał A. Ziemkiewicz

Wiatrowski Henryk
(ur. 1951)
Prawnik, dziennikarz, autor SF

Urodził się 9 listopada 1951 r. w Zagorowie (woj. konińskie). W latach 1973-1977 studiował na Wydziale Prawa UAM w Poznaniu, zaś w latach 1979-1982 w Akademii Nauk Społecznych w Warszawie. Dziennikarz. Pracuje w tygodniku „Zarzewie".

Debiutował wierszami na łamach „Nurtu" w 1978 r. Swoje utwory publikował w prasie regionalnej i centralnej, prezentował na antenie Polskiego Radia. Jako autor SF debiutował opowiadaniem zamieszczonym w almanachu młodej prozy wielkopolskiej **„Prosto z młodości"** (Wydawnictwo Poznańskie 1980). W 1986 r. w cyklu zeszytów fantastyczno-naukowych opublikował opowiadanie **„Czas oczyszczenia"** (Iskry, Warszawa 1986). Jest to relacja pilota pełniącego służbę w oddziałach specjalnych Kosmicznych Sił Zbrojnych, który broni naszej planety przed inwazją „obcych". Jego zadanie okazuje się fikcją: bohater przebywa w hibernatorze na Plutonie, jest przestępcą, zabił w afekcie żonę i dziecko, ma zmienioną biografię (rodzaj zabiegu medycznego o charakterze resocjalizacji). Do najciekawszych partii utworu należą sceny ukazujące kontaminację prawdy i fikcji, przenikanie obu biografii, subiektywizację różnych wymiarów rzeczywistości.

Wierzbiński Maciej
(1862-1933)
Dziennikarz, pisarz

Urodzony w 1862 r. w Poznaniu. Studiował w Berlinie, Antwerpii, Londynie. Redagował w Poznaniu tygodnik „Praca", a w Inowrocławiu „Dziennik Kujawski". Ogłaszał powieści i sztuki historyczne („Kniaź i księżna", 1908; „Wiosna Ludów", 1919; „Szpieg pruski", 1914; „Kajzer Wilhelm II", 1931), utwory o tematyce współczesnej (m.in. „Nowele", 1899; „Dolar i spółka", 1925, „Wielka gra", 1927). Zmarł 15 stycznia 1933 w Warszawie.

Autor dwóch powieści nawiązujących do konwencji science fiction **„Oaza miłości. Powieść z życia komunistów"** (J. Czernecki, Warszawa-Kraków 1913) oraz **„Atak sępów. Powieść z roku 1935"** (Wielkopolska Księgarnia, Poznań 1925). Pierwsza z nich jest historią komuny założonej w Purgleigh, którą odwiedza pisarz – mr Darlington pragnący poznać założenia ruchu komunistycznego. Książka (co jest zjawiskiem szczególnym w polskiej fantastyce tego okresu) ukazuje wspomniany temat z dużą dozą sympatii, ale na plan pierwszy wysuwa wątki o charakterze romansowym stając się popularnym utworem sensacyjnym pozbawionym ambicji literackich. Druga powieść Macieja Wierzbińskiego jest odmianą prozy batalistycznej (zob.: J. Baszewski, S. Żarnowiecki i in.) – przedstawia germanizację Pomorza, prowokacje niemieckie, a następnie wybuch II wojny światowej zakończonej zwycięstwem Polski. Również i ta książka należy do nurtu literatury popularnej, opowiada o aferach szpiegowskich, zamieszcza przykłady „cudownych wynalazków" z dziedziny militarnej, wysuwa na pierwszy plan wątki o charakterze romansów kosztem psychologicznego pogłębienia wizerunków postaci.

pożółkłe kartki

Maciej Wierzbiński

Oaza miłości

Powieść z życia komunistów

Tymczasem Darlington udał się z Crosstonem do pani Anny, gdzie oczywiście długa wywiązała się dyskusja. Komuniści bowiem dzielili się ze wszystkimi innymi „istami" skłonność do sejmikowania, do rozpraw i pojedynków agitatorsko-retorycznych i w ogniu spornych dysput spalała się rtęć ich energii duchowej. Robili wprawdzie pozornie wrażenie ludzi czynu, lecz w akcji ujawniali dialektyczne umysły.

Piętą Achillesową ich doktryny wydał się literatowi przede wszystkiem ich dziecięcy oportunizm i optymizm, dotyczący natury ludzkiej. Dlatego w toku rozmowy mówił:

– Największym, nieubłaganym wrogiem i antagonistą jest egoizm ludzki. Nie wydrą go z organizmu żadne środki, ni metody wychowawcze. Zawsze przeciętny człowiek, nie uznający idealnych wartości życiowych, ciągnąć będzie obrus na swoją stronę z bezwzględnością małodusznego samoluba i tak zakłócać będzie równowagę waszego idealnego ustroju gromadnego.

– Z egoizmem liczymy się, bo liczyć musimy – odparła pani Anna. – To nie egoizm jest nam tak wstrętnym, lecz pewne jego formy, lecz wyuzdanie jego, będące naturalnym następstwem własności osobistej oraz wzmagającej się walki o byt. Nie zabijamy egoizmu. Byłoby to przecież szaleństwem, zważywszy, że egoizm, którego korzenie tkwią w instynkcie samozachowawczym, jest nieodłącznym od żywotności, od życia. Natomiast sprowadzamy egoizm, obniżamy do pierwotnych, naturalnych granic i rozmiarów i tak uzdrawiamy duszę, a energii ludzkiej wytykamy nowe i to szczytniejsze linie. Tępimy grasujące dziś mikroby egotyzmu i chorobliwej egomancji, działającej tak rozkładowo na nasze ja, na duszę zbiorową ogółu.

Po chwili pani Anna ciągnęła:

– Aby otworzyć serce, trzeba zwalić z niego kamienne wieko egotyzmu, który ssie najszlachetniejsze soki duszy. Uważając siebie za ośrodek wszechstworzenia i nie widząc nic poza tem, człowiek nęka się, strawia wewnętrznie, zużywa i popada w oschłość serca i ciasnotę umysłu. Nie tędy wiedzie droga na wyżyny kultury duchowej.

– Co pani rozumie pod kulturą duchową? – zagadnął Frank.

– Kultura duchowa to szarotka alpejska, zawisła na szczytach górnych i chmurnych, przystępna jedynie dla tych, co mają duszę.... Dusza to głowa i serce. Zwłaszcza serce. Jakżeż niewiele osobników posiada jedno i drugie! Jak rzadkim zjawiskiem wśród ludzi jest – człowiek! Jak rzadkim człowiek, którego władze umysłowe drogą nie tyle studiów, ile bezinteresownej ciekawości i samoistnego myślenia przeszły pewien proces udoskonalenia? Którego serce zmężniałe w wirach wzruszeń, wyszlachetnione w cierniach cierpień, zakwitło kwiatami bezinteresownej miłości? A dopiero zespół tych dwojga czynników daje kulturę duchową, tworzy jednostkę wspaniałą, wielką – nadczłowieka. Ale nie nadczłowieka Nietzsche'go. Kto nie posiada boskiego daru cierpienia, cierpienia za miliony, kto nie poranił serca o głogi życia, nie stanął sam w pełnej świadomości swego świetnego odosobnienia na samotnej wyżynie duchowej – nie zdobył tej szarotki podniebnej.

Tonąc w zamyśleniu, pani Anna mówiła dalej:

– Dewizą tych, co pną się na te strome, tęczowe szczyty, jest: zapomnij o sobie, a nie zatrać siebie.

– To znaczy? – wtrącił z cicha Frank, zapatrzony w natchnioną twarz kobiety.

– Zapomnieć o sobie, to znaczy odnaleźć swoją, poza sobą, albo raczej



Jakub Szczęsny

ponad sobą leżącą oś, wokoło której winno obracać się nasze życie. A nie zatracić siebie to jest nie zbaczać z owej kosmicznej drogi dookoła tej osi, innemi słowy, być sobie wiernym, przynajmniej na zasadniczej, wytycznej linii życia... Człowiek-mikrokosmos obraca się jak ziemia wokoło swego ja, wszelako jednocześnie musi obracać się wokoło swego słońca. To swoje słońce odnaleźć, jest rzeczą każdego poszczególnego osobnika, jeśli nie ma kołatać się w ciasnem kółku, jakby w klatce więziennej. Bo, gdyby tą klatka była nawet wysłana złotą tkaniną, umajona palmami i mimozami, zamieszkała przez słowiki i kolibry, nie wejdzie do niej szczęście.

Po długim milczeniu Frank bąknął:

– Istotnie pani ma swój pogląd na życie, swoją filozofię życiową...

I zamyślił się. Lecz Crosston przerwał mu pasmo myśli, sprowadzając rozmowę lotną w prochy ziemskie, a co gorsza, partyjne. Więc Darlington począł przyglądać się pani Annie z żywym interesem, sondować jej twarz przedwcześnie powiędłą, ale ładnie narysowaną i bardzo kobiecą w wyrazie. (...)

Gdy Crosston odszedł na wieczerzę, a pani Anna zatrzymała go u siebie, pomagał jej przy nakrywaniu stołu i przygotowywaniu skromnego wieczornego posiłku.

Przypomniały mu się wędrówki po ziemi Basków, którym poświęcił cenną książkę. Aby poznać ich obyczaje i cechy rasowe, wplótł się na pewien czas w kanwę chłopskiego życia nad zatoką Biskajską, pokumał się z kmieciem i tym sposobem zaspokoił nie tylko ciekawość etnografa i zawodowego podróżnika, lecz także głód wrażeń.

W biało otynkowanej izbie zauważył nad łóżkiem Natalki, śnieżną kapą pokrytem, niewielki obrazek święty, opleciony różańcem z brązowych, nacinanych paciorków, ze zczerniałym szkaplerzem.

– To orientalne?... – bąknął zaciekawiony.

– Jest to wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej – objaśniła pani Anna i opowiedziała Frankowi historię cudownego obrazu, poczem ciągnęła z odcieniem smętku:

– Dostałam ten obraz, różaniec odwieczny i szkaplerz od babki, która mnie wychowywała, gdy jako młoda dziewczyna wyjeżdżałam z Podola za granicę, by... nie powrócić więcej do kraju. Niestety, nie mogę myśleć o babce z rozrzewnieniem, ale pamiątkę tę rodzinną cenię, nawet kocham. Nie mam bowiem prawie nic, co mówiłoby mi o mem pochodzeniu, o latach dziecięcych, o ziemi ojczystej. Prawie nic...

Cień melancholii przesunął się po jej licach. Zaczem dorzuciła żywo:

– Natalka nie była w Polsce nigdy. Przekazałam jej tę pamiątkę.

– To nie jest dla pani niczem więcej, tylko pamiątką?

– Jedynie drogą pamiątką – odparła spokojnie pani Anna. – Sama mam nad łóżkiem skromny emblemat tego, co wyłącznie na ziemi jest świętem, bardzo świętem: Cierpienia.

Czernił się tam niewielki przedmiot z terakoty, doskonale brąz naśladującej, a wyobrażającej fragment krzyża, na którym spoczywała głowa kobiety z bolesnym wyrazem idealnego oblicza.

– Pani cierpiała wiele?... wyszeptał Frank, lecz pani Anna odwróciła rozmowę od osobistych torów.

– Cierpienie jest jedyną świętą rzeczą na świecie – powtórzyła. – Długo nie rozumiałam tego; dopóki człowiek jest młodym, nie rozumie wielu rzeczy. Dopiero Fen otworzył mi na to oczy, ukazał świat pod nowym kątem widzenia.

Maciej Wierzbiński, Oaza miłości. Powieść z życia komunistów. Warszawa – Kraków. Nakładem księgarni J. Czerneckiego.

Opracował Andrzej Niewiadowski

Calvino, czyli szaleństwo mistyfikacji

Okładka: zostaję zaatakowany widokiem dorodnej damskiej pupy, solidnymi udami obciągniętymi białą pończochą, wreszcie obfitym biustem z ostentacyjnie czerwonymi sutkami. Całość, zamiast głowy, wieńczy tytuł „Jeśli zimową porą podróżny". Wszystko to razem mruczy do mnie przymilnie: „Kup mnie". Więc kupuję.

Ciało z okładki, jakby urwane wprost z jakiegoś pornosa, jest niestety tylko pierwszą z całej serii mistyfikacją. Wszystkich złaknionych wiadomych treści zwolenników twórczości Andrzeja Rodana czeka srogi zawód. To nie jest pornografia, ba, to nawet nie jest powieść. Rzecz składa się z dziesięciu początków różnych powieści, plus przygody Czytelnika, usiłującego wzmiankowane powieści doczytać do końca.

Kiedyś bardzo żywotny był w literaturze światowej nurt powieściowy, zwany autotematyzmem. Z grubsza polegało to na tym, że autorzy na łamach tychże powieści zwierzali się czytelnikom, jakich to mąk doznają przy ich pisaniu. Głównym tematem stawał się sam akt twórczy, w efekcie czego dostawaliśmy coś na kształt „pisania o pisaniu" bądź „powieści w powieści". Ostatnio jakoś nie słychać o specjalnie doniosłych dokonaniach tego nurtu. Wydanej właśnie powieści Calvina w to raczej nie wliczam, ponieważ autor dokonał w niej osobliwej wolty, tworząc coś w rodzaju autotematyzmu *á rebour* – „Jeśli zimową porą podróżny" nie jest powieścią (bo tak to dla uproszczenia musimy jednak nazwać) o pisaniu, wręcz przeciwnie, podmiotem organizującym tekst jest proces c z y t a n i a.

Popatrzmy na to bliżej: parę bohaterów nazwał autor Czytelnikiem i Czytelniczką. Ich znajomość rozpoczyna się w księgarni, gdzie obydwoje nabywają powieść niejakiego Italo Calvino o wymienionym już tytule. Po czym bohaterowie idą do domu, aby oddać się lekturze. Tu czeka ich srogi zawód – książka składa się tylko z jednego arkusza, samego początku powieści, diabelskim chochlikiem drukarskim zszytego po wielekroć. Wzburzeni wracają do drukarni, gdzie okazuje się, że wcale nie czytali „Jeśli zimową porą podróżny" (chochlik podmienił także okładki) a powieść polskiego pisarza Tazia Bazakbala – skądinąd bohatera „Pożegnania jesieni" Witkacego, więcej tam będzie różnych *poloniców* – o tytule „Poza osadą Malbork". Czytelnik i Czytelniczka oddychają z ulgą i chcą oddać się dalszej lekturze, ale znowu przekonują się, że zostali wprowadzeni w błąd – otrzymane z wymiany egzemplarze zawierają początek (tylko) powieści nie polskiej – którą chcieli czytać dalej – a kimeryjskiej, autorstwa Ukko Ahtiego. Tak zawiązany splot mistyfikacji puchnie ze strony na stronę. Tropione przez parę bohaterów książki zmieniają tytuły, autorów i języki, w jakich są napisane. Wydaje się, że tajemniczym chochlikiem jest niejaki Hermes Marana, niby-tłumacz, zasypujący wydawnictwa tłumaczeniami powieści fikcyjnych autorów. Wychodzi z prostego założenia, że w naszym na wskroś fałszywym świecie tylko poczęty z premedytacją fałsz jest prawdą. Ponadto powoduje nim zafascynowanie Czytelniczką, Ludmiłą, której pragnie przedstawić powieść w swym fałszu doskonałą, tak aby ta przyjęła ją za prawdziwą.

Zirytowany tym Czytelnik wyrusza na poszukiwanie Marany, jednocześnie tropiąc książkę-kameleona. Trafia do tajemniczej Ataguitanii, gdzie fałsz w życiu publicznym osiągnął szczyty – każdy jest jednocześnie konspiratorem i reżymowcem. Potem zostaje wysłany do Hyrkanii, gdzie podziały na władzę i opozycję są bardziej oczywiste, ale za to istnieje drugi, pozacenzuralny obieg książek – ha, skąd my to znamy! Czytelnik nic nie może zwojować – Marana ginie gdzieś w gąszczu zostawionych za sobą sprzecznych tropów i informacji, zresztą jego spisek zaczyna żyć własnym, niezależnym życiem. Czytelnik, pozostawiony sam sobie w gąszczu mistyfikacji, macha w końcu na wszystko ręką i postanawia ożenić się z Ludmiłą, jako że mamy do wyboru dwa rodzaje zakończenia tego typu opowieści: bohaterowie albo umierają, albo się ze sobą pobierają.

Powieść Calvina to hymn na cześć świata, który teraz, na naszych oczach odchodzi w przeszłość. Jest to świat ludzi Księgi, gdzie właśnie książka była głównym kulturowym wyznacznikiem, stanowiąc dla człowieka źródło wartości, informacji i estetycznej podniety. Calvino opisał świat, gdzie książka jest królem – już z tego punktu widzenia jawi nam się to jako wizja zupełnie fantastyczna. Książka jako forma istnienia kultury ulega zanikowi. Intymny, dla każdego indywidualny proces lektury, zostaje właśnie zastępowany szklanym ersatzem w postaci telewizji i wideo. Lekturę wypiera oglądactwo, myśl zaś bierna akceptacja podawanych obrazów. Książka, wymagająca jednak inicjatywy własnej czytającego (począwszy od tego, że ów musi nauczyć się czytać), przegrywa ze szklanym ogłupiaczem, który, czyniąc z człowieka nie widza nawet, a oglądacza, nie wymaga absolutnie nic, tylko otwartych oczu i w miarę drożnych uszu. W wariackim tempie zbliżamy się do stanu „w którym nie ma książek i nikt nie uskarża się na ich brak".

Z pogranicza

Strach we śnie

Polska literatura coraz śmielej penetruje pogranicze jawy i snu. Niektórzy autorzy twierdzą, że w narracjach sennych prawda o człowieku ujawnia się pełniej niż w rozpoznaniach realistycznych, bo sen rządzi się swoimi własnymi prawami, bo śniąc konstruujemy sami na własny użytek narracje swobodne, nie ograniczone żadnymi zasadami, pełne podtekstów, symboli i odniesień do wydarzeń rzeczywistych. Oczywiście to, co nazywane bywa narracją oniryczną, również jest pewną umową pomiędzy autorem i czytelnikiem, ale jest literaturą o wiele swobodniejszą niż kontynuująca dziewiętnastowieczne sposoby opowiadania proza tradycyjna. Tutaj to, co opisane, zaprezentowane czytelnikowi ma inne znaczenie, inny rytm dziania się, dodatkowe plany znaczeniowe ukryte za zdarzeniami.

Nowym autorem wpisującym się w nurt polskiej prozy onirycznej jest debiutujący powieścią „Requiem dla Bohatera" Krzysztof Dariusz Szatrawski. O jego utworze nie da się powiedzieć wiele rzeczy pewnych – przeciwnie: powieść zbudowana jest na niedomówieniach, na niepewności, czytelnik sam musi dokonać deszyfracji tego, co przedstawia mu powieść. W pewnym sensie jest to więc działanie analogiczne do wyjaśniania skomplikowanego snu rozwijającego się w dwóch czy trzech równoległych wątkach.

U Szatrawskiego jest tak: jest jakaś rzeczywistość, dziwna, nie do końca określona, którą przenika tajemnicza organizacja posługująca się kryptonimem RODZINA (Rozbudowa Dziennej Nadświadomości), na czele której stoi wciąż zmieniający się stryj tytułowego, bezimiennego Bohatera. Ten z kolei zostaje uwikłany w działanie RODZINY, choć wcale tego nie chce. Zbyt wiele ma swoich spraw.

Oto one w skrócie: Bohater jest śniony przez człowieka występującego w powieści pod imieniem i nazwiskiem Adam Adam. Przez Autora, więc stwórcę zarówno Bohatera, jak i Adama Adama, pozbawiony jest głosu i jakiejkolwiek wiedzy o swoim pochodzeniu. To, że Bohater jest śniony, to jeszcze nie koniec jego zmartwień – można sobie wyobrazić, że bohater snu nie ma świadomości tego, jak ulotny jest jego byt i żyje w świecie snu tak, jak żyłby w każdym innym. Bohater z powieści Szatrawskiego w pełni rozpoznaje swą sytuację i zdaje sobie sprawę, że w każdej chwili może przestać istnieć (co zresztą staje się na zakończenie). To nie może być przyjemne: *Moja historia. Sen nieznajomego człowieka* – stwierdza. – *Pozbawiono mnie głosu, przeszłości i nazwiska. Wydarzenia, których jestem półświadomym uczestnikiem, przerastają mnie, przytłaczają, miażdżą.*

Czy to, że pozbawiony głosu człowiek, zmuszony do milczenia pisze o swoim przerażeniu, o tym, że nie ma wpływu na swój los, że skazany jest na lot w nieznanym kierunku, jest czymś niezwykłym? Nie. To doświadczenie powszechne. Śniący w 1986 roku (powieść precyzuje tę datę) Adam Adam przenosi swoje obawy w świat snu, skazuje na swój strach tego, którego śni, tego, który wśród niepewności swego bytu próbuje zbudować coś pewnego, próbuje odtworzyć samego siebie i jakoś tam bezpieczne otoczenie. Ale strach jest wszechobecny i zawsze jednakowy...

I tak oto w wielostopniowo złożoną strukturę powieści, w jej – zdawałoby się – skrajnie odrealniony świat przedstawiony przenika zwyczajna, dzisiejsza rzeczywistość z wszystkimi niepewnościami, jakie niesie nam życie, z obawami i zwyczajnym strachem. Strachem o wszystko, który wcale nie jest uczuciem egzotycznym, a nawet staje się coraz powszechniejszym. *Każdy z nas ma swój strach, swoje własne ciemności, krążymy więc wspólnie, a dzieli nas własna inność, a więc wszystko...* – czytamy w powieści. I to jest prawdziwe stwierdzenie: każdy jest sam ze swoim strachem, każdy rozpoznaje samego siebie z uporem i niepewnością, czy robi dobrze. Ale na to jest skazany.

Leszek Bugajski

Krzysztof Dariusz Szatrawski: *Requiem dla Bohatera*. Iskry, Warszawa 1989. Cena 400 zł.

„Jeśli zimową porą podróżny" posiada też rysy czającego się ostatnio gdzieś wokół postmodernizmu. Mistyfikatorski spisek Marany zdaje się przybierać rozmiary wszechogarniające i wręcz apokaliptyczne, bawiąc się i manipulując nieszczęsnym Czytelnikiem, a także tym właściwym, „zewnętrznym" odbiorcą dzieła, ponieważ my na równi z bohaterami jesteśmy zaskakiwani kolejnymi mistyfikacjami. I na podobieństwo czytelnika klasycznej powieści detektywistycznej próbujemy je jakoś rozwikłać. Niestety, wewnętrzna logika (a właściwie alogiczność) powieści jest nie do złamania.

W książce Calvina, mimo iż zasadniczo niefantastycznej, aż mnoży się od elementów fikcyjnych,czyli całkowicie fantastycznych. Rzecz dzieje się początkowo w bliżej nieokreślonym miejscu i czasie, czyli nigdzie i wszędzie, zawsze i nigdy, potem przenosi się do Ataguitanii i Hyrkanii – krajów tych nie ma na mapie, ale znajdziemy te nazwy w encyklopedii. Jak najbardziej fantastyczny jest stworzony przez Maranę spisek apokryfów. Są też elementy baśniowe i mistyczne – choćby wątek Ojca opowieści. Sama powieść kojarzy się przez strukturę z „Księgą tysiąca i jednej nocy", choć Szecherezada nie była aż tak perfidna i zawsze następnej nocy podejmowała porzuconą historię.

Parę osobnych uwag należałoby się stylistyce Calvino. Muszę przyznać, że dawno nie zetknąłem się z podobnie wysmakowanym i rozbudowanym stylem, przez co proza ta zyskuje jakby drugie dno, niespotykany gdzie indziej wymiar wewnętrzny. Bogactwem smaków przypomina andaluzyjskie wino, którego bukietu z pewnością nie potrafi docenić gardło spalone przyprawioną karbolem wódką – o czym poniżej.

Jeden z moich najlepszych przyjaciół wyznał mi, że książkę tu omawianą doczytawszy do połowy rzucił z irytacją w kąt. Smutne, ale prawdziwe. Uświadamia to pewien podstawowy a przerażający fakt – tracimy umiejętność lektury. Calvino stanowi w naszym menu literackim przykry dysonans – nijak ma się do zalewającego półki księgarskie potoku dzieł McLeano- i Rodanopodobnych. Tandeta naszego życia wymusiła też tandetę lektury – szybko, łapczywie i dużymi kęsami. Czytanie przypomina tym samym posiedzenie w barze mlecznym. A lektura Calvina to proces długi i subtelny, wymagający czasu i skupienia. Najlepiej byłoby to robić w długie, zimowe wieczory, przy buzującym kominku i z filiżanką gorącej kawy pod ręką. Wtedy dopiero delikatna materia powieści poddaje się nam w całej swej wyrazistości, nieśpiesznie a dokładnie. Tak już nigdy nie będzie – my, z całą swoją kryzysową gorączką, chciejstwem i tandetą, zawsze będziemy w świecie powieści Calvino, jak to skonstatował inny człowiek Księgi, Zbigniew Herbert, „barbarzyńcą w ogrodzie".

Jacek Inglot

Italo Calvino: *Jeśli zimową porą podróżny*. Przełożyła Anna Wasilewska, PIW, Warszawa 1989. Cena 1000 zł.

Szanowna Redakcjo,

do mojej recenzji „Prawo siły" („Fantastyka" 2/90) wkradły się dwa błędy. Nie uznaję fantastów za pisarzy naukowych, bo to brednia, lecz odwrotnie – za **anaukowych**, jak stało w maszynopisie. Także homo sapiens jest skróconą potocznie formą **homo sapiens sapiens**, jak napisałem, i w zestawieniu z homo sapiens neandertalis nazwa ta winna być przytoczona w całości. Proszę o zamieszczenie niniejszego sprostowania, zanim co bardziej obeznani z tematem czytelnicy wezmą mnie za idiotę.

Z poważaniem

Marek Oramus

„Inwazja jaszczurów"... na Moskwę

SF to dziedzina zaborcza i agresywna, która powoli, ale uparcie rozprzestrzenia się na coraz to nowe gałęzie działalności twórczej. Panoszy się nie tylko we współczesnej kulturze, ale też zapuszcza korzenie jak najgłębiej w przeszłość. Etykieta SF, jak niezwykle żywotny polip, stara się przylgnąć do możliwie największej liczby utworów. Zjawisko to nie jest chyba warte oceniania i wartościowania. Krytyka i nauka o literaturze latami całymi zajmuje się szufladkowaniem, porządkowaniem, aby później przekładać i przewracać wszystko w tych szufladkach, przewartościowywać poprzednie ustalenia. Dlatego pozwólmy SF na pewną ekspansywność, szczególnie, gdy dzięki niej otrzymujemy wydanie książki ciekawej i poszukiwanej.

Seria Alfy „Dawne Fantazje Naukowe" już od pewnego czasu cieszy oko zgrabnym, niewielkim formatem oraz elegancką szatą graficzną. Publikując w tej serii „Fatalne jaja" Michała Bułhakowa Alfa obok doznań wizualnych zapewniła czytelnikom porcję humoru i uśmiechu. Już sam ten fakt godny jest odnotowania, gdyż utwory SF tchną najczęściej śmiertelną powagą i przygniatają czytelnika posągową wagą poruszanych problemów. Wśród tych spraw ważnych, doniosłych i istotnych aż się prosi o odrobinę lekkości, wdzięku i dowcipu. O taki asortyment jednak niezmiernie trudno, więc trzeba poszukać na pograniczach gatunku i ponad sześćdziesiąt lat wstecz.

„Fatalne jaja" to opowieść o tym do czego mogą doprowadzić nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Przypadkowe ustawienie mikroskopu naprowadza profesora Persikowa na trop „promieni życia", natomiast pocztowa pomyłka staje się bezpośrednim powodem najazdu gadów i innego parszywstwa, które w dodatku jest większe niż normalnie, bardziej żarłoczne i żywotne. Wygłodniałe potwory rozchodzą się (rozpełzają?) po kraju, powoli zbliżają się do Moskwy wzniecając wśród jej mieszkańców strach i panikę. A wszystkiemu winne fatalne jaja. Pomimo tych fantastycznych elementów utwór Bułhakowa niewiele ma wspólnego z fantastyką naukową. Jest przede wszystkim satyrą i to satyrą zjadliwą na stosunki panujące w porewolucyjnej Rosji. Bliższe spojrzenie na akcję utworu ujawnia znacznie więcej przyczyn fantastycznych wydarzeń bardziej istotnych niż fatum ciążące nad bohaterami. Historia fatalnych jaj pozwala odmalować w całej okazałości biurokrację, hierarchiczność społeczeństwa, bałagan epoki stalinizmu, karierowiczostwo i nieuctwo ludzi decydujących o losach narodu. Bułhakow konstruuje swą fabułę z niebywałą ostrością spojrzenia, z ironią operuje znaczącym szczegółem i sarkastycznym komentarzem.

„Fatalne jaja" to przede wszystkim utwór aktualny, niemal polityczny, jeśli mówić o nim w ramach SF to można zastosować jedynie określenie fantastyka sytuacyjna, gdzie fantastyczne elementy ujawniają wyłącznie to, co i tak jest. Tego typu utwory powstają z reguły w określonym momencie historycznym, gdy rzeczywistość zaczyna bardziej przypominać świat fantastyczny, gdy absurd wlewa się wielkimi falami w realną egzystencję. Oczywiście lata dwudzieste w Związku Radzieckim doczekały się wielu zupełnie innych przetworzeń artystycznych. „Fatalne jaja" są wypadkową paradoksów i absurdów ówczesnego życia z talentem Bułhakowa, jego skłonnością do gry swobodnej wyobraźni, groteskowego postrzegania świata.

„Fatalne jaja" pomimo swej błahości ujawniają mistrzowskie władanie piórem ich autora (szkoda tylko, że w zbiorku Alfy znalazły się obok dwóch opowiadań o znacznie niższym poziomie). Fascynuje i bawi sam język Bułhakowa. Zdania opowieści charakteryzują się płynnością i potoczystością rodem ze swobodnej gawędy i felietonowej praktyki. Język osiąga bezbłędną równowagę między gadulstwem, rozpasaniem niemalże, z jednej strony a zwięzłością, ostrością i ciętością z drugiej. Fantastyczne zdarzenia są tak samo wyraziste jak detale potocznego, realnego życia. Bułhakow mistrzowsko posługuje się wszelkimi szczegółami w budowaniu swojego groteskowego świata. Za pomocą opisu postaci konstruuje specyficzny dowcip sytuacyjny. Taki humor i taką stylistykę można spotkać tylko w literaturze rosyjskiej. Trudno nie poddać się urokowi takiego na przykład zdania:

Malutkie oczka spoglądały na świat ze zdumieniem, ale i z góry, a w krótkich nogach i platfusowych stopach było coś bezceremonialnego.

„Fatalne jaja" dla polskiego czytelnika mają dodatkowy walor. Wraz z zagłębianiem się w historię pechowego profesora i nieudanej hodowli kur czujemy się coraz bardziej swojsko i domowo, rozpoznajemy sytuacje, śmiejemy się, ale coraz mniej radośnie. Niestety, „Fatalne jaja" niewiele straciły na swej aktualności, to co demaskowały wiele lat temu trwa dalej i czuje się doskonale. Potwierdza to fakt, iż zabawna, błaha opowiastka Bułhakowa dopiero teraz doczekała się u nas pierwszego wydania książkowego, przedtem znalazła się jedynie na łamach „Literatury na Świecie".

Trzeba jednak rozwiać te ponure refleksje wynikłe pod koniec tego tekstu. „Fatalne jaja" wcale się nie zleżały przez te ponad pół wieku, ponadto cała historia kończy się dobrze, *deus ex machina* w postaci mrozu przywraca ład i porządek. Nie mogłoby być inaczej, Bułhakow, niedoceniany za życia i nękany wieloma utrudnieniami, niemal do końca pozostał człowiekiem pełnym humoru i optymizmu. W „Mistrzu i Małgorzacie", dziele jego życia, Woland wypowiada znamienne słowa do Małgorzaty:

Wszystko będzie jak należy, na tym trzyma się świat.

Nie wiadomo jeszcze na czym trzyma się nasz świat, ale dobrze, że pojawiło się w nim wydanie „Fatalnych jaj". I miejmy nadzieję, iż jaszczury nie nadciągają do Polski.

Małgorzata Skórska

Michał Bułhakow: *Fatalne jaja*. Wydawnictwa Alfa, Warszawa 1988. Cena 270 zł.



Wojtek Siudmak

Jak zabić zmorę
czyli czego bali się dawni Słowianie

Artur Szrejter

Utarło się jakoś w redakcyjnej praktyce działu „Nauka i SF", że pisano w nim tylko o naukach ścisłych. Cóż, przed ośmiu laty, gdy powstawała „Fantastyka", polska fantasy praktycznie jeszcze nie istniała, a i do ówczesnej SF stosowne wydawały się jedynie rozważania o „czarnych dziurach", tachionach i dodatnich walorach ujemnych jonów.

Ten stan rzeczy uległ jednak zmianie. SF coraz częściej sięga dziś po inspirację do takich dziedzin jak psychologia, socjologia czy filozofia. Raczkująca fantasy również, choć rzadko się to zauważa, pozostaje w ścisłym związku z naukami humanistycznymi, karmiąc się zwłaszcza dokonaniami historii i etnologii.

Chyba najwyższy czas rozszerzyć zatem tematykę poruszaną w tym dziale. Na początek proponujemy czytelnikom trochę wiedzy o prasłowiańskich demonach, a w niedalekiej przyszłości... kto wie? Może przyjdzie zmienić tytułową winietę na „Nauka i fantasy"?

(raz)

Czytając utwory Tolkiena, Moorcocka, Le Guin, Zelaznego, Howarda lub innych mistrzów fantasy, rzadko zdajemy sobie sprawę, skąd czerpali oni pomysły. Nie wszystkie z fascynujących czytelników postaci i sytuacji są efektem bujnej wyobraźni pisarzy – gros konceptów pochodzi z mitologii celtyckiej i germańskiej. Tak chętnie wzywany przez Conana Crom to nikt inny jak iryjski bóg Crom Cruach – Głowa Grobowca. Pierwowzorem Oka Saurona było oko iryjskiego boga z rodziny Fomoraig, Balora – aby podnieść jego powiekę trzeba było wysiłku czterech ludzi. Pospolity zaś w mitologii germańskiej i celtyckiej motyw złamanego miecza jest wykorzystywany bezlitośnie przez całe tabuny pisarzy fantasy.

Dlaczego zachodni twórcy tak chętnie korzystają z tych właśnie mitologii? Powody są dwa. Po pierwsze, dostępność – zarówno zapiski średniowieczne, jak i liczne opracowania współczesne pozwalają korzystać z nich każdemu. Wystarczy odkręcić kran z magicznymi przedmiotami i bogami, dodać szczyptę humoru, na nowo ułożyć klocki zwane „archetypami" – i już można się brać za pisanie.

Drugim powodem jest mgiełka tajemnicy i niedopowiedzenia, charakterystyczna dla „barbarzyńskich" religii dalekiej północy. Taki ubrany w skóry Ymir to nie

to samo co Zeus, o którym wiadomo dokładnie, ile miał kochanek i o której godzinie mył zęby.

Urok zachodnich mitologii przyciąga i polskich pisarzy fantasy. Ale czy to niedostatki pióra, czy nieumiejętność przetwarzania legend, czy też (co najprawdopodobniejsze) zmęczenie odbiorcy czytaniem tych samych scenariuszy, dość że rodzima fantasy nie cieszy się jak dotąd uznaniem.

Pisarze polscy, naśladujący zachodnie wzory, powinni się wreszcie zorientować, że nie tędy droga. Aby odnieść sukces trzeba czegoś nowego, oryginalnego. Niech to będzie mitologia Bałtów, Aborygenów czy Indian z Patagonii – wszystkie jak na razie zachowały w dziedzinie fantasy dziewictwo. Podobnie jak religia Słowian. Czas ją poprosić do tańca.

Dotąd uważano, że z braku źródeł pisanych, skąpości wykopalisk i badań folklorystycznych nie da się wiele powiedzieć na temat wierzeń naszych przodków. Prawda jest jednak inna. Kiedy cierpliwie pogrzebać w naukowych opracowaniach wydawanych przez uniwersytety, można się doszukać wszystkiego, co potrzebne. Jeśli to jeszcze połączyć z ogólnie znanymi wiadomościami, powstanie całkiem złożony i szalenie ciekawy obraz życia Słowian wczesnośredniowiecznych. Często trzeba wyniki badań nad rodzimym folklorem odkurzać z naleciałości chrześcijańskich, lecz nie jest to zbyt trudne.

Dopiero ostatnimi laty zaczęły się ukazywać opracowania dotyczące słowiańskiej mitologii i demonologii. Chwała za to ich twórcom. Ułatwiło mi to znacznie zrozumienie wielu podań i legend, które przyjemnie czyta się jako baśnie, ale których pierwotne znaczenie trudno bez odpowiedniego klucza zrozumieć.

Sądząc, że Czytelnika najbardziej zainteresują „pikantne" opowieści z dawnych czasów, postarałem się przedstawić kilka sposobów walki z nadnaturalnymi siłami i opisy owych sił. Słowianie nie wymyślali sobie bogów i demonów ot, tak sobie. Wszystko to były personifikacje sił przyrody (przeważnie nie sprzyjające ludziom), bądź moce, których zadaniem było chronić człowieka (żyjące najczęściej wokół domu i zagrody).

Osobno zaś należy traktować duchy ludzi, którzy powrócili na ziemię po śmierci. Nie da się ich zaliczyć do żadnej z wymienionych grup.

Ukraść dziecko!

Najgorsze były mamuny. Potrafiły zakraść się do śpiącej kobiety w ciąży i wyrwać jej zarodek z łona. Potem zamieniały go w potwora. Taka bestia nachodziła potem wioskę i niszczyła wszystko, co popadło. Jedynym sposobem pozbycia się dawnego płodu – teraz potwora, było zabicie go.

Mamuny jednakże nie tylko wykradały płody. Czyhały przy strumieniach na młode matki, które szły prać bieliznę. Mamuny topiły kobiety i porywały dziecko. Ponoć sam widok demonicy mógł sparaliżować. Miała to być stara baba w czerwonej chuście, z ogromnymi piersiami. Potrafiła znikać i pojawiać się gdzie chciała. Często różnymi sposobami wywabiała matkę poza dom, aby znienacka pojawić się wewnątrz i zabrać niemowlaka. Pozostawiała w zamian swoje dziecko – brzydkiego, niedorozwiniętego potworka, zwanego bobakiem, plonkiem lub odmieńcem.

Aby zabezpieczyć się przed wizytą mamuny, trzeba było powiesić na drzwiach szmacianą lalkę, położyć na progu zdartą miotłę, założyć dziecku czerwoną czapeczkę, a także spać twarzą do niemowlęcia. Jeśli jednak czegoś się nie dopilnowało i mamuna postawiła na swoim, pozostawał ostatni sposób. Należało bobaka wyciągnąć na gnój i z całej siły bić rózgą. Ponoć podstęp ten skutkował zawsze – mamuna zwabiona płaczem swego dziecka, przylatywała i oddawała porwane. Taki sposób polecali nawet chrześcijańscy księża jeszcze w XIX w.

Obok mamun istniało jeszcze wiele kobiet – demonic, zamieszanych w ten swoisty kidnaping. Dziwożony, niezwykle przypominające mamuny, okazywały się jednakże o wiele łagodniejsze od nich. Z kolei Boginki – południce, niezwykle piękne i wiecznie młode, cierpiały na przerost uczuć macierzyńskich. Nie mogąc mieć własnych dzieci, odbierały dziwożonom dopiero co porwane dzieci ludzkie i starały się je wychować po swojemu. Najczęściej nic z tego nie wychodziło, więc podrzucały je z powrotem ludziom. Takie opuszczone przez wszystkich dzieci, najczęściej niemowy lub niedorozwinięte, nazywano boginiakami.

Istniały także demonice pomagające ludziom w odzyskiwaniu potomstwa. Były to siubiele – leśne panny. Zwykle łaskawe dla ludzi, stawały się straszne, gdy jakiś młodzieniec próbował je złapać i poślubić. Potrafiły wtedy mścić się bez litości.

Kobieta od pierwszej chwili, w której dostrzegła u siebie ciążę, musiała stosować się do długiej listy zakazów i nakazów. Wyliczę tu tylko kilka: nie mogła doić krów, naprawiać bielizny, chodzić w kumy, patrzyć w ogień. Jeśli przypatrywała się nieładnemu dziecku czy siadała na pieńku do rąbania drew – było pewne, że powije brzydkie niemowlę.

Możemy dzisiaj się śmiać z wielu tych przesądów, nie należy jednak zapominać, iż niektóre zakazy i nakazy przetrwały do dziś, a co więcej – są zalecane przez medycynę! Chodzi tu przede wszystkim o ograniczenie prac wykonywanych przez ciężarną kobietę oraz odciąganie jej od wszelkich sporów i kłótni.

Zastanawiające jest to, że dzieci były porywane przez demonice. (Znamy tylko jeden przykład kiedy demon rodzaju męskiego zajmuje się uprowadzaniem niemowlaków, ale nie ma tu miejsca aby opisywać podziemka – jest tylko wyjątkiem).

Dlaczego tak się działo? Prawdopodobnie chodziło o żywy jeszcze od matriarchatu przesąd, że dzieckiem może się skutecznie zająć tylko kobieta. Była to resztka najdawniejszego szacunku, jakim otaczano kobietę – rodzicielkę, uosobienie Ziemi, płodności.

O ile dobrze się orientuję, demonologia słowiańska jest jedyną, w której występują w tak wielkiej ilości siły dążące do odebrania człowiekowi jego dziecka.

Przespać noc!

Noc, pora ciemności, zawsze budziła w człowieku strach przed Złem. Złem nie tylko w dzisiejszym znaczeniu, także przed duszami domowników, które powracając na ziemię półświadomie czy nieświadomie wyrządzają krzywdę.

Mimo iż prawie każda religia przewiduje lepsze lub gorsze życie pośmiertne, człowiek zawsze obawiał się zejścia z tego świata. Już sama zapowiedź nieszczęścia powodowała paniczną bojaźń. A zapowiedzi owych było dużo.

Sen o wyrwaniu zęba czy wizycie zmarłego, huk sowy, pogrzeb wypadający w piątek – wszystko to zwiastowało rychłą śmierć. Jeśli weselnicy natknęli się na kondukt żałobny, wtedy pogrzeb państwa młodych był blisko. Stukanie w kominie, urodzenie cielaka o trzech nogach, zobaczenie kłobuka (ptaka z świetlistym ogonem) i tysiąc innych przepowiedni oznaczało odejście kogoś z bliskich.

Robiono wszystko co możliwe aby duchy nie wracały do świata żywych. Publicznie przepraszano zmarłego za wyrządzone i nie wyrządzone krzywdy, w Dzień Zaduszek (którego rodowód sięga daleko w głąb pogańszczyzny) niesiono na cmentarzyska lub do lasu jedzenie dla duchów. Ławę na której leżało przed pogrzebem ciało, wywracano do góry nogami. Otwierano okna, aby dusza mogła swobodnie wylecieć. Gdy umierała gospodyni, otwierano skrzynie z ubraniami, aby umierająca wzięła ze sobą te rzeczy, które najbardziej ukochała.

Czasem jednak chciano, aby jeden jedyny raz duch wrócił. Działo się to, gdy zmarła młoda matka. Ucinano jej kosmyk włosów i kładziono go przy kołysce osieroconego dziecka. Wierzono, że matka wróci po swoje włosy, a wraz z nimi zabierze też maleństwo.

Jedną z najskuteczniejszych metod zawracania zbłąkanej duszy do świata zmarłych było po prostu spełnienie jej życzenia. Wymagało to jednak dużej odwagi; trzeba było wtedy spotkać się twarzą w twarz z przybyszem i dowiedzieć się czego potrzebuje.

Gości z zaświatów w demonologii słowiańskiej można ogólnie podzielić na dwie kategorie: duchy (jak zmory i inne, które najczęściej nie mają postaci materialnej) oraz strachy (wąpierze, wilkołaki czy dwudusznikі) o dość dokładnie opisanym wyglądzie, które wiadomo jak zabić.

W tym podrozdziale zajmę się duchami.

Bardzo pospolita była wiara w istnienie duchów krzywdzicieli, którzy na ziemi odprawiają pokutę. Chodzi tu przede wszystkim o bogaczy, zbójców, a od XIX w. także nieuczciwych miierników i niesumiennych proboszczów.

Wśród duchów niewątpliwie najciekawsze były zmory. Istniała ich ogromna ilość: gnieciuchy, mory, cioty, bіże, dusiciele, wieki, siodełka. Przybywały nocą do chałup i siadając na piersiach śpiących, dusiły ich lub wysysały krew. Późniejsza tradycja połączyła postać zmory z dwudusznikiem. Miało to tak wyglądać, że normalnie żyjący człowiek wysyłał nocą swoją drugą duszę w postaci zmory, aby prześladowała sąsiadów czy wrogów. Niewątpliwie starsze jest mniemanie, że zmora to duch człowieka od dawna nieżyjącego.

Gnieciucha nie można było zobaczyć, ale dało się go wyczuć. Był zimny, obrośnięty lepiącym się czymś czy ociekającym futrem, miał mocne ręce i dużą głowę. Inne rodzaje zmór mogły przybierać po-





stać wysokiej, bladej kobiety lub owadów, lecz najczęściej pozostawały niewidzialne dla człowieka. Natomiast zwierzęta wyczuwały je na odległość. Psy wyły, a koty uciekały gdzie popadło.

Znano wiele sposobów na zmory. Wymienię tu kilka.

Mara przychodziła do wybranej ofiary noc w noc. Dlatego też drugiej nocy należało położyć się nogami na poduszce lub spać w zupełnie innym miejscu. Wtedy duch, rozczarowany, że nie ma ofiary, odchodził na dobre. Trzeba jednak się było strzec przed zemstą „gościa". Zmora zdolna była zabić sprytnego człowieka, posługując się zwykłą bronią – nożem, siekierą. Jeśli udało się potem zdobyć tę broń, można było być pewnym szczęścia i urodzaju przez całe życie.

Istniały też prostsze sposoby pozbywania się zmór. Należało zasypiać z rękami położonymi na piersi, spać na brzuchu, poruszać małym palcem, gdy duch atakował, kłaść przy łóżku żelazny przedmiot lub postawić przy wezgłowiu nóż na sztorc.

Należy przyznać, że Słowianie byli niesamowicie pomysłowi jeśli chodzi o walkę z siłami nie sprzyjającymi człowiekowi. I nie tyczyło się to tylko zmór...

Dwudusznik i przyjaciele

Mało kto wie, że większość potworów z zachodnioeuropejskich horrorów wywodzi się z mitologii słowiańskiej. Upiór, wampir i wilkołak to postacie od początku do końca stworzone w wyobraźni starożytnych i średniowiecznych Słowian. Może się to wydawać nieprawdopodobne, ale tak jest – Zachód wytworzył tylko jednego demona, który i teraz nie kapituluje przed „naszymi" krwiopijcami – strzygę.

Upiór i wampir to w gruncie rzeczy jedno i to samo stworzenie. Pierwotnie zwano je wypirem lub wąpirem. Od tego to słowa na Zachodzie we wczesnym średniowieczu utworzył się wyraz wampir, natomiast na naszych terenach przybrało ono wygląd dwojaki: wąpierz i upiór.

Teraz dość poważnie rozgraniczamy wampira i upiora. Pierwszy jest zmarłym dawno ciałem, które krąży nocą aby wypijać z ludzi krew, zaś drugi to po prostu strasząca dusza. Kiedyś wyglądało to inaczej. Upiór – wąpierz uznawany był na wielu terenach za bóstwo, któremu warto składać ofiary ze zwierząt. Tylko krwią dawało się go przebłagać. Prawdopodobnie jeszcze przed przyjęciem chrześcijaństwa upiór został zdegradowany do rangi demona, przez co zaludnił wszelkie nawiedzone tereny, knieje i miejsca dawnych pochówków.

Wąpierz był jednym z najgroźniejszych demonów słowiańskich. Zabijał, wypijał krew, wyjadał wnętrzności. Strach przed nim był tak wielki, że kiedyś unikano ludzi, którzy chociażby wspomnieli o istnieniu owych demonów.

Upiór mógł wyglądać dwojako: był bardzo czerwony na twarzy, potężny w barach, po śmierci jego członki nie tężały, a oczy pozostawały otwarte. Inaczej przedstawiał się wąpierz mający zdolność przybierania postaci nietoperza czy lelka: chudy, blady, po śmierci twardniał na kość, tak, że nawet nie dało się go przebrać na pogrzeb.

Wszystkie demony wysysające krew z ludzi (łącznie ze strzygą, wiara w którą przybyła do nas ok. XIII w.) posiadały dwie dusze (dlatego też często nazywano je dwudusznikami). Po śmierci jedna dusza szła do bogów (po wprowadzeniu chrześcijaństwa: do nieba), a druga zostawała w ciele. Ona to „wodziła" ciało nocą pośród ludzi, aby napić się krwi.

Czasem już przy pogrzebie zauważano, że chowany może być dwudusznikiem. Wtedy to odwracano go twarzą w dół, a na plecy kładziono miętę. Czasem też zostawiano w nogach gałązkę drzewa osikowego. To zwykle wystarczało.

Zdarzało się jednak i tak, że nie zdołano poznać wąpierza w porę. Należało wtedy iść pośród grobów i patrzeć gdzie jest mała dziurka, którą mogłaby się druga dusza wydostawać z grobu. Jeśli znaleziono taki otwór, miano pewność, że tu właśnie pochowany jest dwudusznik.

Istniało kilka sposobów na całkowite unieszkodliwienie dwudusznika: przebicie osinowym kołkiem lub żelaznym gwoździem, ucięcie głowy, włożenie nieboszczykowi do ust kawałka żelaza; położenie w grobie ulubionych przedmiotów zmarłego. Te środki skutkowały zawsze.

Trochę inaczej przedstawia się sprawa z wilkołakiem. Był to człowiek żywy, który w określonym czasie przybierał postać wilka. Z czasów pogańskich wywodzą się dwa poglądy na temat wilkołactwa: w wilka mogli przeobrażać się ludzie, którzy dysponowali pewną wiedzą magiczną i z własnej woli zrzucali skórę człowieka, mógł nim też być nieszczęśnik, który naraził się czarownicy, ta zaś z zemsty na czas roku kazała mu wieść żywot leśnego drapieżcy.

Istniało kilka sposobów przemiany (dobrowolnej) w wilka, np.: wchodziło się na pieniek zrąbanego drzewa, wywijało kozła w powietrzu i spadało na ziemię. Można też było trzy razy przeskoczyć nad wbitym w ziemię nożem, który koniecznie powinien zostać posmarowany krwią jagnięcia.

Właściwie nie dotrwały do naszych czasów skuteczne sposoby walki z wilkołakiem. Jest to wierzenie tak dawne, że prawie już całkiem zanikło na słowiańszczyźnie. Przechowały się oczywiście sposoby chrześcijańskie: poświęcony miecz, srebrny kord itp. Jednak te możliwości są wtórne, nie wywodzą się z dawnych wierzeń.

Ostrzeżenie

Ten artykuł jest niezmiernie pobieżnym przedstawieniem tematu. Wybrałem kilka demonów lepiej znanych szerszemu Odbiorcy, nie chcąc zanudzać opowieściami o potworach z bagien czy duchach lasów. Moim celem było unaocznienie Czytelnikowi, że na świecie istnieją nie tylko demonologie Celtów i Germanów. Nasza jest równie bogata, a fragmentami znacznie ciekawsza.

Może któryś z młodych autorów fantasy skorzysta z mojego artykułu, może któryś z Czytelników zapamięta, iż wampir to nasz „wytwór". W każdym razie na wszelki wypadek ostrzegam Was – przed snem połóżcie przy łóżku żelazny topór.

Artur Szrejter

Warszawa, listopad 1989

Wydawać by się mogło, że budując coraz doskonalsze teleskopy będziemy mogli pewnego dnia definitywnie odpowiedzieć na pytanie, czy Wszechświat jest skończony czy nieskończony. Naturalnie odpowiedź może być jedynie „okrężna", to znaczy udzielona przez zaprzeczenie: jeżeli stwierdzimy obserwacjami skończoność, wówczas druga możliwość automatycznie odpadnie. Niestety, optyczne metody nie dadzą nam szansy na jakiekolwiek rozstrzygnięcie nawet za milion lat. Na przeszkodzie stoi bowiem istnienie horyzontu widzialności.

Powiedzmy, że wiek Wszechświata wynosi 15 miliardów lat – znaczy to, że nie może być w nim źródeł, które by świeciły dłużej. Światło, które wyszło z jakiegoś obiektu wkrótce po Godzinie Zero, przeszło do obecnej chwili drogę 15 miliardów lat świetlnych (w rzeczywistości z racji efektów relatywistycznych w rozszerzającym się Wszechświecie odległość ta jest nieco większa, ale to nieistotne). Punkty przestrzeni, znajdujące się w tej odległości od nas, nazywamy horyzontem widzialności. Ciał niebieskich, które są za horyzontem, nie możemy dziś zobaczyć, ponieważ ich światło nie zdążyło jeszcze do nas dotrzeć. To ograniczenie jest deprymujące, ale pocieszmy się, że horyzont przesuwa się z szybkością światła: w ciągu stu lat o jedną stopięćdziesięciomilionową swojej dzisiejszej wartości.

W przypadku zobaczenia ewentualnych obiektów znajdujących się na linii horyzontu „przesunięciu ku czerwieni" w ich widmach, oznaczane literą *z*, powinno być równe nieskończoności. Wyjaśnijmy jednak najpierw co to jest *z*. Otóż, jak wiemy, Wszechświat rozszerza się w ten sposób, że galaktyki rozsuwają się równomiernie. Im dalej od nas znajduje się jakaś galaktyka, tym szybciej „ucieka", bo gdy nasza sąsiadka odsuwa się o jeden odstęp, to sąsiadka sąsiadki o dwa odstępy itd. Na zasadzie efektu Doplera światło ze źródła, które się oddala, odbieramy jako mające większą niż w rzeczywistości długość fali. Konkretnie mówiąc, w widmach galaktyk trzeba mierzyć przesunięcie z charakterystycznych prążków widmowych w stronę dłuższych fal, na przykład w przypadku widma widzialnego z błękitu do czerwieni (stąd wzięła się nazwa). W przybliżeniu $z = 5$ oznacza, iż długość fali zwiększyła się 5 razy w stosunku do pierwotnej wartości. Znając wielkość *z* określamy bez trudu odległość studiowanego obiektu. Tak więc, patrząc przed siebie widzimy tylko to, co znajduje się w przedziale od 0 do 15 miliardów lat świetlnych. Czy nie ma żadnej szansy, by zobaczyć więcej? Powstaje tu pytanie: a nuż Wszechświat jest zamknięty – to znaczy, jego masa jest tak znaczna w stosunku do objętości, że na zasadzie ogólnej teorii względności zakrzywia ona przestrzeń do tego stopnia, iż światło wypuszczone w jakimkolwiek kierunku nie może się z niego wydostać? Gdyby zamknięty Wszechświat nie rozszerzał się, to światło lampy wycelowanej przeze mnie w niebo wróciłoby po pewnym czasie, a patrząc przez dobry teleskop zobaczylibyśmy wśród gwiazd naszą własną Galaktykę. Niestety jest to niemożliwe, bo od początku ekspansji do momentu zamiany jej na kontrakcję światło zdąży przebyć zaledwie połowę zakrzywionej przestrzeni i dopiero później, już w fazie kontrakcji Wszechświata, moglibyśmy *uwidiet' sobstwiennyj zatyłok*, jak mawiają Rosjanie[1].

Darmowy lunch

Andrzej Machalski

Ale wróćmy do horyzontu widzialności. Na nim samym nic nie zobaczymy, bo materia w chwili Wielkiego Wybuchu była w stanie plazmy, nieprzezroczysta, po prostu czarna. Pierwsza wiadomość o tamtym fascynującym okresie pochodzi z czasu znacznie późniejszego – o 700 000 do 1 000 000 lat, kiedy Wszechświat był jeszcze rozszerzającą się chmurą gazu. „Ciało" to zaczęło świecić, gdyż nastąpiła rekombinacja wodoru, to znaczy łączenie się protonów i elektronów w neutralne atomy tego pierwiastka. W tym procesie wywiązywała się temperatura 3000 Kelwinów, jednak wskutek wysokiego przesunięcia ku czerwieni (orientacyjnie $z = 1000$) chmury tej nie możemy obecnie widzieć, lecz tylko odbierać ją jako fale radiowe o tysiąc razy większej długości fali. Maksimum intensywności tego promieniowania przypadło wtedy na długość fali równą 1/1000 milimetra (co było bardzo blisko widzialnej czerwieni), dzisiaj przypada na długość fali 1 mm (dolna granica fal radiowych milimetrowych). Obecny rozkład odpowiada rozkładowi promieniowania cieplnego od ciała czarnego o temperaturze 3 Kelwinów. To promieniowanie mikrofalowe dochodzi do nas równomiernie ze wszystkich stron, ponieważ wspomniana chmura wodoru stanowiła cały Wszechświat. Jest to jakby relikt z pradawnej historii Kosmosu, stąd nazwa „promieniowanie reliktowe".

Czytelnik zapewne niecierpliwi się, więc ujawnijmy nareszcie, że naprawdę „zobaczyć" można obiekty znajdujące się dopiero w odległości 15 minus 1 miliard lat świetlnych, ponieważ dopiero miliard lat po rozpoczęciu ekspansji Wszechświata zaczęły tworzyć się galaktyki i gwiazdy. Zgodnie z obecnym stanem teorii nie powinniśmy stwierdzić galaktyk o z większym od 5. Zaobserwowanie galaktyk o z większym od 5 mogłoby okazać się nie lada wstrząsem, podważając wiarygodność teorii inflacji przestrzeni, tak dobrze tłumaczącej szereg cech Wszechświata. Teorię tę sformułował Alan Guth z Massachusetts Institute of Technology w 1980 r.

Na razie astronomowie mogą spać spokojnie, bo praktycznie biorąc nie ma większego teleskopu niż 5-metrowy zbudowany w 1949 roku na Mt. Palomar koło San Diego w południowej Kalifornii. Ukończony w 1975 roku teleskop w Zelenczuk na północnym Kaukazie o średnicy 6 m z powodu niedostatecznej jakości wykonania i nieszczęśliwej lokalizacji (niekorzystne prądy termiczne zniekształcające obraz) nie potrafił zdystansować palomarskiego. Postęp jednakowoż jest niepowstrzymany i będą powstawać instrumenty o coraz to większym zwierciadle głównym. Jest to bardzo istotne, bo im większa jest średnica, tym więcej światła wpada do danego obiektu niebieskiego. Obecnie w wypadku bardzo dalekich galaktyk światła jest tak mało, że pomimo długiego czasu ekspozycji nie da się uzyskać czytelnego spektrogramu, choć układy prążków tworzą łatwe do rozpoznania typowe wzory występujące w wielu galaktykach.

Wymieńmy najważniejsze zamierzenia w dziedzinie techniki:

- „Teleskop Kosmiczny Hubble'a", budowany na zlecenie NASA, miał być wyniesiony na orbitę pod koniec 1983 r. Termin od tego czasu był przesuwany kilkakrotnie z powodu piętrzących się trudności, ostatnio w dziedzinie oprogramowania. Prawdopodobnie to wielkie wydarzenie nastąpi w 1990 lub 1991 roku. Mając średnicę 2,4 metra i środowisko wolne od szkodliwych zakłóceń powietrznych teleskop Hubble'a zdystansuje wszystkie dotychczasowe. Sięgnie on aż do odległości 14 miliardów lat świetlnych, co pozwoli astronomom studiować najwcześniejsze widzialne struktury Wszechświata, które istniały 14 miliardów lat temu. Powinien on jako pierwszy dać nam szansę odpowiedzi na pytanie kosmologiczne, czy Big Bang (ang. Wielki Wybuch) naprawdę miał miejsce.
- Projekt Columbus budowy „binokularu", tj. dwóch teleskopów 8-metrowych tak sprzężonych ze sobą, że razem stanowiłyby ekwiwalent jednego instrumentu o średnicy 11,3 m. Jest to wspólny projekt Uniwersytetu Arizony, Uniwersytetu Ohio, Uniwersytetu Chicagowskiego i Obserwatorium Astrofizycznego di Arcetri we Włoszech.
- Teleskop Kecka ma mieć 10-metrowe zwierciadło główne tzw. segmentowane, złożone z 36 oddzielnych sześciobocznych zwierciadeł. Jest już w budowie na Hawajach. Inwestorem jest Kalifornijskie Stowarzyszenie Badawcze Astronomii.
- Projekt Zrzeszenia Narodowych Obserwatoriów Astronomii Optycznej. Na wspólnej ramie znajdują się 4 teleskopy o średnicach 8-metrowych, przypominające poczwórnie sprzężoną wyrzutnię rakiet. Będą one równoznaczne jednemu 16-metrowemu.
- Projekt Europejskiego Obserwatorium Południowego. Tu będą też cztery jednostki o średnicach 8-metrowych, ale dla odmiany usytuowane w jednej linii; dwa z nich mogą badać odległą galaktykę w świetle widzialnym, a dwa pozostałe – czynić to samo w podczerwieni.

W związku z problemem poruszonym na wstępie warto przypomnieć, że starożytna i średniowieczna nauka głosiły skończoność Wszechświata. Ziemia według nich znajdowała się w środowisku wirującej zamkniętej kuli („sfery"), w której powierzchni tkwiły „gwiazdy stałe". Wewnętrzne sfery, też współśrodkowe, rządziły ruchem planet. Oczywiście jawiło się natychmiast pytanie, co jest na zewnątrz ostatniej sfery, to znaczy tej z gwiazdami. Pitagorejczycy w Grecji 2500 lat temu głosili poetycznie, że jest tam siedziba błogosławionych, gdzie dusze dobrych ludzi zażywają wiecznej szczęśliwości. Zagadnienie skończoności czy nieskończoności przestrzeni długo pasjonowało filozofów. Jeszcze w 1960 roku angielski myśliciel John Locke w „Essay concerning human understanding" („Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego") pisał:

Jeżeli nie założymy, że świat ciał jest nieskończony (a myślę, że nikt tego twierdzić nie chce), to nasuwa się pytanie, czy człowiek, gdyby Bóg go postawił u krańca bytów cielesnych, nie mógłby wyciągnąć ręki poza świat ciał. Gdyby mógł, jego ręka znalazłaby się tam, gdzie przedtem była przestrzeń bez ciała, a skoro by tam rozstawił swe palce, to pomiędzy nimi znajdowałaby się znowu przestrzeń bez ciała. Gdyby zaś ręki przed siebie wyciągnąć nie mógł, to musiałoby się to stać z powodu jakiejś zewnętrznej przeszkody (...): Otóż zapytuję, czy to, co stawałoby mu na przeszkodzie (...) byłoby czymś czy niczym?

Powyższy tekst dotyczy słynnego „paradoksu ręki" wymyślonego na długo przedtem.

Giordano Bruno został spalony na stosie 17 lutego 1600 r. po 7 latach więzienia. Oskarżono go nie tylko o to, że miał wątpliwości co do Kultu Marii, Eucharystii i Trójcy Świętej. Ośmielał się jeszcze twierdzić, że Wszechświat jest nieskończony i że nieskończona jest liczba światów (tzn. planet) i to nawet zamieszkałych. Pozostały po nim trzy dialogi metafizyczne, na przykład „De l' infinito universo e mondi" („O nieskończonym Wszechświecie i światach"). Stał on na stanowisku, że skoro Bóg jest nieskończony, to trzeba przyjąć, że Wszechświat stworzony przez Boga jest także nieskończony. Ten pogląd kosmologiczny Bruno zaczerpnął od Mikołaja z Kuzy (Nicolas de Cues), niemieckiego filozofa i teologa, który jako pierwszy w średniowiecznej Europie głosił panteizm (panteizm – pogląd filozoficzny utożsamiający Boga z przyrodą), a mimo to został nawet kardynałem. Miał więc więcej szczęścia niż Bruno. Rzeczony Mikołaj z Kuzy w dziele „De docta ignorantia" („O uczonej ignorancji", 1440) utrzymywał: *Nie można go uważać za skończony, gdyż nie jest zamknięty żadnymi granicami.*

Panujący obecnie pogląd o skończoności Wszechświata znalazł mocne wsparcie w rozumowaniu, skąd wzięła się jego masa.

Może to wydawać się dziwne, ale powstała ona z niczego[2]. Na samym początku była ona znikoma (patrz „Fantastyka" nr 7/89). Potem wzrosły odległości poszczególnych cząstek od wspólnego środka ciężkości, czyli wzrosła energia grawitacji, zwana też potencjalną. Energia ta ma znak „minus" i musiała zostać jakoś zrównoważona – powstała więc materia, która jest w swej istocie energią o znaku „minus". Obie energie są równe co do wielkości i razem dają zero:

energia grawitacji + materia = zero

Mamy więc olbrzymi Wszechświat (objętość 38,3 x 10^{84} cm^3) o olbrzymiej masie (5,7 x 10^{56} g) i to wszystko z niczego, za darmo... Dlatego zmarły w 1980 roku niemiecki fizyk Pascual Jordan, ten sam, który wraz z Maxem Bornem i Wernerem Hisenbergiem założył mechanikę kwantową, nazwał Wszechświat „darmowym lunchem". Zanim powstał, była tylko próżnia. W próżni nie ma grawitacji ani materii, ale wynik sumowania też jest zero:

$$0 + 0 = 0$$

Ten ostatni wzór jednoznacznie określa, jaki może być „koniec świata". W wypadku gdy jego gęstość okaże się większa od pewnej wartości krytycznej, co jest wielce prawdopodobne, będzie Wszechświatem zamkniętym i po fazie ekspansji nastąpi faza kontrakcji. Stając się coraz mniejszy będzie miał coraz to mniejszą masę. W pewnej chwili będzie powiedzmy wielkości wołu, potem psa, potem muchy, potem ziarnka pyłku kwiatowego i będzie naprawdę ważył tyle, co pyłek. Potem po nim zostanie już tylko wspomnienie...

Niestety ten schemat, urzekający swą prostotą, odnosi się wyłącznie do Wszechświata zamkniętego. A jeżeli jest On otwarty? Tu sprawy się komplikują.

---

[1] Aleksiej Białko: *Nasza planeta – Ziemia*. Biblioteczka „Kwant". Moskwa 1989.

[2] Przypominał mi się katechizm, którego uczyłem się w szkole powszechnej, kawałek po kawałku na pamięć. Na pytanie. „co to znaczy stworzyć?" odpowiedź brzmiała: „Stworzyć znaczy zrobić coś z niczego".

„Fantastyka" ma wreszcie w Związku Radzieckim kolegę. Nie jest to wprawdzie jeszcze miesięcznik, lecz dość regularnie ukazujący się periodyk, a to, że już drugi rok pojawia się on w tym samym czasie, pozwala żywić nadzieję, że zapoczątkuje pewną tradycję. Mam tu na myśli wydawane w Mińsku wszechzwiązkowe czasopismo młodzieżowe „Parus", które swoje kolejne dwa lipcowe numery całkowicie poświęciło fantastyce. Jej i tylko jej. Poza tym, w lipcu 1988 roku wysunięto propozycję, by inne młodzieżowe czasopisma ZSRR również poświęciły fantastyce jeden numer w roku. Dzięki temu, zdaniem redakcji, mógłby w ten sposób powstać swoisty miesięcznik poświęcony temu gatunkowi. Niestety, propozycja ta zawisła w próżni.

Dwie fantastyczne „siódemki"

Jewgienij Puczkow

A przecież o konieczności utworzenia w ZSRR czasopisma SF mówi się od dawna i bardzo dużo. I najprawdopodobniej jeszcze długo będzie się mówić. Oczywiście, trzeba to robić, bowiem w przeciwnym razie nigdy nie ruszymy z martwego punktu. Ale o wiele lepiej działać. Na wzór twórców fanzinów – maleńkich, amatorskich czasopisemek wydawanych przez niektóre kluby miłośników fantastyki w naszym kraju. I, oczywiście, redakcji „Parusa", którego numery poświęcone fantastyce mogą w pełni posłużyć jako prototyp specjalistycznego czasopisma SF.

Jak trudna to sprawa – publikowanie specjalistycznego czasopisma SF – może zrozumieć jedynie ten, kto zetknął się z tym bezpośrednio. W każdym razie niezbędny jest choćby niewielki sztab specjalistów. W tym konkretnym przypadku mam na myśli grupę dziennikarzy, którzy zajmują się fantastyką. No, a ponieważ etaty mogą zostać przydzielone jedynie konkretnemu czasopismu, chwilowo trzeba działać opierając się na osobistym entuzjazmie. Bardzo wiele uczynił dla wydania obu fantastycznych „siódemek" członek kolegium redakcyjnego „Parusa", do niedawna sekretarz redakcji tego czasopisma, Walentin Masliukow. Aby zdobyć materiały literackie do tych numerów, jeździł na seminaria fantastów do Dniepropietrowska i do domu pracy twórczej „Isłocz" pod Mińskiem, odwiedzał stale działające seminarium fantastów przy Związku Pisarzy Białorusi. W tej niełatwej pracy pomagali mu autorzy tekstów, które zostały wybrane do czasopisma. Aż wreszcie materiały zostały zebrane, czasopisma ukazały się i zostały poddane osądowi czytelników. I chociaż zrozumiała jest wielka fala radości, wywołana publikacją „fantastycznych" numerów „Parusa" spróbujmy ocenić je opierając się na jak najsurowszych kryteriach. Tak, jak byśmy oceniali prawdziwe czasopisma SF.

Z czym możemy porównać „siódemki" „Parusa"? Oczywiście z tym, co znamy najlepiej. Z polskim profesjonalnym miesięcznikiem „Fantastyka" i radzieckimi, amatorskimi fanzinami. Wspomnijmy tu na marginesie, że miesięcznik „Fantastyka" został przedstawiony w numerze 7/89 „Parusa" za pośrednictwem artykułu Władimira Anikiejewa „Ta fantastyczna »Fantastyka«" oraz opowiadania Grzegorza Babuli „R.I.P.".

Moskiewski pisarz Aleksander Siliecki w artykule zamieszczonym w tym samym numerze i zatytułowanym „Czy wydajemy sami? Czy wydają nas?" omawia radzieckie fanziny, zwracając przy tej okazji uwagę na dwa ukierunkowania tych publikacji – publicystyczne i informacyjno-krytyczne (sewastopolski „Owersan") oraz literackie (krasnodarska „Gea"). I autor, i my wszyscy zapewne zgodzimy się z poglądem, że zarówno jeden jak i drugi kierunek powinien w równym stopniu być obecny w czasopiśmie poświęconym fantastyce. Jak jednak odnaleźć taki złoty środek? Przecież nie można nie uwzględniać faktu, że dla fana fantastyki najważniejsza jest możliwość bezpośredniego zetknięcia się z obiektem swego zainteresowania – literaturą SF. Ale jednak prawdziwy miłośnik gatunku nigdy nie pominie recenzji nowej książki fantastycznej, kolejnej informacji z jakiegoś klubu miłośników fantastyki, wiadomości o wydarzeniach w środowiskach związanych z SF za granicą. Najbardziej udaną formę takiego połączenia różnorodnej publicystyki i literatury pięknej znaleźli według mnie właśnie pracownicy miesięcznika „Fantastyka". Swoją objętością część informacyjna, oczywiście, ustępuje literackiej, ale ilością tytułów o wiele ją przewyższa. Natomiast w „Parusie" część informacyjna jest w zdecydowanej mniejszości pod obydwoma względami. Wyjaśnić to nietrudno. Po pierwsze – że czasopismo ukazuje się tylko raz w roku, co zmusza redakcję do zamieszczania najważniejszych, ale zarazem najmniej aktualnych publicystycznych materiałów. Po drugie – milion czytelników „Parusa" w swej przytłaczającej większości niewątpliwie interesuje się fantastyką wyłącznie jako lekturą i niczym więcej.

No cóż, spojrzyjmy więc nieco uważniej na literacką część fantastycznych „siódemek".

W tym miejscu jestem zmuszony uczynić niewielką dygresję i opowiedzieć polskiemu czytelnikowi krótką historię powiązań „Parusa" i fantastyki. W istocie, wszelkie więzi między nimi rozpoczęły się w 1984 roku, kiedy obecny „Parus", a wówczas zaledwie niewielkie, republikańskie czasopisemko „Raboczaja smiena" cieszące się dużą popularnością wśród białoruskich (i nie tylko białoruskich) czytelników, zaczął publikować serię opowiadań J. Brajdera i N. Czadowicza. Później zespół autorów uległ poszerzeniu i na kartach miesięcznika publikowano utwory przede wszystkim pisarzy z Mińska – S. Trusowa, B. Zielinskiego, A. Ejpura. Od 1986 roku „Raboczaja smiena" stała się czasopismem wszechzwiązkowym, nawiasem mówiąc, pierwszym wydawnictwem centralnym, które nie jest wydawane w Moskwie, a od 1988 roku zmieniła tytuł na „Parus". Wszechzwiązkowe wydawnictwo powinno publikować autorów z całego Związku Radzieckiego i „Parus" tak właśnie czyni, ale podobnie jak poprzednio, sporą część swoich łamów udostępnia autorom z Mińska.

W „Parusach" nr 7 z 1988 i 1989 roku wydrukowano 13 utworów literackich. Trzy z nich prezentują nie tłumaczone poprzednio utwory zagraniczne: „Koszmarny świat" R. Sheckleya, sztukę radiową S. Lema „Noc księżycowa" i wspomniane już opowiadanie G. Babuli. Pozostałe dziesięć – to utwory radzieckich autorów. I należy tu stwierdzić, że zostały zestawione w taki sposób, że prezentują chyba wszelkie odcienie radzieckiej literatury fantastycznej. Odnajdujemy tu i fantastyczną bajkę („Skorochod" S. Bułygi), i pamflet polityczny („Stojat', barany!" J. Drozda), i recenzje nie istniejących utworów – gatunek wymyślony przez S. Lema – („Tajm-kiper" A. Potupy) i wiele innych. Znajduje się tu fantastyka tradycyjna („Syn" M. Pierfiliewa) i całkowicie nietradycyjna („Fantajum-2" A. Ejpura). Niewątpliwie największą uwagę zwracają nowele, najobszerniejsze utwory zawarte w numerze.

Nowela J. Brajdera i N. Czadowicza „Ad na Wienierie" (7/88) to wspaniała lektura dla miłośników przygodowej fantastyki. Ciekawa fabuła, humanistyczna idea, potoczysty język – takie walory nie mogą nie wzbudzić sympatii czytelników. Osobiście jednak wolałbym tu przeczytać jakiś inny utwór tej spółki autorskiej, bowiem „Ad na Wienierie" pod względem nowatorstwa fantastycznego pomysłu wyraźnie ustępuje choćby ich własnemu opowiadaniu „Telepaticzeskoje rużjo" opublikowanemu już wcześniej w tymże czasopiśmie. Zresztą, jest to mój subiektywny pogląd.

Nowela L. Reznika „Magiczeskij treugolnik" (nawiasem mówiąc wspaniale ilustrowana grafikami W. Rulkowa), również obfituje w przygody. Daje się jednak wyczuć, że jest to właśnie wariant „gazetowy", dość poważnie skrócony. Jednakże w radzieckiej fantastyce jest ona czymś nowym – stanowi bowiem jedną z pierwszych prób pogodzenia fantasy i fantastyki naukowej. I moim zdaniem próba się udała. Poza tym nowych elementów w utworze znajdujemy niewiele. Nawet w radzieckiej fantastyce bohater – superman nie jest już czymś niezwykłym.

Ponieważ jestem mieszkańcem Mińska, z wielką przyjemnością chciałbym podkreślić zainteresowanie, jakim czasopismo darzy białoruską fantastykę. Wokół „Parusa" utworzył się już określony krąg autorów, dla których zawsze znajduje się miejsce na łamach tego miesięcznika. Cieszę się również, że właśnie w Mińsku ukazały się fantastyczne numery wszechzwiązkowego czasopisma. Z drugiej jednak strony, żal mi bardzo, że apel, z którym „Parus" zwrócił się do innych młodzieżowych czasopism pozostał bez odzewu. A przecież siódmy numer „Parusa" już po raz drugi stał się bestsellerem wśród miłośników fantastyki w naszym kraju. Rynku zaś nie udało się nasycić nawet wtedy, gdy nakład czasopisma wzrósł z 400 tysięcy do miliona!

Mam nadzieję, że tradycja ta będzie kontynuowana w 1990 roku. Ale niewątpliwie powinno również zacząć ukazywać się i prawdziwe czasopismo poświęcone fantastyce. Trwające już ćwierć wieku rozmowy powinny wreszcie przekształcić się w coś bardziej konkretnego niż słowa. I nie ulega również wątpliwości, że nadszedł już czas działań. Powinniśmy udzielić poparcia „Parusowi" i powinniśmy również stworzyć coś więcej. Nie wolno opuszczać rąk, bowiem znowu wrócimy do punktu wyjścia i znowu zaczniemy tylko mówić. Następne dwadzieścia pięć lat.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**



SUKCES przed projekcją

Wydawałoby się, że miłośnicy kina SF od wielu już lat nie mają powodu do narzekań. Co roku na ekranach kin, a potem w obiegu wideo pojawiają się nowe tytuły należące do tego gatunku. Również rok ubiegły nie poskąpił produkcji, a nawet – i to może głównie – superprodukcji. Z tych ostatnich wymienić należy trzecią część „Indiany Jonesa", „Trudno być Bogiem", „Głębię" no i oczywiście **„Batmana"**. Zatrzymajmy się przy tym ostatnim, ponieważ stanowi on kulminację pewnych zjawisk i tendencji występujących w kinie, szczególnie amerykańskim, tak chętnie przyjmowanym zarówno na naszym rynku, jak i w innych krajach świata.

Nie będzie tu już mowy o treści **„Batmana"**, ponieważ recenzje z tego filmu oraz różne opracowania na jego temat zostały zamieszczone we wszystkich pismach filmowych, a także w wielu innych, nawet dość marginalnie interesujących się tematyką kulturalną. Oznacza to, że mówimy o filmie, który odniósł sukces.

Ale czy w ogóle mogłoby się zdarzyć, że **„Batman"** byłby niewypałem? (Chodzi mi na razie wyłącznie o sukces finansowy). Nie, to było po prostu niemożliwe. Wiadomo, że w produkcję **„Batmana"** zainwestowane zostały ogromne pieniądze, zgodnie więc z zasadą, że pieniądz robi pieniądz, już to dawało mu dobrą pozycję wyjściową. To jednak byłoby oczywiście za mało. Wyliczajmy więc dalej: scenariusz filmu wykorzystuje najpopularniejszy stereotyp kultury popularnej, czyli spersonifikowaną walkę dobra ze złem, a w dodatku opiera się na amerykańskim wytworze kultury: komiksie (film wywodzący się z komiksu, bohater komiksowy przekształcony w bohatera filmowego). A w dodatku na afiszach nazwiska słynnych aktorów (to również dzięki pieniądzom).

Ten film po prostu nie mógł paść. Zresztą bardzo rzetelnie poinformowano o tym potencjalną publiczność na długo przed skierowaniem filmu do kin. Jak bardzo rzetelna była ta informacja może świadczyć fakt, że koszt produkcji filmu wyniósł czterdzieści milionów dolarów, natomiast po doliczeniu reklamy i dystrybucji okazało się, że wydano nań sto dwadzieścia. Kosztowne opakowanie.

„Batman" więc nie padł. Odniósł niebywały sukces. Zanim jeszcze go komukolwiek pokazano. A to wydaje się dość niepokojące.

My, ludzie, jesteśmy zwierzętami stadnymi. Jeżeli coś podoba się innym, chcemy również to obejrzeć. Nawet wtedy, gdy uważamy, że gust masowej widowni nie zawsze zgadza się z naszym. A jeśli w dodatku bardzo się nas przekonuje, że to coś jest po prostu znakomite, mamy ochotę uwierzyć. Reklama jest sprawdzoną i skuteczną metodą takiego namawiania.

Kiedy u nas (u nas w Europie) recenzuje się jakiś film amerykański, często podkreślana jest różnica między przyjęciem go na starym i nowym kontynencie. Co prawda dystrybutorzy **„Batmana"** nie ponieśli strat rozpowszechniając go w Anglii, Francji czy Niemczech, niemniej film wywołał znacznie mniejszy entuzjazm niż w USA. Niekiedy wyraża się również pogląd, że Amerykanie są dużymi dziećmi, które lubią prostą zabawę i to co ich cieszy, niekoniecznie musi podobać się nam, wyrafinowanym spadkobiercom wielowiekowej kultury. Być może coś w tym jest. Jednakże wiele widowiskowych superprodukcji oraz filmów, których scenariusze również oparte były na komiksach zdobyło w Europie powodzenie. Może jednak Amerykanie nie są bardziej infantylni, ale mają sprawniejszą reklamę?

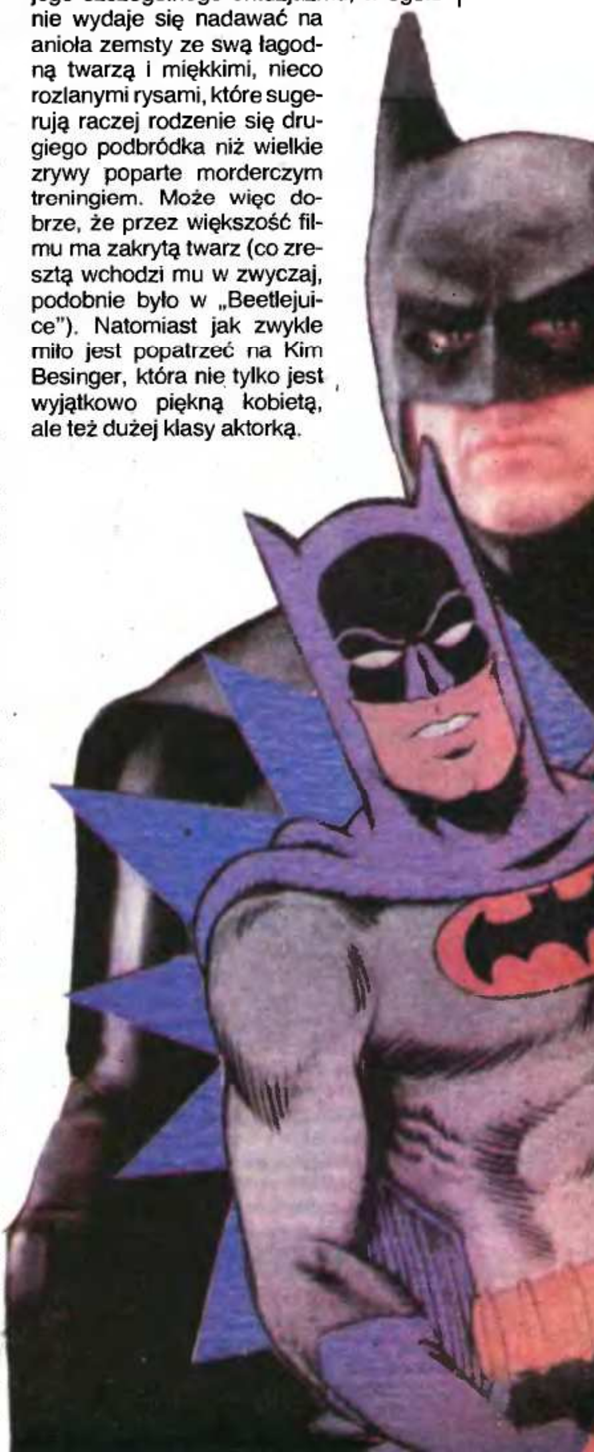
• Wszyscy recenzenci i sprawozdawcy festiwalowi zgodnie podkreślali, że **„Batman"** był najbardziej reklamowanym filmem 1989 roku. Zanim pojawił się na ekranach, wszędzie (wszędzie w Ameryce i gdzieniegdzie w Europie) można było kupić koszulki z Batmanem, zabawki przedstawiające jego postać lub modele pojazdów, których używał, skrzydła Batmana i dziesiątki gadżetów tego typu.

Kiedy w zimie 1988 roku pokazywano 90-sekundowy zwiastun filmu, wiele osób szło do kina i płaciło za bilet tylko po to, żeby zobaczyć tę reklamówkę, a nie film, do którego była doczepiona.

Jednak krytycy nie podzielali powszechnego entuzjazmu towarzyszącego projekcjom. Wyrażali się o filmie dość chłodno. Chociaż można było również przeczytać („Newsweek", Jack Kroll): *Ten „Batman" jest prawdziwym sukcesem. Film przyniesie miliardy...* Otóż to. Coraz częściej wartość filmu jest mylona z jego wartością handlową. Jaki jest wobec tego **„Batman"** jako film?

Wydaje się, że jest to film słaby. Scenariusz jest wręcz prymitywny. To przerażające, jak niewiele się dzieje w tym kinie akcji. Jako komiks **„Batman"** też nie był dziełem wybitnym. Powstał na zamówienie wydawcy Vincenta Sullivana, który obawiał się, że czytelnicy mogą się wreszcie znudzić długo eksploatowaną postacią Supermana. Potrzeba było czegoś podobnego, ale nieco innego. Zaspokajającego te same potrzeby, a sprawiającego wrażenie nowości. Ten świeży pomysł polegał na połączeniu wspomnień Kane'a z filmów „Znak Zorro" i „Szepty nietoperza" z rysunkiem machiny latającej Leonarda da Vinci. Batman osiągnął bardzo dużą popularność. To prawda. Ale próba robienia sztuki z tandety jest z definicji skazana na fiasko. Dlatego „Superman", który nie miał takich ambicji, bije **„Batmana"** na głowę.

Skojarzenia z „Supermanem" są nieuchronne. Obaj bohaterowie, postacie oryginalnie komiksowe, mają za zadanie stać na straży dobra. Zjawiają się, gdy trzeba pomóc uciśnionym ludziom, zagrożonym tyranią zła, korupcji, głupoty. Zła, które jest również spersonifikowane i skupione w postaci bohatera negatywnego. Przeciwnikiem Batmana jest Joker. Tę postać kreuje Jack Nicholson i chociaż jest on obecnie aktorem należącym do światowej czołówki, tutaj nie wydaje się być w szczytowej formie. Być może to powielanie schematu szalonego, diabolicznego osobnika osłabia oddziaływanie stworzonego *image'u*. Nicholson zresztą nie chciał podjąć się tej roli właśnie dlatego, że zbyt przypominała jego poprzednie wcielenia, jego opór pokonała imponująca gaża. Mimo wszystko jednak jego kreacja bije na głowę grę Michaela Keatona jako Batmana, w związku z czym niekiedy nie pisze się o **„Batmanie"**, lecz o „Jokerze". Keaton, którego poprzednia rola w „Beetlejuice" również nie wzbudziła mojego szczególnego entuzjazmu, w ogóle nie wydaje się nadawać na anioła zemsty ze swą łagodną twarzą i miękkimi, nieco rozlanymi rysami, które sugerują raczej rodzenie się drugiego podbródka niż wielkie zrywy poparte morderczym treningiem. Może więc dobrze, że przez większość filmu ma zakrytą twarz (co zresztą wchodzi mu w zwyczaj, podobnie było w „Beetlejuice"). Natomiast jak zwykle miło jest popatrzeć na Kim Besinger, która nie tylko jest wyjątkowo piękną kobietą, ale też dużej klasy aktorką.





Jeżeli chodzi o takich bohaterów jak Superman czy Batman można by w tym miejscu przypomnieć, że byli oni psychologicznym lekarstwem na Wielki Kryzys, przywracającym wiarę w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości. Mogłoby się zdawać, że z tych samych powodów dobrze byłoby dziś na polskich (i krajów sąsiednich) ekranach pokazywać **„Batmana"**. Boję się jednak, że na Polaków taka kuracja słabo by podziałała. A wracając do porównań, istnieje jedna zasadnicza różnica w przedstawieniu tych dwóch bohaterów. Otóż Superman posługuje się magią, czy też w każdym razie siłami niedostępnymi dla zwykłych mieszkańców Ziemi, podczas gdy Batman jest dzieckiem cywilizacji technicznej, która na domiar złego wychodzi z mody. Kiedy zawisa na metalowej linie wiemy, że tylko sprawnie wykorzystuje znane nam prawa fizyki. W tym momencie siła mitu blednie. I po cóż mu skrzydła?

Powodzenie filmów fantastycznych opiera się w dużej mierze na tym, że pokazują to co niemożliwe. Narzędzia, których używa Batman, są nam współczesne, właściwie nie ma w nich nic fantastycznego, a to umniejsza bohatera, zamiast go nam przybliżać.

Gdybyśmy oglądali zwykły film o nietoperzu (batman znaczy człowiek-nietoperz), współczesnym szeryfie wypowiadającym prywatną wojnę złu, byłoby to w porządku. Ale przecież na ekranach jest **„Batman"**, film, który odniósł ogromny sukces (przed projekcją).

Dorota Malinowska

BATMAN. Reżyseria: Tim Burton. Scenariusz: Sam Haam, Waren Skaaren. Zdjęcia: Chris Kenny. Wykonawcy: Michael Keaton, Jack Nicholson, Kim Besinger, Jack Palance, Jerry Hall, Michael Cough, Pat Hungle i in. USA. 1988.

PS. „Batman" wejdzie na ekrany polskich kin w 1991 r.



Batman po raz pierwszy pojawił się jako postać literacka w kryminalnej powieści Mary Roberts Rinchardt „The Circular Staircase" (Kręcone schody) już w 1908 r. Był kilkakrotnie filmowany jeszcze w okresie kina niemego (1915, 1920, 1925) i w wersji dźwiękowej w 1926 r., w reżyserii Rolanda Westa. Ponieważ ta ostatnia ekranizacja była oparta na adaptacji teatralnej powieści, na ekran trafiła pt. „The Bat" (Nietoperz).

Komiksowym twórcą Batmana był Bob Kane, który rysował go w latach 1939-1966 (rysunki wykonywali też Jerry Robinson, Carmine Infantino i Jim Mooney). Autor tekstów pozostał anonimowy (prawdopodobnie był nim Bill Finger). W sumie Batman pojawił się w 600 komiksach.

Historia życia Batmana, rycerza sprawiedliwości w charakterystycznym ciemnym kostiumie, ze złotym pasem i emblematem na piersiach zaczęła się od momentu, kiedy to, jako młody chłopiec, będąc świadkiem morderstwa dokonanego na jego rodzicach, poprzysiągł sobie, że od tego czasu będzie bezlitośnie walczyć ze światem przestępczym, przybierając postać przypominającą nietoperza. Podjął wyczerpujący trening, dzięki któremu osiągnął wręcz nadludzką sprawność. Początkowo działał sam. W 1940 r. pojawił się Dick Grayson-Robin, osierocony na skutek podobnego wypadku jak Bruce Wayne (milioner, student – drugie wcielenie Batmana). Przygarnięty i wychowywany przez Wayne'a Robin został jego wiernym kompanem.

Komiks stał się prawdziwym przebojem. Wykreowanie tej „dynamicznej dwójki" spowodowało wiele naśladownictw (np. Captain America i Bucky). Inni pojawiali się i znikali, a Batman i Robin nieustannie razem naprawiali świat. Później pojawiły się dwie kobiety: Batwoman i Batgirl. Na stałe jednak pozostała ta druga. W latach siedemdziesiątych komiksy o Batmanie, z inicjatywy Carmine Infantino, stały się opowieściami w stylu „weird and mystery" (niesamowite i tajemnicze), z dużą domieszką horroru. Batman w tych komiksach zostaje sam, ale jego dotychczasowi partnerzy zaczęli pojawiać się na kartach innych komiksów (oczywiście nadal zwalczając zło).

W latach czterdziestych przygody Batmana przedstawiono w dwóch serialach filmowych (każdy po 15 odcinków) wyprodukowanych przez Columbię. W pierwszym z nich („Batman", 1943) Batman i Robin udaremniają plany Japończyka, dr Dako, który chciał zniszczyć Stany Zjednoczone bombą atomową (!?). Wyraźnie serial ten służył doraźnym celom propagandy wojennej (antyjapońskiej). Serial skondensowany do jednego pełnometrażowego filmu zaprezentowano w Paryżu w 1967 r. W drugim serialu („Batman and Robin", 1949) Batman znowu dokonuje niebywałych czynów dla dobra ludzkości. Walczy z magikiem, dysponującym tajemną bronią (promienie sterowane na odległość).

W 1966 r. jednocześnie w kinach i telewizji pojawiła się kolejna ekranizacja przygód Batmana. Adam West, odtwarzający postać Batmana, stał się niemal bohaterem narodowym w Stanach Zjednoczonych. A. Kołodyński pisał jednak o tym filmie, że parodia wydaje się ciężka, przytłoczona zbyt wymyślnymi perypetiami fabularnymi. Po raz pierwszy bowiem zaprezentowano tu wszystkich współpracowników Batmana, zazwyczaj występujących w komiksach oddzielnie. Czterech superłajdaków chce zdobyć panowanie nad światem, ale nasz superbohater, za pomocą superbroni, skutecznie ich pokonuje.

W latach 1968-1970 został zrealizowany też serial animowany o perypetiach Batmana.

Bolesław Hołdys





Drodzy Czytelnicy!

Ten numer „Fantastyki" jest ostatnim, który wydaje koncern RSW „Prasa-Książka-Ruch". Żegnamy się z tą firmą bez żalu, zwłaszcza, że przez ostatnie półtora roku nie potrafiła zapewnić nawet regularnego ukazywania się naszego pisma.

Nowy Wydawca zapewnił nam trochę lepszy papier na tekst i jeszcze lepszy na „Galerię", zwiększając objętość naszego miesięcznika o osiem stron. Mamy nadzieję, że będzie w stanie wyegzekwować od drukarni punktualność i będziemy ukazywać się bez opóźnień. Do zobaczenia w lipcu w NOWEJ FANTASTYCE!!!

Fantastyka S-KA Z O.O.

Andrzej Brzezicki, Adam Hollanek, Lech Jęczmyk, Sławomir Kędzierski, Maciej Makowski, Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski, Maciej Parowski, Jacek Rodek, Hanna Sosińska-Balcer, Krzysztof Szolginia, Darosław J. Toruń



Na zdjęciu: Grzegorz K.
Proj. graficzny: Andrzej Brzezicki